

Beata Dżon-Ozimek
Powódź na Opolszczyźnie**Odszedł pan od seksu**
Zbigniew Lew-Starowicz sprawił,
że seks przestał być tabu**Głupi Polak po szkodzie**
Były protesty, nie ma zbiorników**Jerzy Ziarkiewicz**
czyli prokurator
do tuszowania przestępstw

**ROBIŁ
CO
CHCIAŁ**

**PAŃSTWO
KACZYŃSKIEGO**

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311409



Międzynarodowy
Festiwal Filmowy
Toronto



Międzynarodowy
Festiwal Filmowy
**Nowym
Jorku**



Międzynarodowy
Festiwal Filmowy
Chicago
Najlepszy
performans



**Locarno
Film Festival**

Nagroda Specjalna Jury
Nagroda Jury Młodzieżowego
Wyróżnienie Jury Ekumenicznego



Międzynarodowy
Festiwal Filmowy
Gijon
Najlepszy film



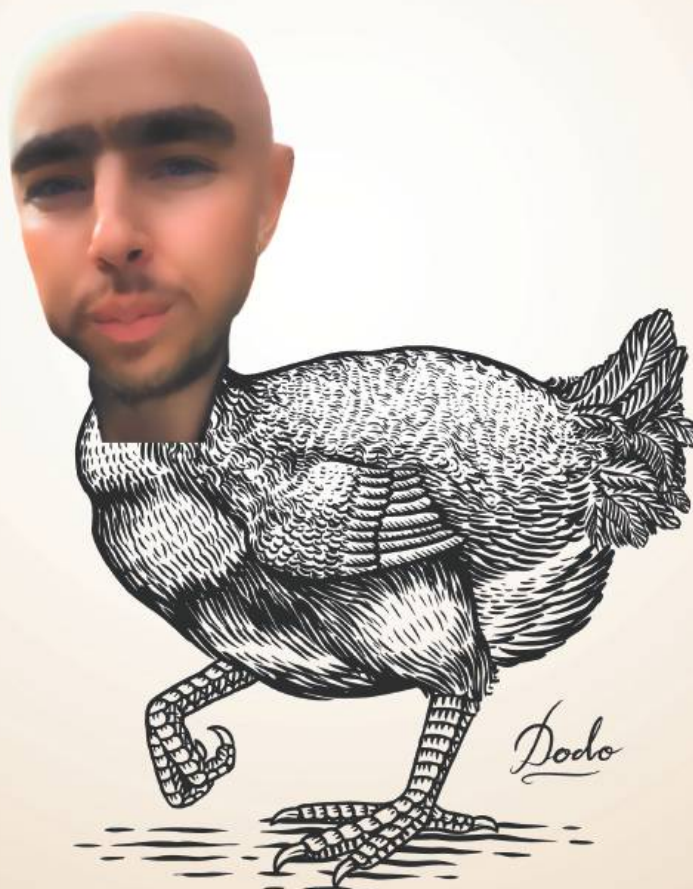
Nagrody
GOPO
Najlepsza aktorka
pierwszoplanowa,
9 nominacji



Międzynarodowy
Festiwal Filmowy
**Palm
Springs**

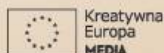
NIE OBIECUJCIE SOBIE ZBYT WIELE PO KOŃCU ŚWIATA

reżyseria
RADU JUDE



**SZORSTKI
DOWCIPNY
POWAŻNY
PROWOKACYJNY**

W KINACH OD 27 WRZEŚNIA





A co my możemy zrobić?

Zacznę od osobistego wspomnienia. Lata 60. i kolonie dla dzieci w okolicach Stronia Śląskiego. Nie tak to przecież odległy okres, gdy dzieci ze Śląska jeździły w czasie wakacji na kolonie. Na koszt zakładów pracy, w których zatrudnieni byli ich rodzice. Mój ojciec pracował w chorzowskim Konstalu, znanym z produkcji tramwajów, więc przez kilka lat z gromadą dzieciaków spędzaliśmy w Kotlinie Kłodzkiej po kilka tygodni.

Kolonii dla dzieci z uboższych rodzin już nie ma. I Stronia Śląskiego prawie nie ma. Czy się odrodzi i kiedy? Znając jego mieszkańców, wierzę, że niedługo zobaczymy, jak Stronie Śląskie wraca do życia. Podobnie jak setki miejscowości, które spustoszył żywioł.

By jednak tak się stało, potrzebne są ogromna pomoc ze strony państwa i solidarne wsparcie ludzi dobrej woli. Zrozpaczeni utratą dachu nad głową i często dorobku całego życia powodzianie czekają na każdy

gest solidarności. I pomoc. Wszelką. Potrzeby są ogromne, ale po pierwszych reakcjach na tę tragedię można być pewnym, że pomoc ze strony państwa i współobywateli osiągnie niespotykaną skalę. Żołnierze, strażacy, ochotnicy, często ryzykując życiem i zdrowiem, potwierdzili, że w sytuacjach alarmowych można liczyć na ich sprawność i ofiarność. Jadą też konwoje z darami. Liczy się czas. A w perspektywie mądra odbudowa. Żywioł, który spustoszył te obszary, może się powtarzać. Dlatego, jeśli kogoś po raz trzeci zalało, naprawdę nie ma co ryzykować kolejnej katastrofy.

Kataklizm o takiej skali jest sprawdzianem dla rządu i samorządowców. Z jednej strony mamy wielkie dramaty i zrozpaczonych ludzi, a z drugiej polityków, którzy nawet na takiej tragedii chcą coś ugrać. Należę do tych, którzy doceniają działania premiera Tuska i jego najbliższych współpracowników.

Determinacja i sprawność tej ekipy zasługują na uznanie. Choć do finału ciągle daleko, to, co jest za nami, mogło wyglądać o wiele gorzej. Każdy ma w tej sprawie swój rozum i widzi, co i jak jest robione.

Zniszczenia są niewyobrażalne, ale wszystko, co materialne, można odbudować. O wiele trudniej przyjdzie powodzianom poradzić sobie z traumą po utracie dorobku życia. Szczególną uwagą i troską musimy otoczyć dzieci z rejonów dotkniętych katastrofą. Dziękując tym, którzy ratowali ludzi i mienie, spróbujmy pomyśleć, co my możemy zrobić. Na miarę naszych możliwości. A może nawet choć trochę więcej.

BAKOWSKI



POMAGAJMY Pomoc dla powodzian



Wpłat można dokonywać na stronie:

<https://www.wosp.org.pl/pomagamy/powodz>



Wpłat można dokonywać na stronie:

<https://pck.pl/naratunekpowodz/>



Wpłat można dokonywać na stronie:

<https://pmm.org.pl/co-robimy/sos-powodz/>



Wpłat można dokonywać na stronie:

<https://bankizywnosci.pl/przekaz-darowizne/>

W NUMERZE

KRAJ

- 8** **Robił, co chciał**
Państwo Kaczyńskiego
- 12** **Prokurator do tuszowania przestępstw**
Fenomen kariery Jerzego Ziarkiewicza
- 15** **Impas z Intellem**
Kłopoty można było przewidzieć
- 18** **Głupi Polak po szkodzie**
Zbiorników retencyjnych nikt nie chciał
- 21** **Dzięki, zaporo cesarzowej!**
Powódź w Górach Opawskich

ZAGRANICA

- 26** **Jedna powódź, dwa podejścia**
Czesi działają systemowo
- 28** **Thomas Fazi**
Kto się boi Sahry Wagenknecht?
- 30** **Komisja w pół drogi**
Nowa drużyna Ursuli von der Leyen

POLEMIKA

- 34** **Andrzej Romanowski**
Robert Walenciak
Jeszcze o akcji „Wisła”

HISTORIA

- 36** **William Harriman a sprawa polska**
Sanacja nie ufała biznesmenowi z USA

SYLWETKI

- 40** **Odszedł pan od seksu**
55 lat porad [Zbigniewa Lwa-Starowicza]

ZDROWIE

- 43** **Mężczyźni nie nadążają**
– rozmowa
z prof. [Zbigniewem Lwem-Starowiczem]
- 60** **Zdrowie to inwestycja!**
– rozmowa z prof. Mariuszem Bidzińskim

SPORT

- 48** **Hity i egzekucje**
Grymasy gigantów Ligi Mistrzów

KULTURA

- 50** **To musi być festiwal otwarty**
– rozmowa z Joanną Łapińską
- 54** **Książek nie liczy się w sztukach**
– rozmowa z Jerzym Okuniewskim
- 56** **Culturalia**
- 66** **Beata Ewa Białecka. Obraz w ubraniu**

ZWIERZĘTA

- 57** **Bieliki nad Wigrami**
Polska – bielikowy potentat

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** **Jerzy Domański**
A co my możemy zrobić?
- 25** **Roman Kurkiewicz**
Pomocoza
- 33** **Jan Widacki**
Dwa teksty w „Polityce”
- 39** **Stanisław Filipowicz**
Kto komu ukradł kota?
- 47** **Tomasz Jastrun**
Lis o wilczych oczach
- 53** **Wojciech Kuczek**
Naświetlania



21
KRAJ

DZIĘKI, ZAPORO CESARZOWEJ! Powódź w Górach Opawskich

50
KULTURA

TO MUSI BYĆ FESTIWAL OTWARTY

– rozmowa
z Joanną Łapińską



57
ZWIERZĘTA

BIELIKI NAD WIGRAMI Polska – bielikowy potentat

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

eprasa.pl a673217f3e





Trauma wojny

Co do wojennej traumy, to jestem sceptyczny, widząc, jak bardzo Polacy są napaleni na wojnę. Pełno u nas martyrologii, wtłaczania do dziecięcych głów myśli, że nie ma nic piękniejszego, niż umrzeć za swój kraj. Taką wiadomość przyniosło mi onegdaj ze szkoły moje dziecko. Sam już nie pamiętam, czy to było za rządów PO, czy PiS. Spodziewałbym się tego w starożytnej Sparcie, w trakcie pogadek dla pionierów w ZSRR, tudzież w czasie zajęć dla nazistowskiej młodzieży w III Rzeszy. Okazało się, że ambicje dawnych kontestatorów peerelowskiej rzeczywistości sięgają dalej niż najczarniejsza myśl pezetpeerowskiego dygnitarza. Może dlatego, że tamte pokolenia przeżyły wojnę i robiły, co mogły, by do niej nie dopuścić, a ich następcom ciągle za mało „chwały”.

Michał Błaszczak



Próbowali mnie zniszczyć

Za PiS stoi 7-8 mln ludzi. Można tę partię trwale odsunąć od władzy, budując państwo oparte na zasadach prawa i sprawiedliwości społecznej, a nie sztuczkami, pozabawianiem finansowania i niedemokratycznymi metodami. To nie rozwiąże problemów, które prawicę wyniosły do władzy. Mówienie o praworządności w kraju, gdzie za normę uznaje się wyrzucanie z mieszkań ludzi bez wyroków sądu, to jakaś kpina. III RP to patologia, a PiS to tylko jej konsekwencje.

Paweł Stawicki

Srebrne żniwa

Zauważam w redakcjach wyraźny trend ucieczki od opisywania różnych zjawisk w Polsce poprzez przedstawianie skrajnych obrazów spoza kraju. Modna jest analiza dworu Białego Domu, a niepopularne pisanie o regulacji AI w Stanach Zjednoczonych czy o walce z prywatyzacją edukacji. Dwie redakcje stworzyły dział newsów z zagranicy, aby uciec od pisania np. o różnych wymiarach rosnących nierówności. W PRZEGLĄDZIE jest trochę lepiej, choć mówimy o Kongu, gdy spora część najbardziej potrzebujących dzieci w Polsce jest faktycznie odcięta od edukacji (skrajnie niski poziom nauczania w Polsce lokalnej).

Wojtek Sańko

Pozbawieni niewinności

Rozwiązanie problemu uzależnienia dzieci od smartfonów i zbyt łatwego dostępu do internetu jest bardzo proste – nie dawać im tych urządzeń do szkoły. Zresztą taki zakaz powinien być już dawno wprowadzony we wszystkich szkołach podstawowych i średnich. Tak jest od dawna we wszystkich szkołach w Wielkiej Brytanii. Zarówno publicznych, jak i prywatnych. Zakaz obowiązuje na terenie całej szkoły, na wybiegach i innych wyjściach szkolnych. Jeśli zdarzy się, że nauczyciel przylapie ucznia ze smartfonem – najczęściej gdy dziecko już zmierza do wyjścia ze szkoły – gadżet jest zabierany. Oddaje się go rodzicom, którzy wcale nie muszą się spieszyć z wizytą w szkole. Mój wnuk chodzi obecnie do grammar school (gimnazjum). Pytałam córkę, czy nie mają rady rodziców albo innych gremiów demokratycznych, które mogłyby temu zaradzić. Na to ona z uśmiechem: „Oczywiście mamy, ale i tak ostatnie słowo ma dyrekcja szkoły”. Zakaz jest odgórny i nie podlega żadnej dyskusji.

Waleria Lubner



ZDJĘCIE TYGODNIA



Ewakuacja mieszkańców
Lewina Brzeskiego,
17 września 2024 r.

Trwa walka z katastrofalną powodzią. Straty są ogromne, a odbudowa zniszczeń potrwa lata. **Premier Tusk, wicepremier Kosiniak-Kamysz i minister Siemoniak zdają egzamin z zarządzania tym ogromnym kryzysem.** Na rozliczenie tych, którzy zawiniли, przyjdzie czas.

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej podtrzymał decyzję Komisji Europejskiej o **nałożeniu kar na Apple'a (13 mld euro) i Google'a (8,25 mld euro)**. Na Apple'a za to, że praktycznie nie płacił podatków, a na Google'a za nadużywanie dominującej pozycji na rynku.

10,7 tys. wniosków o azyl wpłynęło w ciągu ośmiu miesięcy tego roku. Najwięcej od obywateli Ukrainy (3,9 tys. osób) i Białorusi (2,6 tys.).

Zmarł prof. Zbigniew Lew-Starowicz (80 lat), wybitny seksuolog, psychiatra i psychoterapeuta. Był konsultantem krajowym z zakresu seksuologii. Przyjmował pacjentów i pomógł tysiącom ludzi. Ma ogromne zasługi w edukacji seksualnej Polaków.

Prof. Małgorzata Omiłanowska-Kiljańczyk, była minister kultury w rządzie PO-PSL, została nowym dyrektorem Zamku Królewskiego. Stanowisko to miała objąć 1 stycznia 2016 r., ale wyboru nie zaakceptował minister kultury Piotr Gliński z PiS.

Od 2025 r. **minimalne wynagrodzenie ma wynieść 4666 zł brutto**, a minimalna stawka godzinowa 30,50 zł.

Po siedmiu miesiącach tego roku **zysk netto**

sektora bankowego wyniósł 23,97 mld zł.

Brytyjski sąd odmówił wypuszczenia z aresztu Michała K., byłego prezesa Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, i doczekał się komentarza Jarosława Kaczyńskiego: „Sądy brytyjskie traktują tak samo jak polskie. Powinny być radykalnie zreformowane”.

Akcjonariusze Warner Bros. Discovery, właściciela m.in. TVN, tracą cierpliwość, bo ich akcje straciły na wartości już kilkadziesiąt procent. Zarząd rozważa **sprzedaż niektórych aktywów, w tym TVN („Press”).**

6,2% uczniów chodzi do szkół niepublicznych.

Wybierają je zamożni rodzice, bo zwykle są one na wyższym poziomie. Zamiast pracować nad odwróceniem degradacji systemu szkolnictwa publicznego, politycy prawicy (Morawiecki) i lewicy (Biejat) wyprowadzają z niego swoje dzieci.

Przedstawicielem załogi w zarządzie PKP Cargo jest od 2016 r. Zenon Kozendra. W 2023 r., gdy firma już była w kryzysie, zarobił 785 tys. zł.

20,9% ogólnej liczby 12,5 mln polskich gospodarstw domowych wykorzystuje do opalania węgiel.

11% Polaków, czyli 2,5 mln osób, zmaga się z alkoholizmem (CBOS).

Po 30 czerwca 2025 r. będzie dofinansowanie do zakupu 50 tys. rowerów elektrycznych w ramach programu NFOŚiGW „Mój rower elektryczny”. Przeznaczono na to 300 mln zł.

PRZEBŁYSKI

Pajacowanie Czaputowicza

Gdyby serio potraktować wizytówkę, którą opatrzył swoje teksty w „Rzeczpospolitej”, nie byłoby o czym pisać. Bo to i profesor na Uniwersytecie Warszawskim, i minister spraw zagranicznych. Jacek Czaputowicz we własnej osobie. Jako minister bez ustanku kompromitował się czapkowaniem prezesowi Kaczyńskiemu. Zrujnował ministerstwo.

I ośmieszał urząd. Na szczęście teraz pracuje na własny rachunek.

W zaprzęgu PiS chodził posłusznie jak góralski koń z turystami. Gdy go odwołali, zaczął mówić, że PiS wobec Ukrainy i Wołynia prowadziło politykę hieny. A że nowa władza niczego mu nie chce dać, to ona też prowadzi politykę hieny. Hienami według Czaputowicza są wszyscy, którzy mimo wojny żądają od Ukrainy ekshumacji Polaków pomordowanych na Wołyniu. Proponuje, by zanim Ukraińcy dadzą zgodę na ekshumację, odtworzyć pomnik „żołnierzy ukraińskich” w Monasterzu. Jak widać, Czaputowicz nie jest hieną. Jest pajacem.



Jak żyć, pani Nykiel?

To, jak widzi nasz kraj Marzena Nykiel z tygodnika „Sieci”, wiele mówi o stanie umysłów w tej redakcji. W komentarzu „Tuskokracja – ustrój brutalny” czytamy, że mamy systematyczne represje, zastraszanie, obezwładnianie opozycji, brutalność działań, areszty, zatrzymania, bezczelne groźby, plan zemsty, zwiżanie gospodarki, upiorną mistyfikację itd. I to wszystko pisane przed powodzią. Co więc robić? Może trzeba będzie wyjechać za właścicielem Red is Bad do Ameryki Łacińskiej? A może wystarczy wypuścić do redakcji trochę świeżego powietrza?



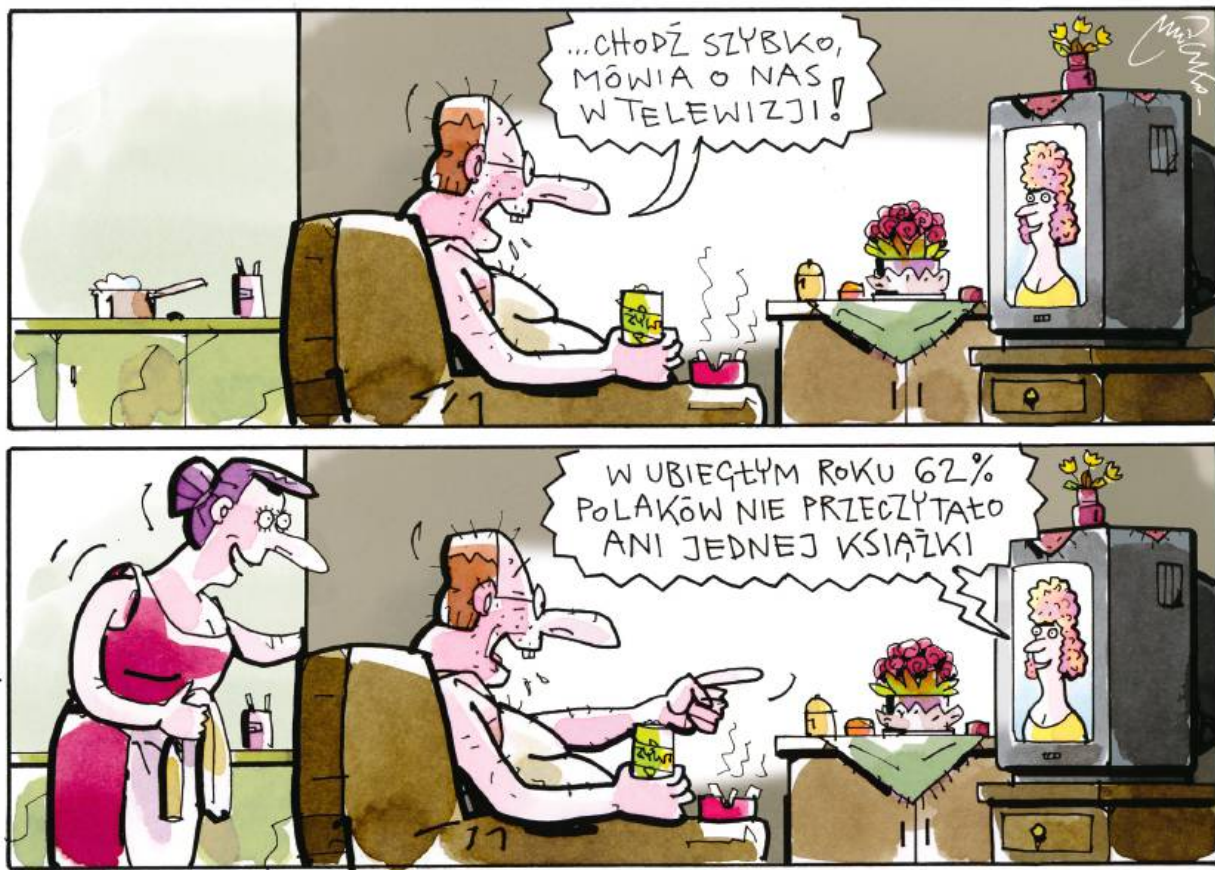
Co się dzieje w diecezji tarnowskiej

Będzie siedział 12 lat. Były ksiądz Marian W. za molestowanie ośmiu ministrantów został skazany na więzienie przez Sąd Rejonowy w Nowym Targu. Choć wyrok nie jest prawomocny, ten zwyrodnialec nie może się spodziewać niższej kary. Ma też zapłacić ofiarom ponad 250 tys. zł. Ale to nie wszystko. Bo pokrzywdzeni wystąpili przeciwko kurii tarnowskiej o 22 mln zł odszkodowania. Marian W. został usunięty ze stanu duchownego dopiero dwa lata temu. Mimo że gwałcił dzieci już 20 lat wcześniej. Prokuratura Rejonowa w Tarnowie skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko biskupowi tarnowskiemu Andrzejowi J. Zarzuciła mu, że nie zgłosił organom ścigania przypadku dwóch innych księży molestujących dzieci. Jeden z nich, ks. Stanisław P., ma na koncie kilkadziesiąt gwałtów. I chowa się za przedawnieniem tych przestępstw.

Komu spłonęło to auto?

Jadą wozy kolorowe. Śmigają wypasione fury prowadzone przez ludzi w koloratkach. Pociąg do motoryzacji w tej grupie zawodowej widać w każdej parafii. Ostatnim hitem jest auto, które spaliło się w sanktuarium Matki Bożej Pani Myślenickiej. Strażacy z OSP Myślenice mówią, że był to Bentley Flying Spur. Taki, co nie tylko kosztuje 2,2 mln zł, ale jeszcze został dodatkowo dopieszczony. Skóra, 710 KM, wielkie spojlerki i felgi. W sam raz, by przyspieszyć do setki w 3,6 s i grać 340 km/godz. Cudeńko. I cud, że nikt do niego się nie przyznaje. „Fakty po Mitach” żartują, że to pewnie ten Bentley podarowany Rydzikowi przez bezdomnego.





PYTANIE TYGODNIA | Czy tylko pisowskimi metodami można posprzątać po PiS?

DR KAMIL STĘPNIAK,

specjalista w zakresie prawa konstytucyjnego

Do naprawy praworządności nie należy używać bezprawia. Oczywiście jest, że do uporządkowania systemu prawnego mogą prowadzić różne drogi. Jednak w tym wypadku poszukiwanie takiej, która będzie prowadziła na skróty, może wyrządzić więcej szkód, niż przynieść pożytku. Porównałbym to do leczenia pacjenta w ciężkim stanie. Mamy w medycynie sprawdzone wytyczne i procedury, które stosujemy w określonych stanach, a także metody wręcz szamańskie. Te drugie być może przyniosą pacjentowi chwilową ulgę, ale nie będzie to realna i długofalowa poprawa stanu zdrowia. Od rządu, którego jasną deklaracją przedwyborczą była walka o państwo prawa, należy wymagać transparentności i legalności działań. Wszystkie inne sposoby będą uchYLENIEM drzwi (tworzeniem precedensów) do pogłębiania w przyszłości stanu bezprawia.

JACEK ŻAKOWSKI,
dziennikarz, „Polityka”

Pisowskimi metodami można budować wyłącznie pi-sowski porządek. Mówiąc zatem najogólniej, próba zmiany pisowskiego porządku pisowskimi metodami może prowadzić tylko do zmiany szyldu, a nie rzeczywistości wokół.

GALOPUJĄCY MAJOR,

komentator polityczny

Czy niepraworządnością można zwalczać niepraworządność, a jeśli tak, to czy efektem nie będzie inna, niepisowska, ale wciąż niepraworządność? A z drugiej strony, skoro PiS celowo zatrąło studnię, aby każde nabieranie wody było skażone, to czy powinno się w ogóle owej wody nie ruszać? I pozostawić wymiar sprawiedliwości niedotykalnym? Jak zwykle przy trudnych wyborach etycznych – nie ma łatwego rozwiązania. Wydaje się, że pewien stan nadzwyczajny jest moralnie uzasadniony jako absolutna ostateczność. Problem w tym, że o ile samo lekceważenie Trybunału Konstytucyjnego z jego zapędami do paraliżowania na telefon funkcjonowania państwa jest uzasadnione, o tyle przejęcie TVP, nieuznanie setek neosędziów czy kuriozalne wycofanie przez premiera kontrasygnaty już nie. W przypadku dopuszczania pewnych niepraworządnych metod trzeba być wyjątkowo ostrożnym. Tymczasem władza traktuje metody nadzwyczajne jako metody zwyczajne, co prowadzi nas do uznania niepraworządności za nowy praworządnościowy standard. Co skończy się tragedią państwa prawa.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Robił, co chciał

Jarosław Kaczyński absolutnie świadomie zbudował system, w którym państwem kierowała partia. A partią kierował on

Robert Walenciak

Zorganizowana grupa przestępcza? Państwo mafijne? Kaczyński jako ojciec chrzestny? Dziś to są publicystyczne określenia. Ale przecież nie wyssane z palca. System, który mieliśmy za władzy PiS, rządził się swoją logiką, miał swoje siły napędowe. I miał wodza, który o wszystkim decydował. Dlaczego więc mamy szarpać płotki, jakieś urzędniczeki, a ten, który za wszystko odpowiadał, udaje, że go przy tym nie było?

Przyjrzyjmy się, jak ten system wyglądał. Po pierwsze, co szczególnie razi szarego Kowalskiego, państwo PiS cuchnęło złodziejstwem i korupcją.

Dziś trudno już zliczyć regularnie ujawniane afery. W sferze zainteresowań prokuratury są i Kancelaria Prezesa Rady Ministrów, łącznie z Rządowym Centrum Legislacji (!), i Ministerstwo Sprawiedliwości, i spółki skarbu państwa... Instytucje teoretycznie najwyższego zaufania były

Ten, który za wszystko odpowiadał, udaje, że go przy tym nie było.

miejszem, gdzie rwno bez zahamowań. Przekazywano miliony nieuprawnionym spółkom i fundacjom, kupowano od dziwnych podmiotów za cenę wielokrotnie przekraczającą ich wartość a to maseczki, a to generatorzy, podpisywano warte setki milionów kontrakty, których potem nie zrealizowano, zatrudniano polecane osoby na fikcyjnych etatach, za pensje przekraczające wyobrażenie zwykłych zjadaczy chleba. Jakby w przeświadczeniu, że tak być powinno.

Po drugie, państwo PiS było zainfekowane wirusem autorytaryzmu, a rozszerzał się on z miesiąca na miesiąc.

Gdy w roku 2015 PiS zdobyło urząd prezydenta, a potem większość w parlamencie, ruszyło na podbój władzy sądowniczej. Najpierw podporządkowało sobie Trybunał Konstytucyjny. W sposób absolutnie nielegalny – uchwałą Sejmu uznano, że niedawny wybór pięciu sędziów TK

Państwo PiS cuchnęło złodziejstwem i korupcją.

był niewłaściwy i jest nieobowiązujący, w ich miejsce zatem powołano swoich. A gdy Trybunał próbował się bronić, stwierdzając, że działania PiS są niezgodne z konstytucją, szefowa kancelarii premiera Beata Kempa nie wydrukowała tych orzeczeń. Prawa do tego nie miała. Ale co można było jej zrobić? W ten sposób PiS zdobyło Trybunał Konstytucyjny, a właściwie nie zdobyło, tylko zniszczyło, bo ten pisowski organ nie jest uznawany przez obecną większość sejmową.

Kolejnym krokiem była nowa, pisowska Krajowa Rada Sądownictwa. Uchwalono nową ustawę o KRS, niezgodną z konstytucją, tworząc nowe ciało, nazywane dziś neo-KRS.

Potem rozpoczęła się wojna o Sąd Najwyższy i o podporządkowanie sędziów. PiS jej nie skończyło, można rzec, walki trwają.

Partia rządząca w wielkim stopniu podporządkowała sobie również gospodarkę. W roku 2016 prezesem NBP został Adam Glapiński,

którego w 2022 r. wybrano na drugą, sześcioletnią kadencję.

PiS wybrało także swojego szefa Komisji Nadzoru Finansowego, więc poprzez KNF i NBP mogło kontrolować system bankowy. Jak? Przekonać się o tym mogliśmy dzięki taśmom Leszka Czarneckiego, właściciela Getin Banku, i rozmowie zarejestrowanej w gabinecie szefa KNF. Pamiętają Państwo? To rozmowa z marca 2018 r., w której szef KNF Marek Chrzanowski proponował Czarneckiemu pomoc

w rozwiązaniu kłopotów Getin Banku, m.in. poprzez zatrudnienie wskazanego przez niego prawnika. Za 40 mln zł. A później poszli razem do Adama Glapińskiego.

Poprzez spółki skarbu państwa rozciągnięto też kontrolę nad znaczną częścią gospodarki.

O propagandzie, czyli przejęciu TVP i Polskiego Radia, niszczeniu mediów niezależnych i wspieraniu swoich w zasadzie nie ma co mówić... Wszystko skupiło się w rękach partii. A konkretnie – w rękach szefa partii.

Jarosław Kaczyński zbudował system, w którym zdemontowany został trójpodział władzy i w którym Sejm, rząd, urząd prezydenta, Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy, KRS, media publiczne, NBP, spółki skarbu państwa – wszystko to znalazło się pod jego kontrolą. Uczynił to najzupełniej świadomie.

Jest opowieść prof. Wojciecha Sadurskiego, który zna Lecha i Jarosława Kaczyńskich jeszcze z czasów studiów na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. I z seminariów

Jak Kaczyński ma ochotę, zostaje wicepremierem. Wówczas, gdy zbiera się Rada Ministrów, siedzi u szczytu stołu, a premier obok niego, cichutko.



u prof. Stanisława Ehrlicha. Sadurski opowiadał tę historię w Radiu Rebeliant, warto ją przypomnieć: „Uczestniczyliśmy w prywatnym seminarium u prof. Ehrlicha. I prof. Ehrlich, były marksista, ale rozczarowany do marksizmu i do systemu PRL-owskiego, postanowił spotykać się raz na jakiś czas i dyskutować rozmaite teksty ze studentami, doktorantami... To było międzypokoleniowe przedsięwzięcie. I m.in. Leszek i Jarek Kaczyńscy tam byli. (...)

Ehrlich miał rzeczywiście taki pomysł, że w każdym systemie konstytucyjnym, który się studiuje, należy wyszukiwać poza tekstem konstytucji, poza formami, faktyczną grupę, którą on nazywał ośrodkiem dyspozycji politycznej, a którą dzisiaj żartobliwie się nazywa grupą trzymającą władzę. Przy czym dla Ehrlicha nie był to jakiś ideał, nie chodziło mu o to, że w każdym państwie, bez względu na to, co konstytucja mówi, powinna być jakaś grupka, która trzyma władzę. Nie! On uważał, że tak po prostu jest. On był dość cyniczny, był nie tylko rozczarowany do systemu komunistycznego, ale tak samo do tzw. formalnej demokracji burżuazyjnej. I w związku z tym uważał, że wszędzie jest jakaś grupa nacisku, jakiś ośrodek wpływu, jakaś grupa, która monopolizuje władzę, bez

względu na to, co mówi konstytucja. Podkreślał, nie był to dla niego ideał, ale opis. Natomiast dla Kaczyńskiego to stało się ideałem. Stało się ideałem, że bez względu na podział władzy, bez względu na to, co mówi konstytucja – że tu jest prezydent, tam jest parlament, a tu jest jeszcze rząd, że to są rozmaite podmioty, tak naprawdę powinien być jeden ośrodek decyzyjny, w jego przypadku ośrodek, który jest na ulicy Nowogrodzkiej. I tam tak naprawdę wszystkie realne decyzje się podejmuje. A potem, jak formalnie to zo-

Prof. Sadurski o Polsce Ludowej ma nieprecyzyjną wiedzę. W czasach PZPR władza I sekretarza była ogromna, ale miała swoje ograniczenia. Po pierwsze, było Biuro Polityczne, które ograniczało I sekretarza. Po drugie, były frakcje, które knuły – i potrafiły na I sekretarza skutecznie oddziaływać. Owszem, w PiS są różne koterie, które walczą o wpływy. Nawet o to, kto będzie przewodził polskiej prawicy, gdy Kaczyński z polityki odejdzie. Ale te walki odbywają się według prostego schematu: każda ze stron

„Dopiero jak się ma forszę, to można się bawić w politykę” – to słowa Jarosława Kaczyńskiego.

stanie zapisane w prawie, te decyzje, to już jest do rozpisania przez jego współpracowników. Ale tak naprawdę powinna być jednolitość władzy. Czyli Kaczyński wraca do doktryny państwa komunistycznego. Państwa komunistyczne odrzucają nawet oficjalnie, w sferze deklaratywnej, zasadę podziału władzy, tylko mówi się o jednolitości władzy państwowej. Oni uważali, że aby nie było jakiegoś chaosu, kakofonii, musi władza być jednolita. Dokładnie to samo uważa Kaczyński”.

chce udowodnić, że to ona najwierniej służy prezesowi i najlepiej realizuje jego wolę.

Po trzecie wreszcie, I sekretarz musiał się liczyć z tzw. aktywem. Tamten system był przywiązany do procedur, do wyborów delegatów, zwłaszcza na zjazdy partyjne. Poprzedzane konwencjami, na których toczyły się twarde gry.

Tymczasem w partii Kaczyńskiej... Gdy piszę te słowa, w piątek 20 września, w PiS obowiązuje informacja, że kongres odbędzie się ►

► 28 września w Przysusze. O tym, że tak będzie, najważniejsi politycy tej partii dowiedzieli się 21 sierpnia. Poinformowano ich o tym SMS-em.

Przypominam, chodzi o kongres, czyli najwyższą władzę w partii. Jesteśmy przyzwyczajeni, że jego termin jest ustalany z dużym wyprzedzeniem, że poprzedzają go wybory delegatów, dyskusje programowe itd. A tu – myk, przychodzi SMS: jest kongres, masz się stawić itp. Kto o tym SMS-ie decyduje? Wiadomo kto.

Jarosław Kaczyński nie tylko zdecydował o dacie kongresu, ale i o tym, co na kongresie ma się zdarzyć. Że będzie nowa struktura partii, nowe władze. No i że będzie weryfikacja członków. „Nasza formacja to jest takie drzewo rozłożyste, ale niektóre gałęzie cokolwiek uschły i trzeba będzie je odciąć”, oświadczył.

Mówił też o kandydacie PiS na prezydenta. Że do 11 listopada powinien być wyłoniony. A jak zostanie wyłoniony? Media piszą o tym od tygodni. Jarosław Kaczyński ma trzech-czterech kandydatów i nad nimi się zastanawia. I to on go wybierze, on! A partia radośnie zaakceptuje. Podobnie



Kaczyński przez te lata nauczył się, że każdy może go zdradzić i że w polityce nie obowiązują takie rzeczy jak przyjaźń, wspólne poglądy, lojalność. To go zepsuło.

Znaczące są zresztą komentarze polityków PiS po emisji początkowych odcinków. Adam Bielan powiedział dziennikarzom, że Jarosław Kaczyński obejrzał pierwsze dwa i nie miał zastrzeżeń do przedstawionych postaci, w tym do siebie samego.

Dlaczego nie miał? Może dlatego, że ta postać mu się spodobała. A dlaczego mu się spodobała? Może było

był szefem Kancelarii Prezydenta. A później? Najgłośniejsze rozstania to te ze Zbigniewem Ziobrą, z szefową swojego komitetu wyborczego Joanną Kluzik-Rostkowską, z premierem Marcinkiewiczem, którego najpierw premierem zrobił, a potem odwołał, z Jackiem Kurskim, no i przede wszystkim z Ludwikiem Dornem, wiernym towarzyszem politycznej poniewierki.

Były też i są sytuacje nie to rozstania, ni to współpracy, pełne napięcia – jak z Beatą Szydło, Andrzejem Dudą, Janiną Goss. Były również powroty, pełne

Walki w PiS odbywają się według prostego schematu: każda ze stron chce udowodnić, że to ona najwierniej służy prezesowi.

było 10 lat temu, kiedy wybrał szerzej nieznanego Andrzeja Dudę. I wtedy, i teraz wybór należał do niego, inni nie mieli w tej sprawie nic do gadania.

W zasadzie więc wszystko jest jasne. Jarosław Kaczyński absolutnie świadomie zbudował system, w którym struktury państwa były ledwie atrapą, a państwem kierowała partia. Partią zaś kierował on.

To było oczywiste, powszechnie znane. Zwróćmy uwagę: gdy w roku 2017 pojawił się satyryczny serial „Ucho prezesa” według pomysłu Roberta Górskiego, to jego akcja działa się w gabinecie prezesa (domyślamy się, że na Nowogrodzkiej). A tam prezes o wszystkim decydował – groźny, nieprzewidywalny, górujący nad płaszczącymi się przed nim współpracownikami.

tak, jak mówił ówczesny prezes TVP Jacek Kurski: „W serialu nie ma pozytywnych bohaterów. Jakoś trzyma się tylko Prezes. Cała reszta to albo osoby niespełna władz umysłowych, albo integralne kanale. Natomiast słyszę ze wszystkich stron, że jestem tam, mimo wszystko, dosyć sympatycznie pokazany”. Sympatycznie, bo w roli absolutnego lizusa...

Opisując system Kaczyńskiego, musimy odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie – jak mu się udało? Jak mu się udało podporządkować sobie setki ludzi, tak że mógł robić z nimi, co chce?

Kariera polityczna Jarosława Kaczyńskiego to w zasadzie powtarzająca się sekwencja awantur i gwałtownych rozstań. Począwszy od rozstania z Lechem Wałęsą, u którego

skruchy i połamanych kręgosłupów – Kurskiego, Ziobry, Andrzeja Urbańskiego i innych.

Kaczyński przez te lata nauczył się, że każdy może go zdradzić i że w polityce nie obowiązują takie rzeczy jak przyjaźń, wspólne poglądy, lojalność. To go zepsuło.

Z różnych opowieści jego współpracowników wyłania się obraz człowieka, który sztukę manipulacji ludźmi uznał za clou polityki. I posiadał ją w stopniu doskonałym. Wojny, które wznieca, stan ciągłego napięcia, niepewności to jest ta atmosfera, w której najlepiej się czuje. Donosy, bezpieczniackie kwity, rozgrywanie jednych przeciwko drugim, napuszczanie jednych na drugich, zbieranie haków...

No i kij i marchewka. Wizja stano-
wisk i opowieść, że inni także na te

stanowiska czyhają. Oraz pieniądze. „Dopiero jak się ma forszę, to można się bawić w politykę” – to jego słowa. W ten sposób, grając na ambicjach, ale i na chciwości, zbudował partię. I podporządkował ją sobie.

Siłę dały mu też wewnątrzpartyjne kryzysy. Jeżeli takie inicjatywy jak Polska Jest Najważniejsza czy Solidarna Polska kończyły się poniżej pięcioprocentowego progu, to każdy członek PiS musiał uwierzyć, że przyszłość jest tylko z Kaczyńskim. A jeżeli widział, że nagradzana jest lojalność, dyspozycyjność, to jeśli chciał robić karierę, musiał do takiej grupy równać.

Przyciągało to ludzi określonego sortu. To zauważano już 30 lat temu. „Gromada spoconych facetów pchających się do władzy”, mówił o Porozumieniu Centrum, pierwszej partii Kaczyńskiego, Andrzej Celiński. Ale i niedawne słowa Kaczyńskiego, że trzeba usunąć z drzewa PiS uschłe gałęzie, świadczą o tym, że dobór kadr partyjnych kulał.

Ale tak to wyglądało. Kaczyński zawsze budował swoje partie z przesłaniem: idziemy przeciwko tym na górze, przeciwko elitom, żeby zająć ich miejsce.

Gdy opisujemy system Kaczyńskiego, zasadnicze pytanie więc brzmi, jak reagował, dowiadując się o kolejnych przekrętach swoich ludzi. Czy milczał? Tego jednoznacznie powiedzieć nie możemy. Znany jest jego list, w którym przestrzega Zbigniewa Ziobrę przed ostentacyjnym wykorzystywaniem pieniędzy z Funduszu Solidarności do celów partyjnych. W historii PiS była też inicjatywa, by w radach nadzorczych spółek skarbu państwa nie zasiadali członkowie rodzin polityków... Ale to wszystko nie miało ciągu dalszego, Kaczyński się wycofywał. Nie miał siły walczyć z partią? A może uznał, że to warta zapłaty cena za lojalność?

Tak wygląda system Kaczyńskiego. Prezes jest w nim jednocześnie głównym prawodawcą, wodzem i sędzią. To on decyduje, kto jakie stanowisko może zajmować i jak długo. On z kolei, jak ma ochotę, zostaje wicepremierem. Wtedy, gdy zbiera się Rada Ministrów, siedzi u szczytu stołu, a premier obok niego, cichutko.

A w Sejmie, gdy ma ochotę coś powiedzieć, wchodzi na trybunę „bez żadnego trybu”.

A prawo? Prawo w tym systemie ma znaczenie niewielkie, drugorzędne. Widzieliśmy to zresztą na przykładzie prokuratury. Gdy było trzeba, potrafiła umarzać sprawy, uznawać, że nie ma znamion przestępstwa. Ale gdy potrzeba była inna, prokuratorzy potrafili być szczególnie zasadniczy i zaciekli. Doskonałym przykładem jest kasus Ryszarda Czarneckiego, o którym tydzień temu pisaliśmy. Czarnecki mógł robić to, co robił, bo korzystał z parasola ochronnego prezesa.

Z opowieści współpracowników wyłania się obraz człowieka, który sztukę manipulacji ludźmi uznał za clou polityki. I posiadał ją w stopniu doskonałym.

W tym przypadku prokuratorzy skrupulatnie go omijali...

Inny przykład – jeden z ulubieńców prezesa, Daniel Obajtek, nie miał dopuszczenia ABW do informacji niejawnych, do dokumentów z gryfem „ściśle tajne”. Nie miał, bo o to się nie starał. Pewnie dlatego, że aby otrzymać stosowny glejt, trzeba wypełnić długi formularz, a w nim napisać o najbardziej osobistych kwestiach: rodzinnych, obyczajowych i majątkowych. Jak przypominał Onet, „Obajtek ma skomplikowane życie osobiste i wielki majątek składający się z dzieł sztuki, nieruchomości. W dodatku ma na koncie kłopoty z prawem – był oskarżony o współpracę z przestępcami i przyjęcie 50 tys. łapówki w zamian za ustawienie przetargu, w czasie gdy był jeszcze wójtem Pćmnia. Sprawa ta została jednak ostatecznie umorzona przez prokuraturę pod dyktando Zbigniewa Ziobry, tuż po dojściu PiS do władzy”.

Obajtek więc wniosku o dopuszczenie do tajemnic nie składał. Ale i tak był dopuszczany. Zapraszano go na posiedzenia różnych państwowych gremiów, gdzie debatowano nad materiałami poufnymi, z klauzulą „ściśle tajne”. Wtedy to, na wniosek Kaczyńskiego jako wicepremiera, albo szef kancelarii premiera Michał Dworczyk, albo minister aktywów państwowych Jacek Sasin udzielali

mu takiej jednorazowej zgody. W sumie takich zgód Obajtek uzyskał 21. W ten sposób de facto uchylono wobec niego konieczność uzyskiwania certyfikatów ABW. Postawiono go z woli Kaczyńskiego ponad kontrwywiadowczą osłoną, ponad państwem.

Nie dziwny się więc, że system Kaczyńskiego nazywano państwem mafijnym, a jego partię „zorganizowaną grupą przestępczą”. Jego samego zaś – szefem tej grupy. PiS przed takimi oskarżeniami się broniło, wytoczyło nawet proces prof. Sadurskiemu, który we wpisie na Twitterze tak właśnie PiS określił. Sadurski proces

wygrał, we wszystkich instancjach. Sąd uznał, że w określonej sytuacji, w ramach politycznej debaty mógł tego określenia użyć. Zdaniem sądu była to wypowiedź ocenna poprzez użycie metafory. Wyrażała w tym przypadku opinię o wykorzystywaniu państwa przez partię rządzącą do własnych celów przy użyciu metod niedemokratycznych.

Więc owszem, Sadurski proces wygrał, ale to nie znaczy, że zdaniem sądu PiS jest zorganizowaną grupą przestępczą. Zresztą on sam też tę cienkość dostrzegł. I radził mówić, że „państwo PiS działało jak zorganizowana grupa przestępcza”.

To nie znaczy, że i PiS, i sam Kaczyński przed kodeksami nie muszą drzeć. Przed zarzutami o nadużywanie władzy czy nieinformowanie o przestępstwach, o których wiedzieli. To nie znaczy, że skoro Kaczyński niczego nie podpisał, uznamy, że za nic nie odpowiada, że nic nie wiedział i w zasadzie go nie było. Był. Ponosi odpowiedzialność jako wicepremier ds. bezpieczeństwa, którym bywał, i jako szef wielkiej, stojącej ponad państwem organizacji. Zbudował wielkie dzieło – imponujące, ale i odrażające. I tak jak wtedy miał nieograniczoną władzę, również za tamto wszystko ponosi główną odpowiedzialność.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Prokurator do tuszowania przestępstw

Europoseł PiS, pierwsza prezes Sądu Najwyższego, wiceszef więziennictwa, brat komendanta głównego policji – oto kogo chronił prokurator Jerzy Ziarkiewicz

Andrzej Sikorski

Prokuratura Krajowa poinformowała o wszczęciu śledztwa i postępowania dyscyplinarnego w sprawie „niedopełnienia obowiązków i przekroczenia uprawnień przez byłego prokuratora regionalnego w Lublinie”. Chodzi o zaufanego człowieka Zbigniewa Ziobry, Jerzego Ziarkiewicza, który chronił związane z PiS osoby podejrzane o popełnianie przestępstw, a jednocześnie nadzorował śledztwa wymierzone w tych, których PiS uważało za swoich przeciwników.

Ta sprawa jest bezprecedensowa. W historii polskiej prokuratury zdarzali się nieuczciwi prokuratorzy, ale nie było jeszcze śledczego, który, wykonując dyspozycje polityczne, na tak masową skalę sprzeniewierzyłby się prokuratorskiemu ślubowaniu. Według moich informacji Ziarkiewicz może usłyszeć nawet kilkadziesiąt zarzutów. A jeśli podpadnięty prokurator „pęknie” w czasie śledztwa i zacznie mówić, być może pociągnie za sobą Zbigniewa Ziobrę. Jest bowiem mało prawdopodobne, by działał bez wiedzy i akceptacji przełożonego.

Prokurator o słusznych poglądach

Jerzy Ziarkiewicz pewnie nie zrobiłby tak spektakularnej kariery, gdyby PiS nie doszło do władzy. To dzięki Zbigniewowi Ziobrze został prokuratorem regionalnym w Lublinie, choć według plotek swój udział miał w tym również kościelny



Jerzy Ziarkiewicz pewnie nie zrobiłby tak spektakularnej kariery, gdyby PiS nie doszło do władzy.

biznesmen o politycznych zapędach – o. Tadeusz Rydzek. Ziarkiewicz nigdy nie krył się z poglądami. W swoim gabinecie na ścianie miał portret Marii i Lecha Kaczyńskich, bywał też często na miesięcznicach smoleńskich w Warszawie, choć nie afiszował się z tym. Gdy pod koniec listopada 2023 r. po przegranych przez PiS wyborach powstał marionetkowy rząd Mateusza Morawieckiego, dwutygodniowy minister sprawiedliwości i prokurator generalny Marcin Warchoł wręczył Ziarkiewiczowi odznakę Za Zasługi dla Wymiaru Sprawiedliwości, co

w środowisku prawniczym odebrano jako ponury żart. Odznaka przyznawana jest bowiem „za zasługi na rzecz umacniania zasad demokratycznego państwa prawnego, kształtowania kultury prawnej oraz właściwego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości”.

Pod specjalną ochroną

Do nadzorowanej przez Ziarkiewicza prokuratury (i prokuratur podległych) kierowane były „najgorętsze” politycznie śledztwa. W zależności od zapotrzebowania część

była prowadzona z przesadnym zaangażowaniem, inne zaś trafiały do tzw. zamrażarki, a właściwie do garażu prokuratury, gdzie ukrywano akta, co było niezgodne z prawem. W śledztwach, które rzekomo miały być prowadzone, nic się nie działo, a Ziarkiewicz tylko przedłużał ich bieg. Wyszło to na jaw przypadkiem, gdy jeden z kierowców prokuratury zaczął psioczyć na przełożonych, że musi parkować służbowy samochód pod chmurką, a w zimie dodatkowo odsnieżać pojazd i zdrapywać z niego lód, bo służbowy garaż zawalony jest pod sam sufit aktami.

To dzięki Zbigniewowi Ziobrze Ziarkiewicz został prokuratorem regionalnym w Lublinie.

Do tzw. zamrażarki trafiła np. sprawa ks. Mariusza W., wykładowcy akademickiego i dyrektora Światowych Dni Młodzieży w Krakowie w 2016 r., który zgwałcił kilka kobiet. Choć śledczy mieli zeznania pokrzywdzonych, duchowny przez kilka lat cieszył się wolnością. Został aresztowany dopiero w lipcu br., po tym jak nowe kierownictwo prokuratury nadało bieg „zamrożonym” śledztwom.

To Ziarkiewicz chronił przez lata europośła PiS Ryszarda Czarneckiego. Już w 2019 r. prokuratura dysponowała dokumentami z kontroli tzw. kilometrówek, którą przeprowadził Europejski Urząd ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych (OLAF). Wywnikało z nich, że polityk wyłudzał na gigantyczną skalę pieniądze z Parlamentu Europejskiego. Sprawa trafiła do podległej Ziarkiewiczowi Prokuratury Okręgowej w Zamościu i kisiła się tam przez pięć lat. Pewnie zakończyłaby się umorzeniem, ale PiS straciło władzę i nie dało się już dłużej tuszować nadużyć.

Prokurator Ziarkiewicz rozpiął także parasol ochronny nad bratem komendanta głównego policji Jarosławem Szymczyką, Łukaszem S., który działał w zorganizowanej grupie przestępczej wyłudzającej miliony złotych ze skarbu państwa na tzw. karuzeli vatowskiej. Łukasz S. został zatrzymany wraz z dwoma

innymi przestępcami. Oprócz zarzutu udziału w zorganizowanej grupie przestępczej usłyszał kolejne: prania brudnych pieniędzy, fałszowania faktur i oszustwa dotyczącego mienia znacznej wartości. Prowadzący śledztwo prokurator domagał się aresztu dla wszystkich podejrzanych, ale sąd rejonowy na to się nie zgodził, więc śledczy postanowił odwołać się od tej decyzji do sądu okręgowego. Wtedy interweniował Ziarkiewicz, który polecił wycofać wniosek o aresztowanie, ale tylko wobec Łukasza S. Prowadzący śledztwo prokurator nie zgodził się

nie został osądzony, ale nadal był wiceszefem polskiego więziennictwa, a gdy sprawa stała się głośna, uciekł na emeryturę, by wkrótce znaleźć – dzięki Zbigniewowi Ziobrze – zatrudnienie na dyrektorskim stanowisku w Mazowieckiej Instytucji Gospodarki Budżetowej Mazovia w Warszawie, która podlega Ministerstwu Sprawiedliwości (o ptk. Arturze Dziadoszu pisaliśmy w tekście „Ponad prawem” w PRZEGŁĄDZIE nr 50/2023).

Wyimaginowane oskarżenia

Za to z wielką gorliwością Ziarkiewicz grillował zniechędzonego przez PiS Romana Giertycha, z którego chciano zrobić przestępcę i oskarżyć o wyprowadzenie ponad 90 mln zł z giełdowej spółki Polnord. Sprawa była dęta, zajmowało się nią kilka prokuratur, aż ostatecznie trafiła do Lublina. Prokuratorzy podlegli Ziarkiewiczowi przez kilka miesięcy domagali się aresztowania Giertycha, jednak kolejne sądy się na to nie zgadzały z powodu braku prawdopodobieństwa popełnienia przestępstwa. W Sądzie Okręgowym w Lublinie prokuraturze postawiła się m.in. sędzia Dorota Dobrzańska, która utrzymała w mocy decyzję o odmowie aresztowania znanego adwokata i polityka. Jeszcze przed wydaniem przez sędzię Dobrzańską orzeczenia rozjuszony Ziarkiewicz sprokurował pismo z żądaniem

i zażądał polecenia na piśmie. Ziarkiewicz mu je wydał, dzięki czemu brat komendanta głównego policji uniknął aresztu, za to dwaj jego kompani trafili za kratki.

Już dawno powinien zostać osądzony ptk Artur Dziadosz, były zastępca dyrektora generalnego Służby Więziennej, który w listopadzie 2019 r. w Kozienicach na przejściu dla pieszych śmiertelnie potracił samochodem kobietę. W ciągu pół roku miejscowa prokuratura zebrała kompletny materiał dowodowy, dzięki któremu można było postawić Dziadoszowi zarzuty i skierować akt oskarżenia do sądu (oficerowi

W swoim gabinecie na ścianie Ziarkiewicz miał portret Marii i Lecha Kaczyńskich, bywał też często na miesięcznicach smoleńskich w Warszawie.

grozi kara od sześciu miesięcy do ośmiu lat więzienia). Jednak śledztwo zostało najpierw przejęte przez Prokuraturę Okręgową w Radomiu, a następnie przekazane do Prokuratury Okręgowej w Lublinie. Zdecydował o tym prokurator Ziarkiewicz, który objął je „zwierzchnim nadzorem”. Postępowanie ugrzęzło, bo prokuratorzy zaczęli na nowo analizować zebrany materiał dowodowy i zamawiać dodatkowe opinie biegłych. Ptk Dziadosz nie tylko

odsunął jej od sprawy. Argumentował m.in., że „sędzia i podejrzany w swoich zbieżnych treściowo wypowiedziach o wydzwieku antypaństwowym nawołują do nieposłuszeństwa wobec porządku prawnego, zaś działanie to wpisuje się w aktywność o charakterze politycznym, co nie pozostaje niezauważone wobec opinii publicznej”. Chodziło o to, że Dobrzańska i Giertych sprzeciwiali się demolowaniu wymiaru sprawiedliwości przez PiS. ►

► Wyraźnie rozbawiony Giertych tak to skomentował: „Prokuratura wreszcie wyłożyła, co mi zarzuca. Chodzi o skrajne poglądy polityczne i wypowiedzi o wydzwisku antypaństwowym, bo krytykuję działania Ziobry. No i to rozumiem. Nie pozostaje mi nic innego, jak przyznać się do winy”.

Ziarkiewicz wziął na celownik także 13 byłych członków zarządu i rady nadzorczej kolejowej spółki

Regionalnej w Lublinie, powinni też się zainteresować aktem oskarżenia, którym objęty został Krzysztof J. Sprawa jest poważna, bo wiele wskazuje na to, że nadzorowana przez Ziarkiewicza prokuratura oskarżyła niewinnego człowieka, aby uchronić przed odpowiedzialnością karną powiązaną z PiS pierwszą prezes Sądu Najwyższego Małgorzatę Manowską i jej współpracowników.

Ziarkiewicz rozpiął parasol ochronny nad bratem komendanta głównego policji Jarosława Szymczyka, Łukaszem S., który działał w zorganizowanej grupie przestępczej.

PKP Cargo. Menedżerowie kojarzeni z rządem PO-PSL rzekomo dopuścili się niegospodarności znacznych rozmiarów poprzez zakup 80% udziałów w czeskiej spółce Advanced World Transport po zawyżonej cenie. Zarzut był niedorzeczny, gdyż wycenę akcji przygotowali specjaliści z Domu Maklerskiego PKO BP i renomowanej firmy doradczej EY. Donos do prokuratury złożył Maciej Libiszewski, zaufany człowiek Jarosława Kaczyńskiego i były prezes pisowskiej spółki Srebrna, którego partia ulokowała na fotelu prezesa PKP Cargo. Jednak Prokuratura Okręgowa w Warszawie, która zajmowała się sprawą, nie dopatrzyła się żadnych nieprawidłowości i chciała śledztwo umorzyć. Wtedy zostało ono przekazane pod skrzydła Ziarkiewicza.

Śledztwo w lubelskiej prokuraturze toczyło się przez pięć lat i nic się w nim nie działo oprócz tego, że podpadniętym menedżerom postawiono zarzuty karne, co pisowska machina propagandowa wykorzystwała do ataku na opozycję. Już po zmianie władzy i sformowaniu nowego rządu Ziarkiewicz w styczniu br. zamknął śledztwo i pośpiesznie przesłał do sądu akt oskarżenia, który w lipcu... został wycofany (co zdarza się niezwykle rzadko), gdyż po analizie akt sprawy śledczy doszł do wniosku, że przestępstwa było.

Minister sprawiedliwości i prokurator generalny Adam Bodnar oraz Cezary Maj, szef Prokuratury

Chodzi o wyciek danych z informacjami dotyczącymi ponad 50 tys. sędziów, prokuratorów, asesorów sądowych i prokuratury, asystentów sędziów, kuratorów, urzędników sądów i prokuratur oraz pracowników Ministerstwa Sprawiedliwości, do którego doszło w lutym 2020 r. w podległej Ministerstwu Sprawiedliwości Krajowej Szkole Sądowniczej i Prokuratury (KSSiP). W internecie pojawiły się m.in. prywatne adresy mejlowe, adresy zamieszkania, numery telefonów, numery PESEL, numery ICQ, MSN, Skype,

nalot na dom jego rodziców, gdzie mieszkał. Posesję dokładnie przeszukano, a zdeorientowanego sytuacją mężczyznę o nieposzlakowanej opinii niczym kryminalistę zakuto w kajdanki i wywieziono do prokuratury, poddano go przesłuchaniu i postawiono mu zarzuty.

Tymczasem z moich ustaleń wynika, że za wyciek odpowiadają Małgorzata Manowska i podlegli jej pracownicy KSSiP. Jednak aby chronić sfraternizowaną z pisowską władzą wpływową sędzię, prokuratura winę zrzuciła na informatyka. Oczywiście śledztwo nadzorował Jerzy Ziarkiewicz. Gdy zapytałem w prokuraturze (Ziarkiewicz był wtedy jeszcze jej szefem), dlaczego oskarżono Krzysztofa J., skoro winę ponoszą wyłącznie pracownicy KSSiP, którzy wykazali się brakiem profesjonalizmu i nieznajomością procedur związanych z przetwarzaniem danych osobowych i cyberbezpieczeństwa, ówczesny rzecznik prasowy prokuratury nie zaprotestował, ale stwierdził, „że z chwilą skierowania aktu oskarżenia Prokuratura Regionalna w Lublinie stała się stroną postępowania karnego i tym samym utraciła uprawnienia do przekazywania informacji o sprawie”, instytucją zaś, „która może udzielić odpowiedzi na Pańskie

Do tzw. zamrażarki trafiła sprawa ks. Mariusza W., wykładowcy akademickiego i dyrektora Światowych Dni Młodzieży w Krakowie w 2016 r., który zgwałcił kilka kobiet.

Yahoo, nazwy użytkowników, adresy IP, a także hasła logowania.

Wyciek miał poważne konsekwencje. Kilku set prokuratorów i sędziów, otrzymało groźby – również pobicia i pozbawienia życia. Zdarzały się fałszywe informacje o podłożeniu bomby.

Małgorzata Manowska, która była wtedy sędzią Sądu Najwyższego (typowaną na pierwszą prezes) i jednocześnie dyrektorką KSSiP, o spowodowanie wycieku oskarżyła informatyka Krzysztofa J., pracownika firmy zewnętrznej współpracującej z KSSiP. Wkrótce po tym specjalna grupa policyjna zatrzymała młodego człowieka. O szóstej rano zrobiono

pytania, jest Rzecznik Prasowy Sądu Okręgowego w Warszawie, ponieważ akt oskarżenia został skierowany do Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy w Warszawie”.

Twierdzenie takie jest zdumiewające, bo przecież to nie sąd prowadził śledztwo w sprawie wycieku i to nie sąd oskarżył Krzysztofa J., a pytałem też o inne osoby niż oskarżony. Choć akt oskarżenia trafił do sądu w lutym 2023 r., to proces jeszcze się nie rozpoczął, a niewinny – na co wiele wskazuje – informatyk żyje z piętnem przestępcy. Wygląda to tak, jakby komuś zależało, aby sprawa została zapomniana.

Andrzej Sikorski

Impas z Intelem

Intel wycofuje się z inwestycji w Polsce, a wicepremier Gawkowski dziwi się tak samo jak wtedy, gdy sprzedali mu kradzione auto

Kornel Wawrzyniak

Jeszcze w piątek 13 września wicepremier, minister cyfryzacji chwalił się, że już niebawem pod Wrocławiem zacznie się budować fabrykę amerykańskiego producenta procesorów, Intela. Miał to być jeden z wielkich sukcesów nowego rządu. W fabryce półprzewodników w Miękinii zatrudnienie miało znaleźć ok. 2 tys. osób. Jednak w poniedziałek Krzysztof Gawkowski musiał ogłosić, że Intel wycofuje się z inwestycji. W komunikatach medialnych Ministerstwo Cyfryzacji kładło bardzo mocny nacisk na fakt, że producent procesorów wycofuje się nie z winy rządzących, ale z powodu sytuacji finansowej w samym Intelu. Firma zawiesiła na dwa lata swoje inwestycje w całej Europie. Tylko czy ta sytuacja rzeczywiście jest takim zaskoczeniem? A może wystarczyło wpisać w wyszukiwarkę Google hasło „Intel” i przeczytać kilka artykułów o tym producencie mikroprocesorów?

Trzy małpy

Japońskie przysłowie: *mizaru*, *kikazaru*, *iwazaru* oznacza: nie widzieć, nie słyszeć i nie mówić nic złego. Jego przedstawieniem jest rzeźba lub rysunek trzech siedzących obok siebie małp, z których jedna zasłania sobie uszy, druga oczy, trzecia pysk. Działanie decydentów w sprawie inwestycji w fabrykę Intela przypomina trochę taką konformistyczną postawę wobec przeciwności losu.

Ale zacznijmy od początku. Dla niezorientowanych – Intel to jeden z największych producentów mikroprocesorów na świecie.



Firmie Pata Gelsingera (nz. z lewej) najbardziej zależy na produkcji chipów w USA. Administracja Joeego Bidena przyjęła specjalną ustawę o inwestycjach w półprzewodniki, co oznacza spore pieniądze.

W ostatnich latach pozycja firmy z Santa Clara w Kalifornii zaczęła jednak słabnąć na rzecz konkurencji. Ludzie z Ministerstwa Cyfryzacji powinni być doskonale zorientowani, z kim robią interesy i w jakiej kondycji jest firma potencjalnego partnera. To nawet nie zdrowy rozsądek, lecz podstawowa zasada w biznesie.

Czy zatem kłopoty z Intelem były do przewidzenia? Nawet jeśli ktoś nie chce stawiać się w roli wszechwiedzącej wyroczni, może stwierdzić, że tak. Zła passa kalifornijskiej firmy trwa już od kilku lat, ale ostatnie miesiące są wręcz spektakularną kląpą. Na początku sierpnia 2024 r., czyli zaledwie miesiąc temu, Intel zwolnił ok. 15 tys. pracowników, obcinając

przy tym koszty w samych Stanach Zjednoczonych o 40 mld dol. Działania firmy w ostatnim czasie ogólnie raczej nie odpowiadają inwestorom, co odzwierciedlają ceny jej akcji, które z 70 dol. spadły do zaledwie 20 dol. (tak nisko akcje Intela nie stały od 11 lat). Tylko od początku tego roku cena akcji zmalała o 58%.

Gigant w kłopotcie

Rada nadzorcza Intela już zeszłej wiosny sugerowała prezesowi Patowi Gelsingerowi, aby ten zwrócił większą uwagę na strategię dotyczącą sztucznej inteligencji. Obawiano się, że koncern straci rynek produkcji chipów dla generatywnej sztucznej inteligencji, która pojawiła się wraz

► z uruchomieniem ChatGPT przez OpenAI. Nie trzeba wspominać, że ten nowy rynek jest dziś wart setki milionów dolarów. Jak widać po sytuacji na rynku mikroprocesorów, Gelsinger albo nie posłuchał, albo coś mu nie wyszło, Intel bowiem jest w ogniu sprzedaży procesorów AI. Być może dlatego, że właściwie nie ma ich w ofercie. Pozostaje w tyle

odejścia i problemy finansowe. Na łamach „Financial Timesa” można było przeczytać wypowiedzi sfrustrowanych, byłych już pracowników Intela, którzy narzekali zwłaszcza na ogromną, spowalniającą wszystko biurokrację w firmie.

Co gorsza, Intel zaliczył paskudną wpadkę z dwiema ostatnimi generacjami procesorów, które bez

w Ohio na koniec 2026 r. Dlaczego ten kontekst jest ważny? Z dwóch powodów. Po pierwsze, inwestycja w Izraelu była wymieniana jednym tchem z Polską, Niemcami, Irlandią, Kostaryką i Malezją. Mieliliśmy więc pierwszy zwiastun katastrofy trzy miesiące temu. Po drugie, Intel ogłosił, że nie zamierza rezygnować z budowy fabryk w USA. Prawdopodobnie chodzi o 8,5 mld dol. pożyczki oraz 11 mld dol. wsparcia dla fabryk Intela na terenie Stanów Zjednoczonych. Wszystko za sprawą ustawy o inwestycjach w półprzewodniki (The CHIPS and Science Act), którą uchwaliła administracja Joeego Bidena, aby wesprzeć krajowy przemysł mikroprocesorów.

Nadzieją dla Intela jest przede wszystkim współpraca z rządem USA. Producent zawarł wart 3,5 mld dol. kontrakt z Pentagonem. Chodzi o przeniesienie do USA produkcji chipów wojskowych. Taka opcja jest dla amerykańskiego wojska zdecydowanie bezpieczniejsza niż zależność od procesorów tajwańskiego producenta TSMC. A to jedynie wierzchołek góry lodowej. The CHIPS and Science Act łączy się z programem Secure Enclave, który ma zapewnić stały doływ najnowocześniejszych układów scalonych wykorzystywanych do celów obronnych i wywiadowczych. Pieczętami z Secure Enclave zarządza amerykański Departament Obrony, który zdecydował, że beneficjentem programu SE pozostanie wyłącznie... Intel. Oprócz wymienionych wyżej kwot w trzecim roku finansowania, czyli w 2026, w puli ma się pojawić kolejne 500 mln dol. Wszystko to może oznaczać, że na razie Intelowi kompletnie nie opłaca się ruszać z inwestycjami poza krajem ojczystym.

Nieinteligentny Intel

Firma z Kalifornii wytraciła impet już jakieś cztery lata temu. Intel stracił dużego klienta, w momencie kiedy Apple w 2020 r. zaczął przechodzić na procesory własnej produkcji w architekturze ARM. To bardzo energooszczędne chipy, których zalety dało się zauważyć już w smartfonach

Zła passa Intela trwa już od kilku lat, ale ostatnie miesiące są wręcz spektakularną klapą.

zarówno za Nvidią (producentem kart graficznych), jak i za swoim wieloletnim konkurentem AMD. Aby zobrazować skalę problemu, dość powiedzieć, że Nvidia w ostatnim roku zbliżyła się do wartości 3 bln dol., podczas gdy wartość Intela w tym samym czasie spadła ze 150 mld dol. do zaledwie 80 mld dol.

Według Bloombergu Intelowi nie udało się zrealizować celów sprzedażowych na rok 2022, kiedy z powodu pandemii COVID-19 trwał bum na komputery osobiste. Te środki miały posłużyć do sfinansowania ogromnych planów inwestycyjnych, m.in. otwierania kolejnych fabryk na całym świecie. Tymczasem firmą wstrząsają kolejne głośnie

odpowiednich aktualizacji trwale uszkadzały sprzęt z powodu zbyt wysokiego napięcia. To skłoniło konsumentów do postawienia na konkurencyjne produkty od AMD i Nvidii. Intel przestał być dla fanów pecetów i dla środowiska graczy synonimem niezawodności. Wizerunkowo to absolutna katastrofa dla firmy produkującej mikroprocesory.

A gdyby to nie wystarczało, by poczuć chociaż odrobinę sceptycyzmu wobec planów inwestycyjnych Intela w Europie, znowu zajrzyjmy do serwisu Bloombergu. Intel zredukował wydatki na wielką fabrykę w Izraelu już w czerwcu, a na początku 2024 r. informował o przesunięciu terminu ukończenia zakładu

FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIŁĘ

Uważasz, że dzieci
zasługują na bezpieczne
dzieciństwo?

Podpisz apel!

i tabletach. Na przykładzie laptopów Apple'a z procesorami M1 widać było, że ARM jest również przyszłością dla komputerów przenośnych. Część prasy branżowej twierdzi, że wydajność układów ARM w zastosowaniach profesjonalnych pod kontrolą systemu macOS okazała się znacząco wyższa niż ich odpowiedników w architekturze x86 (to właśnie konstrukcje Intel'a) działających

na rynku smartfonów z systemem Android (sprzęt z tym systemem stanowi ok. 70% światowego rynku smartfonów).

Przy wprowadzaniu na rynek systemu współpracującego ze sztuczną inteligencją Microsoft zatem postawił właśnie na Qualcomm. Ten jako pierwszy stworzył procesory do rozwiązania Copilot+ PC (czyli ChatGPT w najnowszym Windowsie).

Na początku sierpnia Intel zwolnił ok. 15 tys. pracowników, obcinając koszty w samych Stanach o 40 mld dol.

pod kontrolą Windows. Jest to jednak kwestia nie samego systemu, ale jego odpowiedniego współgrania z procesorem. „Niewątpliwą zaletą jest także lepsza efektywność i mniejsze wymagania co do układu chłodzącego”, czytamy na łamach czasopisma „Komputer Świat” o procesorach ARM.

Pod koniec 2022 r. dało się zauważyć, że Microsoft robi przymiarki do procesorów ARM dopasowanych do jego systemu operacyjnego. Wtedy producent wprowadził do oferty nowy model bardzo popularnego tabletu Surface z procesorem SQ3, który był właśnie stworzony w tej architekturze. Ale na wszelki wypadek Microsoft sprzedawał też modele z procesorami Intel'a. Okazało się to o tyle słusznym ruchem, że SQ3 był sporą niedoróbką. Sprzęt miał jednak funkcje niedostępne dla tej samej konstrukcji z procesorem Intel'a.

Od czasu porażki z SQ3, który Microsoft budował we współpracy z chińskim Qualcommem, minęły dwa lata. Sztuczna inteligencja bardzo od tego czasu się rozwinęła, a z nią również rynek mikroprocesorów.

Intel niestety został daleko za konkurencją. Microsoft, jak i reszta branży, wiedział, że architektura ARM to właściwy kierunek. Qualcomm zdążył zebrać ogromne doświadczenie i dostosowywał swoje kolejne procesory do rynku opartego w coraz większym stopniu na AI. Wszystko przez fakt, że Qualcomm cały czas dostarcza procesory głównym graczom

Dlatego już w maju, po premierze Copilot+, dostaliśmy wyraźny sygnał, że Intel wypadł z gry na ogromnym rynku komputerów osobistych, na którym niegdyś królował. Stracił również dużego klienta, jakim jest koncern Sony. Firma nie zdołała się dogadać w sprawie produkcji mikroprocesorów dla kolejnej generacji konsoli PlayStation. Podobnie

wynikać ze zwykłej ignorancji nadzorowanego przezeń resortu. Należy się zastanowić, czy możemy w ogóle odczuć jakąś zmianę jakościową, jeśli chodzi o kierowanie ministerstwem. Wszak działania poprzednika Gawkowskiego, Janusza Cieszyńskiego, również najczęściej przypominały zabawę w piniatę, czyli walenie na oślep. Poprzedni minister cyfryzacji także miał słabość do zachodnich korporacji. W końcu to Cieszyński tuż po wizycie przedstawicieli Netfliksa w Polsce chciał zablokować polskim artystom pobieranie tantiem z internetu.

Polacy zabrali się do stawiania fabryki producentowi procesorów, który ma jedne z gorszych wyników giełdowych w swojej historii i przegrywa walkę o rynek z konkurencją. Dziś świat zastanawia się, czy Intel dogoni pozostałych producentów i czy dynamiczny rozwój AI pomoże mu wyjść z dołka, czy ostatecznie go pogrzebie.

Zainwestowanie w miejsca pracy dla Polaków, szczególnie w branży

Ceny akcji Intel'a z 70 dol. spadły do zaledwie 20 dol.

jak w xboxach znalazły się w nich ponownie układy od AMD. Niech czytelnik sam osądzi, czy znając tych kilka faktów, nie dało się przewidzieć, że interesy z Intelem mogą oznaczać kłopoty.

Mądry Polak po szkodzie

Według oficjalnych informacji z Ministerstwa Cyfryzacji można zakładać, że Polacy wywiązali się z każdej możliwej drobnostki, aby fabryka Intel'a pod Wrocławiem powstała. Załatwiono nawet finansowanie z Unii Europejskiej.

Szkoda tylko, że decydem nie wystarczyło tej rzetelności wobec wyborców i osób, którym obiecano 2 tys. miejsc pracy około roku 2027. Prosta analiza rynku, polegająca jedynie na przejrzeniu kilku artykułów w branżowej prasie i sprawdzaniu wyników spółki na giełdzie, już daje pewien ogląd sytuacji. Zdziwienie ministra Gawkowskiego zdaje się

technologicznej, wydaje się oczywiście bardzo rozsądnym pomysłem. Jak pisał jednak Voltaire: „Zdrowy rozsądek jest czymś pośrednim między inteligencją a głupotą”. Ani to oparcie się na jakimś doświadczeniu i wyczuciu, ani korzystanie z wiedzy eksperckiej. A chyba tego ostatniego wymagamy od decydentów z konkretnego resortu. Jak widać, działania związane z budową fabryki Intel'a pod Wrocławiem równie dobrze mogły być oparte na przekonaniu, że Intel to największa firma produkująca procesory, bo naklejki z tą nazwą widać na większości komputerów. Na tym rozpoznanie rynku mogło się skończyć.

Przepadło 2 tys. miejsc pracy i zostajemy z komunikatem, że rząd będzie teraz (dość gorączkowo) szukał innego inwestora, jednocześnie wciąż czekając na Intel'a. Musztarda po obiedzie.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Głupi Polak po szkodzie

Kto protestował przeciw budowie zbiorników retencyjnych, które mogły ograniczyć katastrofę w Kotlinie Kłodzkiej? I co z tego wynika?

Grzegorz Rudnik

Jeszcze nie wiemy, jaką nazwę otrzyma tegoroczna powódź, która spustoszyła Kotlinę Kłodzką. W przypadku części tamtejszych miejscowości sytuacja jest gorsza niż 27 lat temu, w czasie „powodzi tysiąclecia”.

15 września br. naporu wody nie wytrzymały wały w Głuchołazach. Woda wdarła się do miasta, zniszczyła dwa mosty i uszkodziła dziesiątki, jeśli nie setki domów. Burmistrz Paweł Szymkowicz oszacował straty w samej infrastrukturze miejskiej na 250 mln zł. Ile stracili mieszkańcy, na razie nie wiadomo, zapewne co najmniej drugie tyle.

W Stroniu Śląskim powódź wywołała jeszcze większe spustoszenia. Gdy runęła tamtejsza tama, ściana wody i błota uderzyła w to malownicze pięciotysięczne miasteczko, porwała posterunek policji, uszkodziła drogi i wiele domów. Jeden z mieszkańców powiedział do kamery, że „Stronia już nie ma”.

Podobne sceny miały miejsce w Kłodzku, Łądku-Zdroju, Brzegu, Prudniku i wielu innych miejscowościach. Na szczęście zniszczenia były tam mniejsze, co nie zmienia faktu, że odbudowa dotkniętych powodzią miast, miasteczek i wsi będzie kosztowała dziesiątki miliardów złotych i potrwa latami. Nic dziwnego, że zaczęło się szukanie winnych.

Zwolennicy PiS gotowi są przysiąc, że widzieli Tuska z Kosiniakiem-Kamyszem, jak kręcili się w Głuchołazach nocą przy wałach, które potem pękły. Sympatycy Platformy Obywatelskiej nieśmiało oskarżają PiS, że niewiele zrobiło w sprawie zabezpieczenia mieszkańców tej części kraju przed skutkami powodzi. A obie strony starają się przemilczeć udział swoich

polityków w hamowaniu budowy zbiorników retencyjnych, które, jeśli nawet nie ocaliłyby Kotliny Kłodzkiej, to z pewnością ograniczyłyby skutki katastrofy.

Jestem za, a nawet przeciw

17 maja 2019 r. ówczesna posłanka na Sejm z Platformy Obywatelskiej Monika Wielichowska pisała na Twitterze, że uczestniczyła w jednym ze spotkań z mieszkańcami w Ścinawce Górnej, podczas którego jasno określili oni, co myślą o przygotowanej przez rząd analizie zawierającej propozycje lokalizacji dziewięciu suchych zbiorników retencyjnych na terenie Kotliny Kłodzkiej. W sieci krąży zaś fragment jej wywiadu udzielonego Telewizji Sudeckiej – Wielichowska mówi, że zapyta, ile publicznych pieniędzy zostało wydanych na ten cel.

Obie strony politycznego sporu starają się przemilczeć udział swoich polityków w hamowaniu budowy zbiorników retencyjnych, które mogły ograniczyć skutki powodzi.

Ponieważ wszystko to działo się przed wyborami do Sejmu i partie walczyły o głosy, do akcji włączyła się posłanka i minister edukacji Anna Zalewska z PiS, która solennie zapewniła mieszkańców Kotliny Kłodzkiej, że żadnych nowych zbiorników nie będzie – ten fragment jej wypowiedzi także znajdziemy w internecie.

W konsekwencji rząd PiS zrezygnował z budowy sześciu planowanych zbiorników. Dziś pewnie bardzo by się one przydały. Tak jak wybudowany w latach 2013-2020 największy w Polsce zbiornik retencyjny Racibórz Dolny. To on w ubiegłym tygodniu ocalił

przed powodzią Wrocław, przejmując ogromne ilości wody płynące Odrą.

Historia jego budowy to historia protestów ekologów i mieszkańców dwóch wsi położonych na jego terenie – Nieboczowy oraz Ligota Tworowska – które miały zostać zlikwidowane.

Budowa Raciborza Dolnego mogłaby ruszyć już w roku 2002, lecz przetarg ogłoszono dopiero w roku 2010. A rozstrzygnięto go trzy lata później. Umowę na realizację projektu podpisano z hiszpańską firmą Dragados. Zakończenie budowy zbiornika planowano na rok 2017, lecz wykonawca nie dotrzymał terminu i umowa została zerwana. Inwestycję dokończyło polsko-hiszpańskie konsorcjum Budimex-Ferrovial Agroman. Oficjalne oddanie zbiornika do użytku nastąpiło 30 czerwca 2020 r.

Wieś Nieboczowy została odbudowana w innym miejscu i dziś jej

mieszkańcy są zadowoleni. Nie muszą się martwić, że zaleje ich kolejna powódź. O protestach wolą nie pamiętać.

Warto zwrócić uwagę, że Racibórz Dolny to zbiornik retencyjny suchy, który jedynie w sytuacji zagrożenia powodzią gromadzi wodę, a następnie ją wypuszcza. Był pomysł wybudowania zbiornika „mokrego”, cały czas wypełnionego wodą, którą można by zrzucić do Odry, gdyby poziom rzeki był zbyt niski.

W ostatnich latach wiele się mówiło o złotej aldze, która rozwija się w naszej granicznej rzece, gdy

rośnie jej zasolenie. Wypełniony wodą zbiornik retencyjny Racibórz Dolny mógłby skutecznie rozwiązać ten problem, gdyby nie ekolodzy, którzy protestami uniemożliwili budowę „mokrego” zbiornika. Dziś oczywiście milczą na ten temat i pewnie chcieliby, aby inni zapomnieli o ich udziale w protestach, które wstrzymywały budowę kolejnych zbiorników retencyjnych na terenie kraju.

Protesty ekologów i polityków towarzyszyły też innym inwestycjom. Kilka lat temu ówczesna posłanka Platformy Obywatelskiej, obecnie wiceministra klimatu, Urszula Zięlińska, złożyła w Sejmie interpelację

oraz ryb, np. zimorodka, piekielnic, niteczek”.

Identycznych argumentów używali ekolodzy walczący o wstrzymanie prac związanych nie tylko z budową zbiorników retencyjnych, lecz także wszelkich innych inwestycji budujących ich wątpliwości. Oczywiście zawsze chodziło o dobro mieszkańców, flory i fauny oraz przyszłych pokoleń. Rzecz w tym, że żyjący tu i teraz ludzie mają inne potrzeby. Nie chcą np., by co jakiś czas woda zalewała ich mieszkania i domy.

Szacuje się, że w roku 1997 straty spowodowane powodzią sięgnęły 12-14 mld zł. Tegoroczne mogą się okazać podobne, co oznacza, że rząd

i Boboszowie. Mają one chronić 6,5 tys. osób.

W roku 2019 trwały konsultacje społeczne z mieszkańcami, zorganizowane przez Wody Polskie. Chciano przekonać ludzi do zgody na realizację tej inwestycji. W najbardziej rozwiniętym wariantie przewidywano budowę aż 16 nowych zbiorników retencyjnych. Pojawiła się informacja, że jeśli ten wariant zostanie przyjęty, wysiedlonych zostanie 2,5 tys. osób. W przypadku budowy dziewięciu zbiorników wysiedlonych miało zostać 1,2 tys. osób.

Przygotowana przez Wody Polskie „Analiza zwiększenia retencji powodziowej w Kotlinie Kłodzkiej”

W najbardziej rozwiniętym wariantie przewidywano budowę aż 16 nowych zbiorników retencyjnych.



Jezioro Nyskie – zaporowy zbiornik retencyjny na Nysie Kłodzkiej zbudowano jeszcze w 1971 r. Nz. prace zabezpieczające z udziałem black hawka, 17 września 2024 r.

w sprawie budowy zbiornika retencyjnego Wielowieś Klasztorna na rzece Prośnie w Wielkopolsce.

W ocenie posłanki taki zbiornik w najmniejszym stopniu nie spełniał współczesnych potrzeb, a jego budowa była sprzeczna z wytycznymi krajowymi i unijnymi. Poza tym, jak pisała posłanka, „wody zaleją tereny z niezwykle wysokimi walorami krajobrazowymi w okolicach miejscowości Przystajnia, z licznymi meandrami i starorzeczami. Na odcinku rzeki między Grabowem nad Prosną a Nową Kakawą istnieje wiele miejsc lęgowych różnych gatunków ptaków

będzie musiał te miliardy znaleźć. Ekolodzy w tym nie pomogą.

Rachunek zysków i strat

Dlaczego mimo ewidentnego zagrożenia powodzią w południowej części kraju tak powoli budujemy niezbędną infrastrukturę, która ma zminimalizować szkody? Być może z powodu wysokich kosztów. W latach 2019-2023 za 238 mln zł Wody Polskie wybudowały w Kotlinie Kłodzkiej cztery suche zbiorniki przeciwpowodziowe: w Krosnowicach, Roztokach, Szalejowie

wywołała burzliwą reakcję. Mieszkańcy wiosek zagrożonych likwidacją zaczęli zbierać w internecie podpisy pod petycją, w której domagali się wstrzymania prac.

Pisali, że budowa zbiorników retencyjnych oznacza nieodwracalne zmiany w krajobrazie Kotliny Kłodzkiej, że zniszczeniu ulegną cenne ekosystemy, lasy lipowo-jaworowe oraz siedliska wielu chronionych roślin i zwierząt. Przypominano, że wycięcie drzew w związku z budową zbiornika w Boboszowie oznaczało zniszczenie siedlisk ponad 80 gatunków chronionych zwierząt.

► Pod petycją podpisały się tysiące osób. Udało się wywrzeć skuteczny nacisk na rządzących i budowa nowych zbiorników retencyjnych została wstrzymana. Ciekaw jestem, co dziś, w obliczu dramatu mieszkańców Kotliny Kłodzkiej, powiedzieliby ci, którzy pięć lat temu organizowali protest. Co powiedzieliby ci, którzy podpisali się pod petycją. I ci, którzy nagłaśniali tę sprawę w mediach.

Politycy, zarówno z Platformy Obywatelskiej, jak i z Prawa i Sprawiedliwości, oskarżają się nawzajem, lecz nic z tego nie wynika. Problemem jest to, że nie umiemy współdziałać

zagrożonych powodzią przed katastrofą, to proces obliczony nie na lata, ale na dekady.

Świetnym przykładem jest Holandia, którą na początku 1953 r. dotknęła ogromna powódź. Sztorm na Morzu Północnym spowodował olbrzymią falę, która w nocy z 31 stycznia na 1 lutego wdarła się na 75 km w głąb kraju. Woda zalała 200 tys. ha ziemi. Zginęło 1836 osób, zniszczeniu uległo 47 tys. budynków. By w przyszłości uniknąć podobnych tragedii, Holendrzy stworzyli system śluz i zapór przeciwpowodziowych, nazwany Planem Delta. Jego realizacja trwała

Tylko czy tak musi być? Wydawać by się mogło, że najważniejszą postacią na scenie politycznej powinna być ministra klimatu i środowiska. Obawiam się jednak, że Paulina Henig-Kloska przejdzie do historii nie jako heroína broniąca ludzi na wałach, lecz jako bohaterka skandalu wywołanego wypowiedzią o „nisko oprocentowanych pożyczkach” na walkę z powodzią.

W trudnej sytuacji znalazła się wiceministra Urszula Zielińska, gdyż opozycja przypomina jej walkę z budową zbiorników retencyjnych i niezbyt fortunne wypowiedzi na temat Odry. Dysponując takim zapleczem, premier Donald Tusk może liczyć wyłącznie na siebie, wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza i ministra Tomasza Siemoniaka. Tworzą oni ekipę, która w tych warunkach dobrze sobie radzi.

Tak się złożyło, że ważnym dziś resortem infrastruktury kieruje ludowiec Dariusz Klimczak. Jego ludzie mają pełne ręce roboty, a będą mieli jeszcze więcej. Jeśli do tego zespołu dodamy ministra rozwoju i technologii Krzysztofa Paszyka, okaże się, że walka z powodzią i jej skutkami spoczywa na barkach polityków Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego.

Zdumiewająca jest nieobecność liderów Lewicy, którym zabrakło inicjatywy. Może dlatego, że trzeba mieć pomysły wybiegające lata w przyszłość?

Za to z dobrej strony zaprezentowała się przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, która przyjechała do Wrocławia na zaproszenie premiera Donalda Tuska i na wspólnej konferencji obiecała krajom dotkniętym powodzią 10 mld euro z Funduszu Spójności.

Jeśli te pieniądze się pojawią, premier poprawi swoje notowania. Polacy lubią tych, którzy potrafią załatwić pieniądze. Byłoby jeszcze lepiej, gdybyśmy cenili tych, którzy umieją rozwiązywać poważne problemy. Na przykład – jak zabezpieczyć Polskę przed kolejną wielką wodą. Bo to, że ona przyjdzie, jest pewne. Obyśmy znów nie okazali się głupi po szkodziu.

Grzegorz Rudnik

Zbiornik retencyjny Racibórz Dolny ocalał przed powodzią Wrocław, przejmując ogromne ilości wody płynące Odrą. Historia jego budowy to historia protestów ekologów i mieszkańców dwóch wsi położonych na jego terenie.

z przyrodą. Co gorsza, de facto zrezygnowano z planowania przestrzennego, traktując je jako wymysł komunistów, i mamy wolnoamerykanek, która wyraża się tym, że na terenach zalewowych powstają osiedla albo budowane są pojedyncze, nieprzystosowane do tego konstrukcyjnie domy.

W ostatnich latach Lasy Państwowe prowadziły rabunkową gospodarkę, wyrabując i sprzedając rekordowe ilości drewna. Wycinano drzewa także w Kotlinie Kłodzkiej. Tymczasem lasy, zwłaszcza liściaste, świetnie zatrzymują wodę. Należałoby się spodziewać, że na obszarach zagrożonych powodzią wstrzymana zostanie wycinka drzew. Ma to szczególne znaczenie na terenach górskich. Tam woda bardzo szybko spływa. A jeśli opady są intensywne, to niewielki potok błyskawicznie zmienia się w rwącą rzekę, która niszczy wszystko na swojej drodze. Rządzący o tym wiedzą, lecz póki nie dojdzie do tragedii, nie myślą o tym.

Nie ma też konsensusu głównych partii politycznych ani w sprawie gospodarki leśnej, ani co do planowania działań związanych z zabezpieczeniem przed powodzią. Po wygranych wyborach zwycięzcy ogłaszają, że poprzednicy wszystko rozbili źle, i zaczynają od punktu zera. Tymczasem budowanie systemu, który uchroni mieszkańców terenów

40 lat. Ostatnim elementem systemu była budowa Maeslantkering, ogromnych obrotowych wrót pozwalających na zamknięcie kanału prowadzącego do portu w Rotterdamie. Wartą ponad 3 mld dol. inwestycję rozpoczęto w roku 1991, a zakończono w roku 1997.

System zabezpieczający Holandię przed powodzią jest uważany nie tylko za cud inżynierii, ale również za niezwykle przykład kompromisu zawartego przez polityków, rolników, rybaków, przemysłowców i ekologów, którzy przez niemal pół wieku konsekwentnie dążyli do wyznaczonego celu.

Co nas czeka?

Byłoby dobrze, gdyby także polscy politycy zrozumieli, że w takich sprawach jak zabezpieczenie kraju przed powodzią niezbędny jest konsensus zawarty nie na lata, ale na dziesięciolecia. Po raz kolejny oglądamy w programach telewizyjnych ogrom zniszczeń dokonanych przez żywioł. Często są to te same miejscowości, co poprzednio, w latach 1997 i 2010. Po raz kolejny wykazujemy się niezwykłą ofiarnością, wspierając, czym możemy, tych, którzy utracili dobytek. No i po raz kolejny rządzący liczą straty, organizują pieniądze na odbudowę.

Dzięki, zaporo cesarzowej!

Powódź w Górach Opawskich:
Jarnołtówek, Pokrzywna, Moszczanka

Beata Dżon-Ozimek

Zapora wytrzymała, stara, ponie-miecka, ale doglądana z miłością i troską. Są dobra upragnione: chleb, woda i prąd. Jest też rzesza pomagaczy, wspaniatych ludzi. To powodzia-nom daje siłę i wsparcie.

– W czwartek byliśmy w Prudniku w kinie na thrillerze. W piątek mąż pracował w Nysie, jechał z Pokrzywnej, kto by tam wierzył w powódź. W sobotę miał urodziny, chcieliśmy iść do kina na nasz ukochany tytuł. Ale w sobotę już mieliśmy ulewę, fa-lę, rzekę rozmiarów nam nieznanych – opowiada Krystyna.

Woda zdominowała wszystko. Kina na razie nie będzie, choć oglądanie powodzi też jest filmem, zwłaszcza kiedy własny dom stoi w miarę bezpiecznie. Jak łatwo się komentuje, że ludzie sobie postawili domy blisko rzeki i się dziwią, że im je potem porywa. No ale taka mała rzeczka, struga, Żółty Potok w Jarnołtówku, płynący też m.in. przez Pokrzywną i Moszczankę. Te dwie dawne niemieckie wsie dzieli podniebny wiadukt kolejowy, postawiony po zniszczeniu poprzedniego podczas wielkiej powodzi latem 1903 r. Właśnie ta podstępna rzeczka o cechach rzeki górskiej podmyła stary most. Zawisły wówczas same tory kolejowe, co utrwalono na zdjęciach. Resztki fundamentów widać do dziś.

Tu opuszcza się turystyczną, hotelową strefę Pokrzywnej, przechodząc na teren Moszczanki ze stawem rybnym i knajpką. Szło się po żółtym mostku, całkiem wysoko nad lustrem rzeczki. Miejscowi i turyści jak zahipnotyzowani obserwowali, jak woda z bulgotem i sykiem zaczyna się wdzierać na ów mostek. Tak długo go kąsała, aż go wyrwała i poniosła. Nie ma dojścia do ulubionego przez wielu łowiska z pstrągami, placu zabaw dla dzieci; jest brudna rzeka, resztki



Dom nad Żółtym Potokiem w Pokrzywnej.



Zerwana droga w Moszczance.

konstrukcji, pozrywane brzegi. Nie ma miejsca, na którym parkował lokalny wytwórca miodu. Byli za to powodziowi turyści, łowcy wrażeń.

Turyści w czasie powodzi się nudzą

Nagle okazuje się, jak małe ciek wodne, dopływają z lasu, strumyki

potrafią hałasować. Jakie są głośne, jak dudnią, huczą, straszą. Kiedy nie ma prądu, nie ma na uliczkach światła, noc jest diablo ciemna, huk tych rzeczek napawa lękiem, pomnaża się w mroku. To uczucie nie jest miłe, nawet dla statych mieszkańców.

W sobotę, która tu, w Górach Opawskich, była pierwszym niebezpiecznym ▶

► powodziowym dniem po niespokojnej, ulewniej nocy, kilka hoteli było jeszcze pełnych gości. A podczas deszczu nie tylko dzieci, ale i turyści się nudzą. Każdy uzbrojony w komórkę, stary, młodszy, maszerował nad wezbrany Złoty Potok, który rwał brzegi, porywał ziemię, krzewy. Stali, patrzyli, przyglądali się, zbliżali, by mieć lepsze zdjęcia; zresztą miejscowi także robili pamiątkowe „focie”, by za kilka godzin jednak przyjąć do wiadomości, że trzeba się ewakuować. W każdej miejscowości było co najmniej kilka takich punktów, bardzo niebezpiecznych, ale pozwalających obserwować rzekę, jej wzrost, jej apetyt na zajęcie kolejnych przestrzeni.

Na trasie spaceru z psem, dzieckiem bezpieczną dotąd asfaltową drogą miał być kolejny miły mostek, a nagle okazywało się, że deski są śliskie, woda je liże i wdziera się od spodu, by za jakiś czas przelać się górą. Krok na takim mostku, ślizg, na szczęście ludzie zawracali, brali psa na smycz, dziecko trzymali mocnej za rączkę. To była inna rzeka, to był brązowy żywioł z pianą, bulgotami, spiętrzeniami.

Kawałek dalej jest wielka, drewniana restauracja Raj. Droga tam raczej mroczna, bliźutko schronisko młodzieżowe, które dawało dach nad głową ukraińskim uchodźcom, teraz przyjęło „uchodźców powodziowych”. Nieliczni, ale byli, posłuchali sugestii sztabu kryzysowego o konieczności ewakuacji. Bo dom nad rzeką, bo tamta pęknie. Zszokowani, niektórzy z psami. Nie wzięli psich kocyków, miseczek, karmy, tak szybko to się działo w Jarnołtówku.

Wiele osób odmówiło opuszczenia domów. – To nie jest łatwa decyzja, sąsiadka przybiegła, że tama padnie, trzeba uciekać, choć tu wody nigdy nie było, najwyżej podtopienia. Spakowali trochę rzeczy, pojechali, a my tylko parę drobiazgów technicznych wynieśliśmy na górę i uznaliśmy spokojnie, że najwyżej zaczekamy na piętrze. I nic się tu nie stało, raczej nie miało prawa tu wylać. Auta zaparkowane do sąsiadów „na wysokości”, pół naszej części wsi tam stało, worki z piaskiem rozłożone przy wjazdach na uliczki, no, co jeszcze? – wylicza mieszkaniec nowszej części Pokrzywny.

Pokrzywna, jeden z punktów wydawania wody powodziom.



W karczmie, co Raj się nazywa, znaleźli kilkugodzinne schronienie i posiłek goście jednego z ośrodków czasowych, tak było bezpieczniej. Dla innych, których powódź zaskoczyła, szukano chleba u jednego z hotelarzy, odmówił. Miał tylko dla swoich gości, jak powiedział. Po paru godzinach nadjechało zaopatrzenie, organizowane siłami m.in. sołtysa; wszyscy dopiero uczyli się na kolejne dni, że chleb i bieżąca woda to nie jest oczywistość. Kilka osób płakało, kiedy dostało chleb.

Moszczanka, gdzie armagedon

Podobnie z prądem. Pani Maria z Moszczanki nie miała prądu przez cztery doby, nie było wody, poza tą szalejącą w rzece. Najpierw było miło przy świecach, z sąsiadami, potem kolejny dzień i ewakuacja wyżej, do znajomych. Konieczność pozostawienia domów.

– Mój mąż nie chciał nigdzie iść, mamy kota i psa, trudno wyjść na nie wiadomo jak długo. Jednak poszedł ze mną, wzięliśmy psa – opowiada pani Wanda, emerytowana nauczycielka, wieloletnia dyrektorka szkoły. Sama latami pomagała m.in. Ukrainie, mają pieska uratowanego z Gruzji, chorego, kochaną suczkę. Zaprośli ich jej dawni uczniowie, którzy mieszkają w bezpiecznym miejscu, dbali o to, by mieli ciepły posiłek. Wanda

z kolei dogląda sąsiada, starszego, mniej samodzielnego człowieka, któremu zapewnia w tym trudnym czasie obiady, wodę, żywność. On zdecydowanie odmówił wyjścia ze swojego domu, zwłaszcza że ma kury. Bardzo się denerwował, kiedy po tych deszczach nie mógł jednej znaleźć. Co do kur, to osoby, które kupują jajka od kilku właścicieli drobiu, proponowały jednej czy drugiej pani, której zagrodka mogła zostać zalana, że przetrzymają ptaki w ogródku. Ale panie dały sobie radę, kury były bezpieczne.

Złoty Potok w Moszczance rozpuścił się szczególnie mocno między stawem pstrągowym a kościołem. Tam kłębł się, wypiętrzał i dudnił, ciągnął wielkie kawały drzew, jakieś przedmioty, czyniąc jeszcze większe straty. Wdarł się także do popularnego łowiska, porwały ryby, wody się wymieszały. Sołtys Mieczysław Partyczny z innymi mężczyznami, także z lokalnego OSP, zabezpieczali brzegi, bez wielkiej nadziei na dłuższy efekt, ale nikt nie chciał przyglądać się i czekać. Sołtys powtarzał: „Armagedon, armagedon”.

Kolejnego dnia, w niedzielę, miały być w kościele uroczystości. W sobotę, pełni obaw, czy most samochodowy tam przetrwa, mieszkańcy starali się ochronić swój kościół i brzegi. Tam się udało. Lewy brzeg z lokalną asfaltówką został

poszarpany – rzeka wyrwała dojazd do domów, szkoły, przedszkola, sklepu, skrzynki na przesyłki. Ekipy telewizyjne stają tam przy drugim, największym moście w Moszczance, mając za plecami te szkody, i stamtąd przekazują relacje. Obraz mówi sam za siebie.

Dzieci mają na razie naukę online. To bardzo długa, duża wieś, dawne Langenbrück, ludzie mieszkają w domach pozajmowanych po wojnie, posadowionych wzdłuż koryta Złotego Potoku, ale nie nad samą wodą. Dużo jest też nowych domów.

W bezpiecznym miejscu po strasznej powodzi z 1903 r. został wybudowany kościół w Jarnońtówku. Poprzedni woda zmyła wówczas razem z cmentarzem – dziś jest tam boisko i szkoła, ale nie ucierpiała. Kolejny obraz, który trudno zapomnieć: samotny, stary ksiądz stoi zasępiiony na moście niedaleko zapory, patrzy na te poszarpane brzegi, asfalt niedawno położony, a teraz wyrwany przez Złoty Potok...

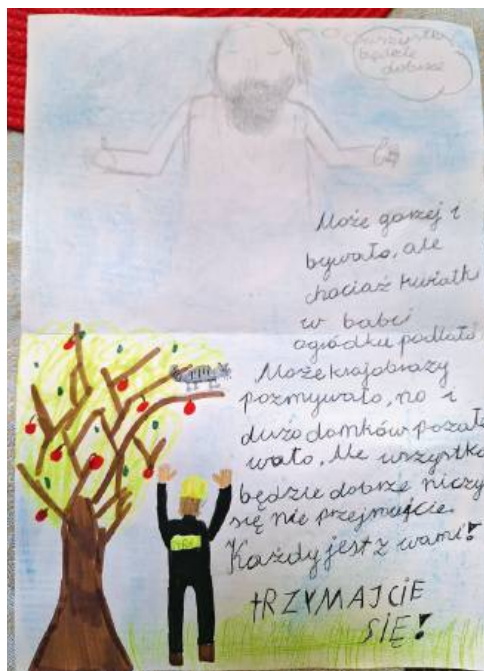
Wsie z własną Ochotniczą Strażą Pożarną mają szczęście, друhowie to ludzie zaufania. Moszczanka, niedawno obchodząca 700-lecie, swoją straż ma. Jarnońtówkę też. Strażacy non stop na nogach, czasem zmuszeni nie tylko namawiać do ewakuacji, ale i wykrzyknąć dramatyczny komunikat, by „wyp...” z domów, jeśli ludziom życie miłe.

Ciepła kąpiel i politycy

– Strażacy OSP, ochotnicy, sołtysi, sąsiedzka samopomoc to wszystko, na co mogliśmy liczyć – skarżą się mieszkańcy. Nie chcą podawać nazwisk. Nikt z Urzędu Miasta i Gminy Głuchołazy nie zadzwonił do poniedziałku do Pokrzywnej, a tu OSP nie ma, ludzi jest ledwie ponad 200, w tym wielu starszych, ale jest schronisko młodzieżowe, które przyjmowało ewakuowanych, są domy wczasowe, hotele ze swoimi potrzebami, proszące np. o generatory prądu. To zresztą jedyna wioska w tej gminie, która nie ma swojego wiejskiego domu czy świetlicy, brakuje więc miejsca na magazynowanie pomocy

dla powodzian, garaże się nie nadają. Taki magazyn i wydawnia mógł powstać dzięki życzliwości państwa Chmielak.

Niedaleko położony jest inny ośrodek, wprawdzie odcięty przez rzekę, ale można tam dojść z boczem. Właściciel, pan Jarosław Okrągły, umożliwił powodzianom wzięcie ciepłej kąpieli. Wody wystarczyło dla kilkunastu osób, post z tą propozycją okazał się niemal najpopularniejszy w mediach społecznościowych sołectwa. Sołtys Pokrzywnej Janusz



Do zalanych miejscowości dociera nie tylko pomoc rzeczowa. 11-letnia Julia ze Sławska Wielkiego dołączyła wzruszający list.

Bojkowski marzy, co by było, gdyby mieli świetlicę. Mogliby tam trzymać sprzęt na sytuacje awaryjne: generator prądu, osuszacz, powerbanki, łopaty, środki chemiczne, latarki. To wszystko, co teraz przywożą pomagający z całej Polski, na co się składają, co przekazują w darach.

Ludzie nie lubią polityków, bez względu na opcję, szczególnie w takich momentach prywatnych strat, katastrof, powodzi. Jedni, czyszcząc ogródek, winią Tuska, drudzy Kaczyńskiego, jeszcze inni – brak empatii u prezydenta Dudy. Ale kiedy politycy przyjechali, choć byli tu

jedynie Witold Zembaczyński, Marcelina Zawisza i Adrian Zandberg, mieszkańcy żalili się na nieobecność służb, np. nie było tu żadnego żołnierza WOT czy zawodowej straży pożarnej. Rozmawiali, nie przeganiali z siedziby OSP w Jarnońtówku czy prywatnych gospodarstw. Zapewne każdy polityk, każdej opcji, ktoś, kto szczerze się interesuje zwykłym człowiekiem, który właśnie oberwał od losu, byłby tu witany jak sprzymierzeniec. A jeszcze kiedy przybywa z darami, wodą, żywnością, przekazuje część swoich dochodów na potrzebujących, jest uważany na to, co się mówi, nawet na te nieprzychylnie komentarze, nie boi się ubrudzić w popowodziowym błocie – taki polityk zyskuje.

Oczy zwrócone na tamę

Swoją drogą popularna stała się turystyka powodziowa, nadrzeczne czy wałowe zbiorowe spacerowanie. Bezsensowne poszukiwanie sensacji. Wały rozdeptywane buciorami bądź rozjeżdżane quadami przestają służyć bezpieczeństwu, ale ciekawscy o tym nie myślą. Obiekty hydrologiczne, takie jak tama w Jarnońtówku z 1909 r. broniąca doliny Złotego Potoku, to szczególna atrakcja. Ze szczytu kamiennej budowli rozciąga się wspaniały widok na Biskupią Kopę, na czeską stronę Gór Opawskich.

Weekend od 14 września był dla tamy dramatycznym czasem próby. Sytuacja nie była przewidywalna – z jednej strony sprzeczne informacje o zrzutach wody z Czech (to teren przygraniczny), o tamtejszych kłopotach z zaporami, z drugiej obawy, czy budowla ufundowana prawie 120 lat temu przez cesarową Augustę Wiktoryę, żonę cesarza Wilhelma II, przetrwa, czy nie puści. Ale ludzie podkreślali, że prace wykonane w 2010 r. i bieżąca, staranna i solidna konserwacja, powinny przynieść efekt. I faktycznie – tama wytrzymała napór wody, oceniany na półtora raza większy niż w 1997 r. Niemiecka robota, chwalą ludzie. Szczęśliwie polscy następcy dbają o nią równie

► dobrze. Bo to nie tylko część lokalnej architektury hydrologicznej, ale i element poczucia bezpieczeństwa oraz po prostu życia codziennego – mawia się tutaj: „Idę na tamę”.

Po raz pierwszy w historii woda przelała się przez szczyt, ale zaporę się nie poddała. Wszyscy z okolic doliny Złotego Potoku, z Jarnołtówka, Pokrzywniej, Moszczanki i dalej, spoglądali ku zaporze przez te kluczowe dni, od piątku w nocy do poniedziałku. Gdyby puściła, to nawet nie chcą myśleć, jak wyglądałyby te miejscowości. Wystarczy obraz zalanych polderów, niemal bezkresnej połaci sztucznego suchego zbiornika przeciwpowodziowego (2,25 mln m sześć. pojemności) z 50-metrowym wałem, zwykle zielonych łąk, teraz stojącej wody pokrytej warstwą wszelkiego śmiecia.

Cichy bohater na zaporze

Oto więc bohaterowie tych dni – Krystian Cichoń i zespół fachowców, zmienników, ludzi na zaporze. Pan Krystian jest konserwatorem, operatorem zasuw, a są na zaporze dwie. Strażak zawodowy, ratownik, przy zaporze co najmniej od 10 lat. – Z pokolenia na pokolenie – śmieje się. Dziadek był takim jakby strażnikiem zapory, operatorem. – Teraz także są konserwatorzy, strażnika nie ma, moja babcia też troszeczkę, później mama, mój brat, później ja już jestem. Teraz elektronika weszła, no to już inna historia – opowiada energiczny strażak. Akurat zaczął urlop, jak nadeszła powódź. – Na tych terenach jest dużo mniejszych powodzi, roztopy, my tu operujemy cały czas, ale to nie jest takie spektakularne. Była też obawa, że przeleje, oczywiście przelała, ale nie w takim stopniu, jak się obawialiśmy.

Zareagowali szybciej, na podstawie obliczeń, i to był strzał w dziesiątkę, że mieli zaoszczędzony czas, żeby wszystko zadziało. Mieli przestrzeń, miejsce, kiedy już było potężne uderzenie. Gdyby tego zapasu nie było, woda by się przelała na dużym obszarze. A gdyby przerwała zaporę, mogłaby zatopić teren od Jarnołtówka do Odry, do Kędzierzyna.



Krystian Cichoń, konserwator tamy i operator zasuw. – Ja działam, to dla mnie normalne – mówi skromnie człowiek, który dopilnował, by zaporę nie puściła.

Nerwy? – Ja działam, to dla mnie jest normalne, nerwów nie miałem. Byłem zmęczony. Tutaj ludzie mi przynosili jedzenie, ale ja musiałem obliczenia robić, meldunki dawać, wszystko musi być zgodne z procedurami i tabelami, to jest wszystko policzone. Były kiedyś takie sytuacje, że potrafiło 4 m wody w godzinę przybyć albo woda szybko odpłynęła i w parametrach nie pasowało, to jest przyroda. Trzeba dużo czasu poświęcić, trzy, cztery godziny ostatnio, żeby tylko ustalić przepływowość, to nie jest automatyczne, to nie jakiś robot kuchenny, który ma przepis: ustawimy i działa. Mamy jeszcze dopływy innych wód, jedną, drugą rzeczkę, Czechy i jeszcze musimy policzyć dopływy dolne. To wszystko musi się zgadzać, żeby później, jeżeli tu będzie za dużo wody, zalać np. inne rzeki i później dalej, do Odry – wyjaśnia pan Krystian.

Ta zaporę to jest podwórko Cichonia, wcześniej jego mamy, Krystyny. Kosi tu jak w swoim ogródku, naprawia, jak jest coś do naprawy, do pomalowania. – Nikt mi nie każe, sam chcę, żeby to przetrwało na wiele

lat, a to jest już niemal 120-letnia tama. Szkoda by było, żeby była zaniedbana, to jak muzealny obiekt. Po tych wszystkich remontach ostatnimi czasy jest w sumie jak nowa – pan Krystian znów się uśmiecha. I nie, nie czuje się bohaterem. Działa w ramach struktur, mają swoje BHP i musi też na siebie uważać. – Mnie już nic nie zdziwi, drzewo, martwe zwierzęta w wodzie, tu jest cała tablica Mendelejewa, ja czasami pływam, bo muszę coś odwalić z zapory, muszę wskoczyć do wody i jakieś superstroje nie pomogą. Czego nam życzyć? No, zdrowia przede wszystkim, a reszta sama będzie – żegnamy się. Pan Krystian wraca do oczyszczania wałów, on i ekipa. Potem do straży, a jak złapie chwilę, to na rower albo motor, tak odreagowuje.

Pomagacze

Już na samym początku, od soboty powodziowej, do zalewanych miejscowości zaczęli się zgłaszać ludzie, wsie z propozycjami pomocy. Między innymi z Kujawsko-Pomorskiego (ok. 440 km od Gór Opawskich!) sołtys Marek Matyjasik z sołectwa Janowice – zorganizował zbiórki, pomoc; OSP ze Sławska Wielkiego, sołtys Tomasz Pietrzycki, pan Piotr Fołda z młodzieżą, a 11-letnia Julia dołączyła wzruszający list. Ewelina i Michał Janas z Wielunia i OSP Ruda, Anioł z Rybnika, Mary Łukaszewska i anioły krakowskie z osuszaczami, agregatami, chemią, gumowcami – tych ludzi jest mnóstwo. I zakon paulinów z Krakowa, wcześniej pomagali Ukraińcom, mają doświadczenie i mogą się odnaleźć w każdej sytuacji. – Ci wszyscy ludzie są niesamowici, bardzo im dziękujemy, dzielimy się z innymi miejscowościami, które są w potrzebie. Ludzie potrafią być nadzwyczajni! – podsumowuje sołtys Bojkowski z Pokrzywniej.

Choć obserwacje są różne, niektórzy potrafią być niedobrzy i egoiści. Ale dziś nie o tym.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Pomocoza

Jest samopomoc pięknym, godnym uznania i naśladowania odruchem społecznym, wydobywa z naszych egoistycznych natur ten inny wymiar, gdzie bliźni są równie ważni albo nawet chwilowo ważniejsi. Nagle się dzielimy, znajdujemy czas, którego nie ma, wykrzesujemy energię, by działać nie w swoim interesie, myśl szybuje w stronę tych, których nie znamy i nigdy nie będzie nam dane ich zobaczyć. Powody uruchomienia się tej niezwyklej ludzkiej aktywności, solidarności, a nawet poświęcenia bywają różne – najczęściej są to takie czy inne klęski, wypadki, wydarzenia nieprzewidywalne, dramatyczne.

Oglądamy właśnie (albo i w niej uczestniczymy) wzbierającą falę organizowanej oddolnie pomocy ofiarom powodzi na Dolnym Śląsku i wszędzie tam, gdzie żywioł dokonał spustoszeń. Ludzie skrzykują się w mediach społecznościowych (jedna z nielicznych zalet ich istnienia), kupują, wynajdują, znoszą – kto inny te rzeczy zawiezie, dostarczy. Te inicjatywy są niepolityczne, mnożą się, tworzą niekontrolowaną epopeję pomagania. W tej pierwszej odstonie pomoc zapewne zostanie anonimowa, taki odruch serca nie wymaga dyplomów czy uznania. Potem nadchodzi etap kolejny – uruchamiają się działania na rzecz, w tym imprezy, aukcje, inne pomysły na zasilenie finansowe dotkniętych dramatem powodziowym. Ten odruch społeczny mamy przepracowany pod hasłem Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, z kilkoma dekadami historii działań. I w tej aktualnej pomocy WOŚP już się pojawia (40 mln zł zadeklarowanego wsparcia plus zorganizowana zbiórka pieniędzy).

Tu jednak chcę się zastanowić krytycznie nad tym zjawiskiem. To, że taka niemal instynktowna reakcja się pojawia, mówi nam wiele o istotnych aspektach życia społecznego i politycznego. Ludzie „biorą” pomoc w swoje ręce, bo raczej nie liczą na to, że nadejdzie skądinąd albo w wystarczającej formie. To znaczy, że coś nie działa i pospolite ruszenie automatycznie ma tę lukę wypełnić. Co zatem nie działa i dlaczego? No cóż, oglądamy tu na żywo recenzje i ocenę funkcjonowania państwa. Wielkiego organizmu społecznego, który ma nam zapewnić godne, zdrowe, bezpieczne warunki codziennego życia. O tym, że tak nie postrzegamy państwa, świadczy właśnie samoistnie uruchamiana energia samopomocy.

Można zaryzykować tezę, że odpuszczamy swoje wymagania wobec państwa i chętnie wskakujemy w kostiumy lokalnej Armii Zbawienia. A przecież nie ma przestrzeni bardziej oczywistej do wszechstronnej

pomocy państwa niż klęska żywiołowa. Do klęsk żywiołowych należy być przygotowanym, nawet wiemy, że coraz częściej będziemy musieli być na nie gotowi z racji katastrofy klimatycznej, której rutynowym objawem są właśnie nagłe i gwałtowne opady skutkujące powodzią i podtopieniami. Chyba że polityk „nie wierzy” w zmiany klimatyczne... Państwo dysponuje całym aparatem pomocy w postaci takich służb jak straż pożarna, policja, wojsko, służba zdrowia. Zaskoczenie klęską żywiołową powinno być ostatnią reakcją na te skądinąd dynamiczne wydarzenia. Państwo szkoli od dekad specjalistów w dziedzinie hydrologii i innych nauk, które potrafią wyjaśnić przyczyny, przebieg i konsekwencje dziesiątków działań człowieka. Trzeba by ich słuchać i nie czekać na kolejną wielką wodę, wielki płomień, wielką suszę czy inną pandemię.

Ludzie „biorą” pomoc w swoje ręce, bo nie liczą na to, że nadejdzie skądinąd albo w wystarczającej formie. Oglądamy tu na żywo ocenę funkcjonowania państwa.

Jest zjawisko podobne w dynamice do klęsk żywiołowych, do którego państwo przygotowuje się zdecydowanie bardziej metodycznie. To wojna. Różnica między wojną (ewentualną) a klęską żywiołową jest taka, że wojna jest operacją polityczną, na którą trzeba się zdecydować, chcieć jej lub choćby nie chcieć jej uniknąć. Z przyrodą, zdemolowaną przez człowieka, takich negocjacji politycznych nie da się prowadzić.

Mamy zatem dwa potężne fenomeny zniszczenia i na jeden, którego zaistnienie zależy od naszych decyzji, nie szczędzimy środków, sił ani ludzi. Natomiast na drugi, który nadchodzi bez pytania o zgodę, czekamy w przygotowaniu marnym, pełnym półśrodków, bez wdrożenia spójnej polityki dotyczącej zagrożonych obszarów. Może należy odwrócić to nastawienie? Jeśli obowiązkiem państwa jest zapewnienie nam bezpieczeństwa, może na to należy naprawdę położyć nacisk? A w scenariusz wojenny zaangażować spore, ale dużo mniejsze środki dyplomatyczne? Zamiast czołgów – pojazdy straży i pogotowia, sprzęt specjalistyczny? Rezerwy ratunkowe? Dlaczego ludzie z drugiego końca Polski wysyłają teraz wodę w butelkach na Dolny Śląsk? Tam jest teraz wojna, państwo ma obowiązek tym się zająć w pierwszej kolejności, a nie negocjowaniem zakupu kolejnych baterii haubic. Powodzi pociskami nie zatrzymamy. ■

Jedna powódź, dwa podejścia

W Czechach działania przeciwpowodziowe i ratunkowe były skoordynowane, a politycy pozostali w cieniu

Sergiusz Najar

Powódź w Polsce każe nam przyrzeć się przebiegowi powodzi i jej skutkom w sąsiednich Czechach. Obserwując zmagania obu krajów i społeczeństw z wielką wodą, można zauważyć sporo różnic w podejściu i działaniu.

Komisja i system

Już w sierpniu wszystkie ośrodki meteorologiczne w Europie Środkowej zapowiadały pojawienie się bardzo intensywnych opadów w drugiej dekadzie września. Czeskie instytucje rozważały publicznie różne scenariusze i formy przygotowań, gromadziły środki techniczne i zapasy oraz tworzone plany działań i ewakuacji. Punktem odniesienia były wielkie powodzie z roku 1997 i z przełomu lat 2002/2003.

Jednak tym razem opady, które przyniosł niż genueński Borys, były

o jedną trzecią większe niż w czasie poprzednich powodzi i objęły cały kraj, a szczególnie intensywne odnotowano w krajach libereckim, kralovehradeckim, ołomunieckim i morawsko-śląskim, a także w południowych Czechach w górnym biegu Wełtawy.

Na obszarach przygranicznych Opawa, Metuje, Łaba i Odra przemieszczały masy wodne, które dotarły potem do Polski. Niestety, nie stworzono żadnych polsko-czeskich mechanizmów monitorowania sytuacji czy współdziałania służb prewencji z uwzględnieniem wspólnych zasobów technicznych.

Zarządzaniem przeciwpowodziowym oraz koordynacją działań resortów i instytucji w czasie powodzi w Czechach zajmuje się Centralna Komisja Powodziowa. Kieruje nią minister środowiska, a w jej skład wchodzi też inni ministrowie, szefowie agencji i służb. Wsparcia CKP udzielają jednostki Czeskiego Instytutu Hydrometeorologicznego. Do działań ratunkowych powołany jest

Zintegrowany System Ratunkowy koordynowany przez Straż Pożarną Republiki Czeskiej. Zarówno w czasie powodzi z ostatnich lat, jak i w okresie pandemii COVID-19 ten zintegrowany system okazał się skuteczny.

Gesty zamiast realnej współpracy

Czeskie media, skupiając się na powodzi i działaniach pomocowych, sporo czasu i uwagi poświęcają także wydarzeniom w Polsce, szczególnie w bliskiej historycznej pamięci Czechów Kotlinie Kłodzkiej, a także Wrocławiu, Nysie i Opolu. Panuje przekonanie, że na podstawie porozumienia rządów Czech, Polski i Niemiec oraz regionów nadgranicznych powinienn powstać wspólny organ sterujący projektami dotyczącymi Odry. Inaczej bowiem Odra będzie „rzeką nieszczęścia”, a nie – jak nas przekonywano w dawnej NRD – „rzeką przyjaźni”. Brak dowodów na realne współdziałanie polityków, instytucji czy organów Polski i Czech nawet w wypadku kataklizmów, które dotknęły oba kraje, świadczy o całkowitym niezrozumieniu wspólnej przestrzeni niemal 800-kilometrowego pasa granicznego. Jeden telefon szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego do doradcy ds. bezpieczeństwa Czech to raczej pusty gest głów państw, które nadal są od siebie odległe pomimo milionów Polaków i Czechów pracujących, odpoczywających czy robiących zakupy po obu stronach granicy.

Koszty zniszczeń powodziowych oraz pomocy dla powodziarzy nie są w Czechach szacowane na bieżąco. Jedyna liczba podana do publicznej wiadomości (we wtorek 17 września wieczorem) to wartość zgłoszonych do ubezpieczycieli roszczeń odszkodowawczych – 13 mld koron, czyli ok. 2,5 mld zł. Jest to ważna informacja dla rynków finansowych oraz

Z wielkim smutkiem żegnamy

Jacka Barcza

długoletniego fotoreportera „Sztandaru Młodych”,
zastępcę przewodniczącego Sekcji Autorów Dziel Fotograficznych ZAiKS.

Autora tysięcy fotografii, głównie portretów i relacji reporterskich.

Wiele zdjęć znalazło się w albumach jako dokumenty czasu.

Jego prace były prezentowane na wielu wystawach.

Był jurorem w konkursach fotograficznych.

Zapamiętamy Go jako wybitnego fotoreportera i serdecznego człowieka,
bardzo życzliwego, mądrego i wspierającego nas w potrzebie.

*Koleżanki i koledzy ze „Sztandaru Młodych”:
Jerzy Domański, Paweł Dybicz, Dorota Markowska-Burbelka,
Robert Walenciak, Joanna Wielgat*

Pożegnanie odbędzie się 25 września o godz. 13 w Domu Pogrzebowym
na Powązkach Wojskowych przy ul. Powązkowskiej, po czym urna spocznie
na Cmentarzu Ewangelicko-Reformowanym przy ul. Żytniej 42.



Zalane okolice Ostrawy,
16 września 2024 r.

akcjonariuszy ubezpieczycieli, ale na pewno nie odpowiada kosztom odbudowy infrastruktury, obiektów publicznych, mienia prywatnego. Dla porównania – straty majątkowe w roku 1997 i 2002 wynosiły odpowiednio 62 i 73 mld koron. Poszkodowani otrzymają 72 tys. koron (ok. 12 tys. zł) natychmiastowego zasiłku, na razie nie proponuje się żadnych kwot na

są próbą sił między pięciopartyjną większością parlamentarną a opozycją z byłym premierem Andrejem Babišem na czele, trudno dostrzec w mediach napięcie polityczne. Kampania wyborcza została zawieszona. Obecność przywódców partyjnych, pozapartyjnego prezydenta czy liderów list regionalnych ograniczono do minimum, choć oczy-

podejmowania decyzji o ewakuacji mieszkańców miasta.

W walce wyborczej wykorzystuje się porównanie wartości programów pomocowych dla Ukraińców czy systemu zasiłków socjalnych dla obywateli pochodzenia romskiego z potrzebami mieszkańców poszkodowanych przez powódź. Przeciwnicy Unii Europejskiej podkreślają też niewielkie zainteresowanie ze strony przedstawicieli uniijnych organów.

Rola wojska czy policji jest ograniczona do spraw nadzwyczajnych i kryminalno-porządkowych – oficjalnie do pomocy powodziom skierowano 2 tys. żołnierzy oraz sprzęt saperско-budowlany. Na prośbę polskiego Sztabu Generalnego w działaniach ratunkowych na Dolnym Śląsku wzięły udział trzy czeskie śmigłowce Mi-171ŚM, które stacjonują w 33. Bazie Lotnictwa Transportowego w Powidzu.

Sergiusz Najar od 40 lat związany jest z Czechosłowacją i Czechami, od 17 lat jako aktywny mieszkaniec Czech; doradca ekonomiczny i badacz pogranicza czesko-polskiego oraz granic Europy, był bankowcem oraz wiceminister spraw zagranicznych i infrastruktury

Nie stworzono żadnych polsko-czeskich mechanizmów monitorowania sytuacji powodziowej czy współdziałania służb.

pomoc w odbudowie domów lub remoncie mieszkań. Zbiórki dobrowolne przyniosły już ponad 100 mln koron, czyli prawie 20 mln zł, ale to dopiero początek. Czesi przystępują do szacowania szkód i kosztów odbudowy lub modernizacji oraz planowania działań dopiero za kilka tygodni.

Zawieszona kampania

Pomimo ogłoszonych na miniony piątek i sobotę wyborów do władz regionalnych i części Senatu, które

wiecie na poziomie eksperckim, naukowym czy pozarządowym co rusz pojawiają się spory na temat sposobu prowadzenia walki z powodzią. To raczej kierownictwo Zintegrowanego Systemu Ratunkowego wypowiada się krytycznie o niektórych działaniach samorządowców. Na przykład komendant główny Straży Pożarnej Republiki Czeskiej ostro skrytykował burmistrza Opawy Tomáša Navrátila, polityka opozycyjnej Akcji Niezadowolonych Obywateli Andreja Babiša, za czas i tryb

Thomas Fazi

31 sierpnia br. w witrynie internetowej UnHerd ukazał się tekst o Sahrze Wagenknecht autorstwa Thomasa Faziego – dziennikarza i współautora (z Tobym Greenem) książki „The Covid Consensus”. Fragmenty tego obszernego artykułu prezentujemy poniżej. Z całością można się zapoznać pod adresem: unherd.com/2024/08/whos-afraid-of-sahra-wagenknecht/.

Fazi daje dość gruntowne wprowadzenie do sposobu myślenia niemieckiej polityczki, której niedawno założona partia uzyskuje, począwszy od czerwcowych wyborów europejskich, bardzo dobre wyniki. Ostatnio w wyborach w Turyngii i w Saksonii zdobyła odpowiednio 16% i 12% głosów. Czytelników, których nie zadowoli dziennikarski opis podstaw ideowych tego ugrupowania i będą szukać pogłębionej analizy, zainteresować może praca Patricka Moreau „The Emergence of a Conservative Left in Germany. The Sahra Wagenknecht Alliance – Reason and Justice (BSW)” (Wyłonienie się konserwatywnej lewicy w Niemczech. Sojusz Sahry Wagenknecht – Rozsądek i Sprawiedliwość). Darmowy plik pdf udostępniony przez Fondation pour l’Innovation Politique znajduje się pod adresem: www.fondapol.org/app/uploads/2024/02/237-moreau-gb-2024-02-13-w.pdf.

Niewielu przewidywało, że Niemcy – długo uchodzące za kraj o najnudniejszej polityce na kontynencie europejskim – staną się centrum nowej rewolty populistycznej, i to atakującej zarówno z prawa, jak z lewa. (...)

Prawdziwą niespodzianką (w czerwcowych wyborach do Parlamentu Europejskiego – przyp. P.K.) jest wynik nowej, lewicowo-populistycznej partii Sojusz Sahry Wagenknecht (BSW), założonej kilka miesięcy temu przez ikonę niemieckiej radykalnej lewicy. Partia ta uzyskała w sumie 6,2% głosów i tak jak w poprzednich wyborach Alternatywa dla Niemiec (AfD) cieszy się o wiele większym poparciem na wschodzie kraju (...). Wybory ukazały ponad wszelką wątpliwość, że Niemcy po zjednoczeniu pozostają podzielone wedle ich przeszłych granic. Choć obywatele żyjący na zachodzie kraju też wyrażają rosnące niezadowolenie



Kto się boi Sahry Wagenknecht?

Sama jej obecność na scenie politycznej będzie powodować dalszy spadek poparcia dla koalicji rządzącej

z koalicji SPD-Zieloni-FDP, pozostają w obrębie głównego nurtu polityki, Niemcy na wschodzie zaś buntują się przeciw establishmentowi. (...)

Wagenknecht – na razie – wykluczyła formowanie koalicyjnych rządów na poziomie landów z AfD, ale i z każdą partią, która popiera dostarczanie broni Ukrainie (czyli z większością partii głównego nurtu). Sama jej obecność na scenie politycznej będzie powodować dalszy spadek poparcia dla koalicji rządzącej. Utrudni partiom rządzącym, o ile nie uniemożliwi, sformowanie centrowej koalicji na poziomie federalnym.

Fenomen Wagenknecht jest fascynujący z kilku przyczyn. Nie tylko w ciągu paru miesięcy zdołała uczynić z BSW jedną z głównych sił politycznych w kraju, lecz także umieściła ją na unikatowej w świecie zachodnim platformie ideowej, przynajmniej jeśli chodzi o partie, które mają szanse na zdobywanie głosów wyborców. Chociaż Wagenknecht nie chce odnosić do swojej

partii zużytego przeciwstawienia lewica-prawica, jej przekaz najlepiej określić jako lewicowo-konserwatywny. Oznacza to, że łączy ona postulaty wyrażane w przeszłości przez socjalistyczną lewicę – interwencjonistyczną i redystrybucyjną politykę rządową regulującą kapitałistyczne siły rynkowe, wyższe uposażenia i płacę minimalną, politykę gwarantującą bezpieczeństwo socjalne i dobrobyt, opodatkowanie bogatych – ze stanowiskiem, które dziś określilibyśmy jako kulturowy konserwizm (przede wszystkim uznanie wagi zachowania tradycji, stabilności, bezpieczeństwa, poczucia wspólnoty). Wszystko to nieuchronnie pociąga za sobą bardziej restrykcyjną politykę migracyjną i odrzucenie dogmatu wielokulturowości, na gruncie którego mniejszości odmawiają uznania nadrzędności wspólnych zasad, zagrażając w ten sposób spójności społecznej. Jak można przeczytać w manifestie programowym partii, „imigracja

i koegzystencja odmiennych kultur może wzbogacać. Jednak sprawdza się to tylko dopóty, dopóki napływ [migrantów] jest ograniczony do poziomu, który nie powoduje przeciążenia naszego kraju i jego infrastruktury i dopóki integracja jest aktywnie promowana i skuteczna”.

Co to oznacza w praktyce, stało się jasne w 2015 r., gdy Wagenknecht ostro skrytykowała decyzję o wpuszczeniu setek tysięcy ludzi poszukujących azylu, którą ówczesna kanclerz Angela Merkel podjęła, powtarzając jak mantrę: *Wir schaffen das!* (Możemy to zrobić!). Rok później, po seriach ataków terrorystycznych przeprowadzonych przez migrantów, Wagenknecht oświadczyła: „Przyjęcie i integracja wielkiej liczby uchodźców i migrantów oznaczają wielkie problemy i są trudniejsze, niż Merkel myślała, rzucając swoje »Możemy to zrobić!«. Niedawno, po śmiertelnym ataku nożownika w Mannheim, Wagenknecht ponownie ostro skrytykowała politykę migracyjną rządu: „My również finansowaliśmy radykalizację [migranta nożownika]. Żył na nasz koszt, z pieniędzy obywateli”. (...)

Dla Wagenknecht promowanie spójności społecznej – w tym poprzez ograniczenie fal migracji – powinno być postrzegane nie jako pożądaný cel sam w sobie, istotny z uwagi na bezpieczeństwo publiczne, ale jako warunek wstępny rozsądnej polityki redystrybucyjnej, a nawet samej demokracji. Tylko

zarazem odwrotność tego twierdzenia: spójność społeczna niezbędna do trwania demosu może się rozwinąć jedynie w sytuacji, w której państwo interweniuje w celu powstrzymania destrukcyjnych społecznie skutków nieskrępowanego kapitalizmu (...). Innymi słowy, twierdzi Wagenknecht, nie ma sprzeczności między byciem lewicowym w sferze ekonomicznej i konserwatywnym pod względem kulturowym (...).

Sahra Wagenknecht przykłada dużą wagę do narodowej suwerenności. Jest bardzo krytyczna wobec Unii Europejskiej. Nie tylko

Od założenia BSW Sahra Wagenknecht w centrum swojego programu umieszcza odprężenie w stosunkach z Rosją.

dlatego, że Unia jest z gruntu antydemokratyczna i podatna na zawłaszczanie przez oligarchów, ale i dlatego, że nie może być inna, zważywszy na to, że państwo narodowe pozostaje dla ludzi głównym źródłem zbiorowej tożsamości i poczucia przynależności. Jest jedyną (a przynajmniej największą) instytucją terytorialną, w ramach której może funkcjonować demokracja i może być osiągnięta równowaga społeczna. Jak wyraziła się Wagenknecht, „wezwanie do »położenia kresu państwu narodowemu« jest ostatecznie wezwaniem do »zniszczenia demokracji i państwa dobrobytu«. Krótko mówiąc, Sahra Wagenknecht

„lewicą stylu życia”, której przedstawiciele „nie umieszczają już w centrum lewicowej polityki problemów społecznych i ekonomiczno-politycznych. Ich miejsce zajmują kwestie stylu życia, nawyków konsumpcyjnych i postaw moralnych”. (...)

Od momentu założenia BSW Wagenknecht w centrum swojego programu umieszcza kwestię odprężenia w stosunkach z Rosją. Przy kilku okazjach podkreślała, że podporządkowanie się Niemiec amerykańsko-natowskiej strategii prowadzenia w Ukrainie wojny zastępczej, a także odmowa

zaangażowania się w rozmowy dyplomatyczne z Rosją są samobójcze i z ekonomicznego, i z geopolitycznego punktu widzenia. Embargo na ropę i gaz nałożone na Rosję jest główną przyczyną załamania niemieckiej gospodarki, a rząd, jak powiedziała w Bundestagu, „beztrosko igra z bezpieczeństwem, w najgorszym zaś razie z życiem milionów ludzi w Niemczech”. Niedawno zdecydowanie potępiła rządowy plan rozmieszczenia rakiet dalekiego zasięgu na terytorium Niemiec i – co być może najdramatyczniejsze – zakwestionowała omertę otaczającą atak na Nord Stream. Rzeczywiście, po ostatnich doniesieniach na temat możliwego tuszowania przez niemiecki rząd zaangażowania Ukrainy w tę sprawę (14 sierpnia br. „Wall Street Journal” opublikował „Prawdziwą historię sabotażu rurociągu Nord Stream”, obarczając winą za jego uszkodzenie Ukrainę: www.wsj.com/world/europe/nord-stream-pipeline-explosion-real-story-da24839c – przyp. P.K.) wezwiała do wszczęcia dochodzenia, stwierdzając, że „gdyby okazało się, iż niemieckie władze wiedziały z wyprzedzeniem o planie ataku na Nord Stream 1 i 2, byłibyśmy świadkami skandalu stulecia w niemieckiej polityce”.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

Nie ma dla niej sprzeczności między byciem lewicowym w sferze ekonomicznej i konserwatywnym pod względem kulturowym.

wspólnota polityczna określona przez swoją zbiorową tożsamość – demos – jest w stanie zaangażować się w demokratyczny dyskurs i związany z nim proces decyzyjny oraz wytworzyć więzi uczuciowe i solidarnościowe niezbędne do uprawomocnienia i utrzymania polityki redystrybucyjnej pomiędzy klasami i/lub regionami. Mówiąc prościej, jeśli nie ma demosu, nie może być mowy o efektywnej demokracji ani o demokracji socjalnej. Prawdziwa jest

w niczym nie przypomina typowego zachodniego lewicowca. (...)

W szeroko komentowanej książce „Die Selbstgerechten” (Samoobrachunki) wyjaśniła powody jej stopniowego oddalania się od lewicy głównego nurtu. Lewica, powiada, była w przeszłości synonimem poprawy życia zwykłych ludzi zmuszonych do utrzymywania się z (często katorzniczej) pracy. Jednak dzisiejsze ruchy postępowe zostały zdominowane przez to, co ona nazywa

Mateusz Mazzini

Zaczęło się prawie jak u Hitchcocka – choć nie od trzęsienia ziemi, tylko od awantury, i to na ostatniej prostej. Zakulisowe doniesienia z Brukseli wskazywały, że zarówno nominacje kandydatów, jak i podział obowiązków właściwie były już dopięte na ostatni guzik, kiedy kilkanaście dni temu do Ursuli von der Leyen zadzwonił prezydent Francji Emmanuel Macron. Rozmowa była krótka i konkretna, jak donosi europejska odłona serwisu Politico, powołując się na trzy niezależne źródła we francuskiej dyplomacji. Chodziło o Thierry'ego Bretona, francuskiego komisarza zajmującego się w poprzedniej kadencji rynkiem wewnętrznym.

Przez całe lato wydawało się w zasadzie pewne, że wróci on do Komisji na kolejną pięciolatkę, zwłaszcza że naciskał na to sam Macron. Wokół tej nominacji rozpętała się burza nad Sekwaną, bo podobnie jak w przypadku wyboru premiera różne stronnictwa polityczne rościły sobie prawo wysuwania swojego reprezentanta do władz Unii. Jordan Bardella, przewodniczący Zjednoczenia Narodowego, chciał forsować kandydata skrajnej prawicy, również dlatego, że Bretona organicznie nie znosi. Macron pozostał jednak nieugięty.

Każdy, tylko nie Breton

Tyle że za Bretonem nie przepada też jego dotychczasowa szefowa. Albo kłócili się publicznie, albo zamrażali wszelką komunikację, a Francuz zachowywał się, jakby nie uznawał niczyjego autorytetu. Żeby oddać mu sprawiedliwość, miał na koncie sporo sukcesów. To on był głównym architektem skutecznej koordynacji produkcji szczepionek przeciw COVID-19 i dzięki niemu (oraz szefowi unijnej dyplomacji Josepowi Borrellowi) udało się szybko zmobilizować Europę do wsparcia Ukrainy po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji. Breton nie bał się konfrontacji, w których bywał skazany na porażkę, np. z wielkimi korporacjami technologicznymi w sprawie zasad konkurencji na europejskim rynku. Walczył nawet z Elonem Muskem,

Komisja w pół drogi

Ursula von der Leyen pokazała światu swoją drużynę na kolejne pięć lat.
Mało kto jest zadowolony



18 września Ursula von der Leyen spotkała się z kandydatami na komisarzy. Ilu z nich przejdzie głosowanie w Parlamencie Europejskim?

który na tle Bretona i innych eurokratów chciał uchodzić za ewangelistę wolności w internecie – a Bruksela chciała opłiwać mu pazury, dyktując, co w mediach społecznościowych jest dozwolone, a co zakazane.

Trudno jednoznacznie opisać istotę konfliktu Bretona z von der Leyen, bo to, co było jego przyczyną, zależy od punktu widzenia. Francuskie media, m.in. dziennik „Le Monde”, zwracały uwagę na ekspansywny styl pracy komisarza, który miał w ten sposób zagrażać samej szefowej Komisji. Innymi słowy, była to po prostu odłona konfliktu na osi Paryż-Berlin. Obie stolicy lubią myśleć, że to one – i nikt inny – nadają ton europejskiej polityce, mimo że w obu przypadkach rzeczywistość mocno już odbiega od wyobrażeń. Po stronie europejskiej mówiło się natomiast, że Breton zwyczajnie nie szanuje porządku instytucjonalnego. Politico w pewnym momencie nazwało go nawet „komisarzem od wszystkiego”, bo nieustannie wchodził na cudze terytorium. Jeśli dodać do tego hierarchiczny styl zarządzania

samej von der Leyen, widać jak na dłoni, że ta współpraca trwać już nie mogła. Jeden z francuskich dyptomatów, komentując wspomnianą rozmowę telefoniczną z Macronem, powiedział nawet, że podejście Niemki było oczywiste: każdy, tylko nie Breton.

Ostatecznie Francuzom przedstawiono ofertę: małe portfolio z Bretonem, albo duże – bez niego. Macron starego komisarza wycofał. Zamiast niego Francję w nowej Komisji reprezentować będzie Stéphane Séjourné, ostatnio pełniący funkcję ministra spraw zagranicznych. Zajmie się on strategią przemysłową i jednolitym rynkiem, choć nie należy się spodziewać, żeby miał tak wielki wpływ na działania całej Komisji jak Breton. W dodatku to dla niego nagroda pocieszenia, po tym jak Macron wrzucił własną ekipę pod autobus, rozpisując w czerwcu przedterminowe wybory parlamentarne. Młodzi liberalni politycy pozostali niezagospodarowani, ich kariery brutalnie przerwano. Séjourné jako jeden z niewielu dostał od szefa drugą szansę.

Bez parytetu

Znajomych twarzy z europejskiej polityki jest w nowej Komisji znacznie więcej. Łącznie będzie ona miała sześcioro wiceprzewodniczących, wliczając w to byłą premier Estonii Kają Kallas, która obejmie stanowisko wysokiego przedstawiciela ds. polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Komentatorzy są też zgodni, że układ sił w drugiej drużynie von der Leyen będzie zupełnie inny niż do tej pory. Ze świecą szukać, przynajmniej na papierze, polityka, który byłby w stanie stworzyć wokół siebie silny ośrodek władzy, będący potencjalną konkurencją dla szefowej. Nie będzie więc tu postaci w stylu Fransa Timmermansa, który walczył o przestrzeganie praworządności z Orbánem i Kaczyńskim, czy duńskiej socjalistki Margrethe Vestager, zwanej pogromczynią monopolu i technologicznych gigantów. Jeśli już pojawią się jakieś gwiazdy, to raczej wschodzące niż uznane. Widać to nie tylko po decyzjach personalnych, ale też po rozkładzie poszczególnych tek pod względem zakresu kompetencji i preferencji ideologicznych.

W nowym rozdaniu na 27 stanowisk mamy zaledwie 11 kobiet, co już na starcie należy uznać za sporą porażkę von der Leyen, bo jeszcze kilka miesięcy temu poważnie mówiło się o pełnym parytecie w Komisji. Zresztą za pierwszym razem praktycznie się to udało, stosunek mężczyzn do kobiet wynosił 51 do 49%. 13 komisarzy reprezentować będzie centroprawicową Europejską Partię Ludową, pięć miejsc przypadło Socjalistom i Demokratom, cztery – liberałom z Renew. Trójka to kandydaci niezależni, a dwa miejsca przypadły prawicy, w tym tej skrajnej. Nie do końca wynika to z decyzji samej von der Leyen, kandydatów na komisarzy wskazują rządy krajów członkowskich. Nowo powstała frakcja Patriotów dla Europy ma więc swojego przedstawiciela, ale że tak się stanie, było oczywiste, bo grupę zakładał wszechwładny na Węgrzech Viktor Orbán. Reprezentant Budapesztu z automatu musiał być jego człowiekiem – i nikt w Brukseli nic z tym nie robi, chociaż nie jest powiedziane, że Olivér Várhe-lyi przetrwa ostrzał w Parlamencie

Europejskim, który musi zatwierdzić wszystkie nominacje.

Na konto Ursuli von der Leyen idzie już jednak znacząca rola, którą odegrać ma Raffaele Fitto, wystawiony przez Włochy kandydat na wiceszefa KE oraz komisarza ds. spójności i reform. To jedna z kluczowych tek w brukselskiej układance, to tam decyduje się przyszłość funduszy spójności. Fitto będzie miał spory wpływ na podział unijnych środków, ale i na możliwe zwiększenie konkurencyjności europejskiej gospodarki czy zewnętrzne relacje ekonomiczne. Jego nominacja na tak ważne stanowisko wzbudziła sporo kontrowersji, zwłaszcza wśród liberałów i socjalistów,

Komisji Europejskiej. Reprezentująca Szwecję Roswall będzie raportować bezpośrednio do Hiszpanki Teresy Ribery, wiceprezydentki od sprawiedliwej transformacji energetycznej.

Ribera sama w sobie jest postacią ciekawą, bo wcześniej w rządzie Pedra Sáncheza pełniła trudną funkcję ministru ds. środowiska i wyzwań demograficznych. Sam fakt istnienia takiego resortu pokazuje, z jakimi problemami Hiszpania (ale tak naprawdę cała Europa) zmaga się na co dzień. Jej nominacja nie była łatwa do przepchnięcia, bo Hiszpanka jest socjalistką, uchodzi również za przeciwniczkę energetyki atomowej, przyblokować zatem chcieli ją m.in. Francuzi, bojący się nowych

Układanie Komisji Europejskiej to przede wszystkim zaspokajanie ego i interesów narodowych.

ale tu von der Leyen raczej nie ustąpi. To ewidentna spłata długu wobec premier Włoch Giorgii Meloni, zwieńczenie kilkunastu miesięcy podchodów. Układ był prosty: szefowa włoskiego rządu miała powstrzymać swoją część eurosceptycznej prawicy przed blokowaniem nominacji Niemki na przewodniczącą KE, a ta odwziewczyłaby się prezentem w nowym rozdaniu – co niniejszym czyni.

Co z Zielonym Ładem?

Wbrew obawom po tegorocznej fali protestów rolniczych i słabych na całym kontynencie wynikach Zielonych w eurowyborach walka z katastrofą klimatyczną ani Zielony Ład nie zostały całkowicie pogrzebane. Nowa Komisja siedzi raczej okrzakiem na barykadzie, próbując zachować równowagę między konkurencyjnością, innowacją, przywilejami biznesu i dbaniem o środowisko naturalne. Dowodem na to jest chociażby powołanie Jessiki Roswall na stanowisko komisarza ds. środowiska, odporności wodnej i ekonomii obiegu zamkniętego. Po raz pierwszy w historii zagrożenia związane z niedoborem wody – jej prywatyzacją, suszami, brakiem właściwej gospodarki hydrologicznej – zostały tak bardzo wyeksponowane w architekturze instytucjonalnej

regulacji w kwestii energii jądrowej. Ostatecznie von der Leyen utrzymała ją w nowej układance, a Ribera będzie jej zbrojnym ramieniem. To ona ma podjąć próbę implementacji najważniejszych założeń z opublikowanego niedawno raportu Maria Draghiego, wskazującego kluczowe słabości unijnej gospodarki – ale też plan ogólnego zwiększenia jej konkurencyjności.

W nowej Komisji nie brakuje kandydatów kontrowersyjnych. Do takich należy wspomniany już Olivér Várhe-lyi, twardogłowy żołnierz Fideszu, wcześniej odpowiedzialny za rozszerzenie Unii. Polityków, których utracić może Parlament Europejski, jest jednak więcej. W tym kontekście dużo się mówi o Słowence Marcie Kos, wystawionej przez jej rząd na ostatniej prostej. Kos jeszcze w ubiegłym roku pracowała jako konsultantka dla międzynarodowej firmy doradztwa wizerunkowego Kreab. Jest więc klasycznym przykładem zjawiska „obrotowych drzwi” – gdy lobbyści płynnie przechodzą do polityki i vice versa. Kos twierdzi co prawda, że nie ma już żadnych związków z sektorem prywatnym, ale ani ona, ani jej były pracodawca nie chcą upublicznić listy klientów, którym Słowenka doradzała. Nie wiadomo więc nawet, czy grozi w jej przypadku konflikt interesów, bo nie sposób tego zweryfikować. ▶

► Polski komisarz – prawdziwie dobra zmiana

Choć unijni komisarze mają działać przede wszystkim dla dobra Wspólnoty, a nie państw członkowskich, które reprezentują, nie ulega wątpliwości, że w nowej Komisji znacznie zwiększył się udział polskiego reprezentanta. Relacje z Ursulą von der Leyen poprzedniego, Janusza Wojciechowskiego z PiS, były bardzo złe. Publicznie ganił on szefową za permissywną politykę w sprawie ukraińskiego zboża, co na forum unijnym było wyrażnie krytykowane. Tym razem nasz kraj reprezentować będzie Piotr Serafin – wybitnie doświadczony urzędnik, pracujący jeszcze w Urzędzie Komitetu Integracji Europejskiej przy polskich negocjacjach; później, w latach 2009-2014, współpracował z Januszem Lewandowskim, aż wreszcie awansował na szefa gabinetu Donalda Tuska, gdy ten kierował Radą Europejską. Po zmianie rządu w Polsce premier dał mu nadzór nad

przedstawicielstwem Warszawy przy Komisji Europejskiej, choć bez rangi ambasadora. W nowej ekipie von der Leyen będzie bardzo wpływowym komisarzem ds. budżetu i administracji publicznej, raportującym zresztą bezpośrednio do szefowej. Trudno w szeregach polskich urzędników znaleźć kogokolwiek, kto lepiej znałby brukselskie korytarze i panujący tam układ sił – Serafin ma szansę być najjaśniejszą ze wschodzących gwiazd tego pięciolecia.

Być może dołączy do niego Kaja Kallas, choć tutaj, pomimo sporego optymizmu na początku, nadzieje maleją. Estonka została szefową unijnej dyplomacji, ale to też nagroda pocieszenia – nie jest tajemnicą, że długo widziała siebie w roli nowego sekretarza generalnego NATO, którym został jednak Holender Mark Rutte, kandydat znacznie bardziej konsensualny. Rola wysokiego przedstawiciela Unii ds. zagranicznych nie była dotychczas znacząca, a Kallas dodatkowo obejmie to stanowisko

w newralgicznym momencie. Estonka jest jastrzębiem, Putina krytykuje bez pardonów jak na język dyplomacji, ale nie na całym kontynencie ma dobrą prasę. W kłótniach dyplomacji z Hiszpanii, Francji czy Grecji narzekają, że Kallas przerzuci wszystkie zasoby na politykę wschodnią, ignorując kwestie relacji z Afryką i Ameryką Południową, a także sprawy na Bliskim Wschodzie. Inna rzecz, że nawet gdyby chciała zająć się wszystkimi tymi tematami, inni ważni gracze w Brukseli mogą jej na to nie pozwolić. Inicjatywę w polityce zagranicznej chciałby przejąć António Costa, przyszły przewodniczący Rady Europejskiej, który już zadeklarował to publicznie. Po raz kolejny zatem okazuje się, że układanie Komisji Europejskiej to przede wszystkim zaspokajanie ego i interesów narodowych. Wspólnota, dosłownie i w przenośni, zawsze schodzi na dalszy plan.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



**15. Festiwal
Muzyki
Filmowej
Krzysztofa
Komedy**

29-30 IX 2024
www.fm fkk.pl
**Studio Koncertowe PR
im. W. Lutosławskiego
Kino Atlantic**

Organizator: **JAZZ ART FUNDACJA**

Partnerzy: **MAA**, **XFILM**, **za'KS**, **JAZZ**, **KULTURA**, **jazz forum**, **FOCUS**, **WARSZAWA**, **PR**

Z Galicji



Jan Widacki

Dwa teksty w „Polityce”

W jednym z ostatnich numerów „Polityki” sąsiadują ze sobą dwa teksty: „Tak IPN prześladował rektora UJ. Nie dał mu spokoju nawet po śmierci” i „Taktyka i matematyka generała drapieżnika”. Pierwszy tekst jest autorstwa Joanny Podgórskiej, drugi – Marka Świerczyńskiego.

Z pozoru nie mają one nic wspólnego. Ten pierwszy jest o prześladowanym przez Instytut Pamięci Narodowej prof. Franciszku Ziejce, rektorze najstarszego polskiego uniwersytetu, drugi – o nowym głównodowodzącym armii ukraińskiej. A jednak coś je łączy. Przypadkowe, jak sądzę, zamieszczenie w jednym numerze tygodnika akurat tych dwóch tekstów pokazuje, jak szkodliwą i, co tu dużo mówić, głupią instytucją jest IPN. To samo odnosi się do idei lustracji.

Powszechnie szanowany, zasłużony dla polskiej nauki i kultury prof. Ziejka, zanim sąd oczyścił go z zarzutów lustracyjnych, został przez IPN dosłownie zaszczuty. Inna rzecz, że zatrudnione w tej instytucji prawnicze i historyczne miernoty znalazły w owym szczuciu sojuszników w uniwersyteckim środowisku naukowym. I do tego ostatniego miałbym nawet większe pretensje niż do etatowych, zawodowych zaszczuwaczy z IPN. Bo o ile ci ostatni robili to, co robili, w ramach etatu, na miarę swoich kompetencji i możliwości intelektualnych, o tyle ci z uniwersytetu sekundowali im wyłączenie z podłości, zawiści, osobistej niechęci i politycznego zacierzawienia, a więc z najbrzydlivszych pobudek.

A co do tego ma ów „drapieżnik”, gen. Ołeksandr Syrski? Spójrzmy na jego życiorys. Urodził się w Rosji, jego ojciec był sowieckim wojskowym, on sam ukończył sowiecką elitarną Moskiewską Wojskową Wyższą Szkołę Dowódczą. I aż strach pomyśleć: ukończył ją z wyróżnieniem! Później, aż do rozpadu ZSRR, był oficerem sowieckiej armii. Gdyby Ukraińcy kierowali się polską filozofią lustracyjną, której państwowym ucieleśnieniem jest IPN, Syrski nie miałby żadnych szans na karierę w ukraińskim wojsku.

Podobnie byłoby zresztą, gdyby obłęd lustracji opętał II RP. Nie mieliby szans na karierę wojskową carski generał Józef Dowbor-Muśnicki, carski pułkownik (później polski generał) Juliusz Rómmel, carski rotmistrz (również późniejszy polski generał, i to jaki!) Władysław Anders, absolwent dwóch austriackich uczelni wojskowych gen. Tadeusz Kutrzeba czy kapitan u-boota w kajzerowskiej

flocie, późniejszy dowódca Obrony Wybrzeża, adm. Józef Unrug, i setki im podobnych.

Nie mówię już o Kościele katolickim, w którym, gdyby prowadzono podobną do polskiej lustrację, Joseph Ratzinger (późniejszy kardynał i papież Benedykt XVI) nie przeszedłby jej za Hitlerjugend, do którego należał jako dziecko.

Zaiste, idea lustracji i IPN to twory polskiej myśli politycznej III RP. O ile jeszcze w początkach III Rzeczypospolitej lustracja mogła mieć jakiś sens i można ją było, choć z trudem, jakoś obronić, o tyle teraz naprawdę nie ma już żadnego. Kogo wyłapują obecne procesy lustracyjne? Kandydatów na radnych gmin czy najwyżej powiatów, w dodatku często, jak to później wykazują sądy, oskarżanych o byłą agenturalność niesłusznie, na siłę, bo pion lustratorski musi wykazać swoją przydatność. Przed czym lustracja chroni dziś państwo polskie i społeczeństwo?

Lustracja chroni dziś rady gmin czy powiatów przed przeniknięciem do nich kogoś, kto ponad 35 lat temu miał kontakty z SB. Toż zabójstwo przedawnia się szybciej!

Czemu sensownemu służy? Chroni rady gmin przed tym, by nie przeniknął do nich ktoś, kto ponad 35 lat temu miał kontakty z SB? Toż zabójstwo przedawnia się po krótszym okresie! A ile milionów kosztuje to podatnika?

Czy naprawdę nie najwyższy czas na likwidację IPN i przekazanie jego funkcji do archiwów państwowych, akademickich katedr historii najnowszej, Instytutu Historii PAN i zwykłej prokuratury, która niech ściga ostatnich żyjących sprawców zbrodni przeciwko narodowi polskiemu?

Naprawdę potrzebna jest tak ogromna, zideologizowana instytucja, kuriozalnie kumulująca funkcję archiwum, badania historyczne, popularyzację wiedzy historycznej i ściganie prokuratorskie?

Czy praktyka funkcjonowania tej instytucji dotąd nie przekonała rządzących dzisiaj, że jest to kuriozalna, kosztowna policja polityczno-historyczna, swoisty kustosz i strażnik skrajnie prawicowej, anachronicznej wizji historii? Instytucja po prostu szkodliwa? Czy znajdzie się wreszcie wśród polityków (może na lewicy?) ktoś odważny, aby to głośno powiedzieć? ■

Jeszcze o akcji „Wisła”

Andrzej Romanowski

Zbyt wysoko cenię publicystyczną klasę Red. Roberta Walenciaka, bym mógł przejść do porządku nad jego tekstem „Kułeba, Wołyń i akcja „Wisła” (PRZEGŁĄD nr 36/2024). Ale na początek chcę powiedzieć: ołsztyńską wypowiedź Dmytra Kułeby, ukraińskiego ministra spraw zagranicznych, uważam za beczelną. Nie dlatego, by nie miał on racji, lecz dlatego, że na pytanie o pochówki ofiar UPA na Ukrainie odpowiedział nie na temat. A tak nie wolno rozmawiać.

Minister mógł przecież zareagować pytaniem o stan grobów upowców w Polsce. Wszak to w odpowiedzi na zniszczenie jednego z nich, postawionego legalnie w Monasterzu, strona ukraińska wstrzymała kiedyś wołyńskie ekshumacje. Ale Kułeba wybrał potajanki. Nie wiem, dlaczego Red. Walenciak uznał za konieczne odpowiedzieć w tym samym stylu.

Bo tak jak ministra Kułebę nie obchodzi odpowiedzialność strony

KRAJ

Kułeba, Wołyń i akcja „Wisła”

Robert Walenciak

W mienistym tygodniu gwiazda polskiej mediów i polskiego internetu został Dmytro Kułeba, szef MSZ Ukrainy. Internet – jak to się mówi – kułebował. Kułeba zyskał tę popularność głównie na odpykającym się w Olsztynie Campusie Polska Przyjaźni. Tam, razem z Radostawem Sikorskim, miał spotkanie z młodzieżą. Potem odpowiedział na pytanie. Jedną z uczestniczek zapytała go, kiedy Polska będzie mogła w końcu przeprowadzić ekshumacje ofiar łubowski ułwa na Wołyń. To pytanie, którego szef ukraińskiego MSZ powinien się spodziewać i mieć przygotowaną odpowiedź.

W ramach naszej polskiej wójki i jemu, i Radostawowi Sikorskiemu, którzy tak pięknie nie miał nic do powiedzenia, i wszystkim innym feliśtom: prof. Bronisław Łagowski z 2002 r., sprzed 22 lat. A jakby wieczór pisały...



BRONISŁAW ŁAGOWSKI

Akcja „Wisła” była słuszna

W latach 1943 i 1944 na wschodnich terenach Polski zaszła wielka tragedia. Polacy z terenów wschodniej Polski, którzy mieszkali w tym czasie, zostali przesiedleni do zachodniej części państwa. W tym czasie Polacy z terenów wschodniej Polski, którzy mieszkali w tym czasie, zostali przesiedleni do zachodniej części państwa. W tym czasie Polacy z terenów wschodniej Polski, którzy mieszkali w tym czasie, zostali przesiedleni do zachodniej części państwa.

Odpowiedź Roberta Walenciaka:

Szanowny Panie Profesorze,

komentowałem wystąpienie ministra (już byłego) Kułeby z kilku powodów. Po pierwsze, mijał się z prawdą. Po drugie, mówił rzeczy gorszące. Po trzecie, zamiast poprawiać stosunki polsko-ukraińskie, tylko je pogarszał. Był zatem w dramatyczny sposób antyskuteczny.

Od sprawy Wołynia nie uciekniemy. Jest więc dla mnie niezrozumiałe, że Ukraińcy nie godzą się na ekshumacje i pochówki ofiar rzezi. A niczego więcej nie chcemy! Czyżby obawiali się, że ekshumacje wzbudzą w Polsce nastroje antyukraińskie? Nie wpłyną na to bardziej niż opór i uniki w tej kwestii.

Zdumiewa mnie, że Kułeba, człowiek ze wschodniej Ukrainy, nie chciał na prośby o ekshumacje odpowiadać. Że zdecydował się uciąć temat twardą ripostą. Na zasadzie: my wam Wołyń, wy nam akcję „Wisła”, więc jesteście kwita.

Przecież ta logika urąga przyzwoitości. Mówiąc szczerze, brak mi słów. Jak można porównywać wysiedlenia

ukraińskiej, tak Red. Walenciaka nie obchodzi odpowiedzialność strony polskiej. Zawsze uważałem, że najpierw należy uporządkować własne podwórko – nawet jeśli uznamy, że ukraińska odpowiedź na grób

w Monasterzu była przesadna i że stanowiła dogodny pretekst. Nie powinniśmy dostarczać takich pretekstów! Ale Red. Walenciak pisze dalej: „Ukraińcy w ramach akcji »Wisła« nie zostali wygnani, tylko przesiedleni. Wbrew pozorom to ważna różnica”. No to zobaczymy, jak wyglądało to „przesiedlenie”. I jaka to „ważna różnica”.

Wiosną 1947 r. polskie wojsko otaczało nocą bieszczadzką wieś, a o świecie komunikowano mieszkańcom, że mają dwie (czasem trzy) godziny na spakowanie całego majątku – maksimum 25 kg na osobę. Następnie byli oni transportowani do najbliższej stacji kolejowej, skąd ich przewożono w wagonach towarowych, starając się, by osoby z tej samej wsi trafiały w różne miejsca, najlepiej do różnych osad. I zawsze były to miejscowości możliwie jak najdalej od ich ojcowizny: okolic Olsztyna, Gdańska, Koszalina, Szczecina, Wrocławia, Opola, Gorzowa Wielkopolskiego... Natomiast dla osób oznaczonych kategoriami A, B lub C (podejrzani o sprzyjanie

z rzeziąmi? Stawiać na równi? Gdyby zapytać 100 Polaków i 100 Ukraińców, co by woleli – zostać zamordowani czy wywiezieni, chyba wszyscy odpowiedzieliby tak samo. To są dwie różne rzeczywistości.

Skupmy się teraz na tej drugiej rzeczywistości, na akcji „Wisła”. Przypomina Pan, że nosiła znamiona czystki etnicznej, że była brutalna i przynajmniej 162 osoby jej nie przeżyły. Tak, została przeprowadzona w sposób drastyczny,

Nie wyobrażam sobie sytuacji, że w wyniku amnestii partyzanci UPA wracają do prac na roli i godzą się na polską zwierzchność.

przynoszący nam wstyd, dlatego mocno doceniam, że prezydent Aleksander Kwaśniewski za nią przeproszał.

Ale jakie było alternatywne rozwiązanie? UPA mogła funkcjonować dlatego, że wzięła Ukraińców mieszkających w Polsce południowo-wschodniej na zakładników.

UPA) miejscem pierwszego osiedlenia był obóz koncentracyjny w Jaworznie – dawna filia niemieckiego KL Auschwitz-Birkenau. Osadzono tu 3936 (lub 3873) Ukraińców, w tym całą, nieliczną w powojennej Polsce, ukraińską inteligencję, 22 księży unickich i 5 księży prawosławnych, 823 kobiety oraz kilkanaścioro dzieci.

byli kierowani do niemieckich stref okupacyjnych, gdzie wynarodowienie im nie groziło. Ukraińcy inaczej: gdy ktoś usiłował wrócić na ojcowiznę (np. po zostawione rzeczy, póki jeszcze nie były skonfiskowane, bądź po zebranie plonów), był wyłapywany przez UB i wędrował do Jaworzna.

Gdy się zna fakty, tytuł artykułu Prof. Bronisława Łagowskiego „Akcja »Wisła« była słuszną” jest horrendalny. Przecież ta akcja była jedynym w naszej historii wygnaniem z ojczystej ziemi, rozproszeniem, a często wynarodowieniem, społecznością, z którą żyliśmy przez stulecia „pod jednym dachem”, a którą w całości uznaliśmy za zbrodniczą. Do dziś obciąża ta akcja polskie sumienie i do dziś jest raną dla Ukraińców. Czy była konieczna? Red. Tadeusz Andrzej Olszański pisał kiedyś, że gdyby amnestia z roku

Dla podejrzanych o sprzyjanie UPA miejscem pierwszego osiedlenia był obóz koncentracyjny w Jaworznie – dawna filia niemieckiego KL Auschwitz-Birkenau.

Na ogół nie spotykało się tu upowców – oni byli więzieni i sądzeni gdzie indziej. Terror psychiczny i fizyczny stanowił codzienność – do likwidacji obozu (8 stycznia 1949 r.) zmarły 162 osoby, niektóre śmiercią samobójczą, rzucając się na druty pod napięciem.

Ludność ukraińska, oderwana akcją „Wisła” od ojcowizny, żyła odtąd dziesiątki lat w rozproszeniu. W otoczeniu dla niej obcym, pozbawiona cerkwi, korzystająca z konieczności z kościołów rzymskokatolickich, ludność ta musiała często ukrywać swoją tożsamość i w konsekwencji stopniowo się wynaradawiała. Zatem los Ukraińców był gorszy od wypędzanych Niemców. Ci bowiem

Pisze Red. Walenciak: wypędzano „nie z terytoriów ukraińskich, ale polskich”. Po czym dodaje: „Minister chyba nie chce zgłaszać wobec Polski pretensji terytorialnych?”. Otóż, Panie Redaktorze, te terytoria znajdowały się w państwie polskim, ale od wieków były zasiedlone przez ludność ruską, po dzisiejszemu: ukraińską. I zauważmy: polskie Ziemię Zachodnie nazywamy (czasem jeszcze dziś) Ziemiami Odzyskanymi, bo w średniowieczu były etnicznie polskie. Otóż w średniowieczu ziemi na wschód od Rzeszowa i Sarnoka należały do Rusi, do księstw ruskich. Co oczywiście nie znaczy, że za takim stwierdzeniem kryje się jakiś rewizjonizm graniczny.

1947 objęła także UPA, jej siły skurczyłyby się do poniżej tysiąca osób. A i wsparcie miejscowej ludności drastycznie by zmalało. Polskie władze wołały jednak zastosować odpowiedzialność zbiorową, wygnać prawie 150 tys. ludzi, dokonać faktycznej czystki etnicznej.

Tyle polemiki z Red. Walenciakiem. Nie odnoszę się natomiast (poza tytułem) do artykułu Prof. Łagowskiego. Po pierwsze, dlatego że nie polemizuję się z tekstem sprzed 22 lat. Po drugie, dlatego że Łagowski był niegdyś świadkiem ukraińskich rzezi. Nie mam prawa oceniać jego, trwającej przez dziesięciolecia, postawy.

Oni te oddziały żywili, ostrzegali, stawali się ich żołnierzami. Owszem, to była nierówna wojna, UPA musiała przegrać. Ale ilu ludzi musiałoby do tego czasu zginąć? Ilu żołnierzy? Ile chat by spłonęło? Ile nieszczęścia by się wyłowało?

Myślę, że to jest ten moment, w którym się różnimy – moja wyobraźnia nie obejmuje sytuacji, że w wyniku amnestii partyzanci UPA wracają do prac na roli i godzą się na polską zwierzchność.

Dlatego, biorąc pod uwagę tamtą sytuację i ogólny klimat tamtych lat, gdy przesiedlano całe narody, to rozwiązanie było najmniejszym złem. Ludzie żyją! Dostali gospodarstwa, ułożyli sobie życie, wychowali dzieci. Wotyn to nie był.

Szczerze współczuję przesiedlonej ludności, że padła ofiarą historii, że została wkręcona w jej brutalne tryby. Ale przecież wkręcona została nie w momencie wydania rozkazu o rozpoczęciu akcji „Wisła”, tylko wiele lat wcześniej.

Na zakończenie wątek „jagielloński”. Wiem, że ziemi południowo-wschodniej Polski były zasiedlone od

stuleci przez ludność niepolską. Ale przecież nie chcę tego podważać. Odnoszę się do stanu prawnego. A zgodnie z prawem, tym dzisiejszym i tym ówczesnym, te ziemi należą do Polski, są polskie. Tak jak Lwów i okolice nie są Polską, tylko są Ukrainą. Zresztą minister Sikorski głośno wołał: Lwów to Ukraina! Tak jest i tak będzie, choćby nie wiem jak bardzo namawiał nas do jego wzięcia prezydent Putin.

Panie Profesorze, jestem Panu przy tej okazji wdzięczny za sugestywny opis ziem dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego w książce „Życie pełne historii”, wywiadzie rzece przeprowadzonym przez Pawła Dybiczę i wydanym przez PRZEGLĄD. Zasiedlające te ziemi narody, jak Pan tłumaczy, nie poddały się rusyfikacji, są inne niż Moskwa. Ukraina to nie zbuntowana prowincja, Białoruś to nie zagubiona gubernia, to samodzielne narody, gotowe w imię wolności na daninę krwi. Życzę im, by same decydowały o sobie. To na pewno będzie dla nich najlepsze. Lepsze niż moskiewskie czy nasze wtrącanie się w ich losy.

Robert Walenciak

Rafał Skąpski

Druga połowa 1944 r. to dla premiera Stanisława Mikołajczyka czas najtrudniejszy. W Londynie ma przeciwko sobie duumwirat: prezydenta i wodza naczelnego. Na polu międzynarodowym w trakcie powstania warszawskiego prowadzi najtrudniejsze negocjacje z Moskwą, w tym bezpośrednio ze Stalinem. Szczególną ich komplikacją jest powołanie alternatywnej dla rządu emigracyjnego Krajowej Rady Narodowej, przejmującej władzę na terenach wyzwolanych przez Armię Czerwoną. W Londynie Mikołajczykowi udaje się przy pomocy Brytyjczyków uzyskać wreszcie dymisję gen. Kazimierza Sosnkowskiego z funkcji naczelnego wodza i zastąpić go gen. Tadeuszem Borem-Komorowskim, który jednak swej funkcji przez ponad pół roku wykonywać nie może, gdyż znajduje się w niemieckiej niewoli.

Początek jesieni 1944 r. to kolejny wyjazd premiera do Moskwy. Po wstępnych konsultacjach Mikołajczyka z ministrami spraw zagranicznych: ZSRR – Władysławem M. Mołotowem i Wielkiej Brytanii – Anthonyem Edenem oraz ambasadorem USA w ZSRR Williamem A. Harrimanem rozmowy osiągają szczybel wyższy i toczą się już w trójkącie Stalin-Churchill-Mikołajczyk. W imieniu Roosevelta przysłuchuje się im Harriman.

Mikołajczyk widzi, że nie tylko on, ale i sprawa Polski jest przedmiotem gry trzech największych mocarzy świata. Jest coraz bardziej świadomy, że Stalin zręcznie rozgrywa swych rozmówców, że Churchill mu ustępuje, a przyszłość i granice Polski stają się obojętne Ameryce. Rozumie, że jest pionkiem, że powoli traci grunt pod nogami. Ale spraw kraju, w swoim rozumieniu, pragnie bronić za wszelką cenę. Mimo decyzji Wielkiej Trójki, ustalającej w Teheranie wschodnią granicę Polski, wciąż wierzy, iż będzie w stanie odwrócić bieg historii. Przed opuszczeniem Moskwy spotyka się ze ściągniętym tu z Lublina Bolesławem Bierutem, wówczas przewodniczącym Krajowej Rady Narodowej, odbywa także rozmowę ze Stalinem, w cztery oczy.



William Averell Harriman w latach 1943-1946 był ambasadorem USA w Moskwie.

William Harriman a sprawa polska

W jakim stopniu doświadczenia biznesowe z międzywojnia mogły wpłynąć na jego rolę w kształtowaniu powojennych granic Polski?

Niecierpliwy Churchill

Po powrocie do Londynu, podczas wystąpienia przed Radą Narodową Mikołajczyk otwarcie i z bólem stwierdza, że Polska „w politycznej strategii Anglii i Ameryki nie jest pozycją najważniejszą”. Oceniając realnie sytuację, nie widzi innej możliwości niż pójście na układ ze wspieranymi przez Moskwę reprezentantami nowej władzy w kraju. Takiej decyzji od polskiego premiera i od całego rządu londyńskiego coraz niecierpliwiej oczekuje Churchill. Jednak Mikołajczykowi nie udaje się uzyskać aprobaty kierowanego przez siebie rządu dla koncepcji, jakiej od pewnego czasu chce Churchill. Rada Ministrów na posiedzeniu 3 listopada 1944 r. uchwaliła, że nie widzi możliwości wyrażenia

zgody na warunki postawione na konferencji w Moskwie, i zwróciła się „o ponowne rozważenie w najbliższej przyszłości całokształtu tych spraw w gronie Trzech Głównych Mocarstw Zjednoczonych z udziałem Rządu Polskiego”. Stojąc już w zasadzie na przegranej pozycji, Mikołajczyk wciąż liczy na uzyskanie pozytywnej reakcji Roosevelta wobec interpelacji w sprawie polskiej granicy wschodniej.

Raz jeszcze, zdesperowany, zwraca się o pomoc do Wincentego Witosa, kilkakrotnie namawia go do przylotu do Wielkiej Brytanii. Ufa, iż sama obecność Witosa w Londynie będzie oparciem – dla niego i dla odtworzenia wolnej Polski wedle wizji, o urzeczywistnienie której wciąż zabiega. Dzień po niekorzystnej dla jego koncepcji uchwale rządu wysłała

do Witos a depezę z prośbą o natychmiastowy wyjazd do Londynu. Gdy schorowany Witos wreszcie pozytywnie odpowiada na prośbę i rozpoczynają się przygotowania do jego przerzutu do Londynu, cały misterny plan okazuje się na nic. Mikołajczyk zostaje przymuszony do dymisji, a jego następcy, Tomaszowi Arciszewskiemu, Witos nie jest do niczego potrzebny.

Kilkakrotnie pojawiło się powyżej nazwisko amerykańskiego dyplomaty Williama A. Harrimana, którego udział w rozmowach Wielkiej Trójki niewątpliwie miał znaczący wpływ na projektowane losy Polski po zakończeniu działań wojennych. Rzecz dotyczy przede wszystkim konferencji w Moskwie w dniach 9-19 października 1944 r. Harriman był wówczas (w latach 1943-1946) ambasadorem USA w Moskwie. W spotkaniach uczestniczył w dwóch rolach. W pierwszych dniach konferencji – gdy rozmowy Stanisława Mikołajczyka toczyły się na szczeblu ministrów spraw zagranicznych Związku Radzieckiego, Wielkiej Brytanii i USA – reprezentował sekretarza stanu USA. Następnie, gdy rozmowy weszły na szczebel przywódców państw (Stalin i Churchill), Harriman reprezentował nieobecnego prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta. Ponownie zaś miał wpływ na losy Polski, biorąc udział w konferencji jałtańskiej (4-11 lutego 1945 r.).

Wyraziciel stanowiska prezydenta USA

Raz jeszcze jego poglądy i słowa ważyły w polskich sprawach, gdy dyskutowano o powołaniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Jak twierdzą historycy, Harriman wywarł wpływ na skład grupy polskich polityków emigracyjnych, którzy mieli wejść do tego rządu. Przypomnijmy, że sprawa dotyczy rozmów toczonych w Moskwie w dniach 17-21 czerwca 1945 r., zakończonych powołaniem Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej 28 czerwca 1945 r. w Warszawie przez Bolesława Bierutę, wówczas prezydenta Krajowej Rady Narodowej. Harriman nadal

był wtedy ambasadorem USA w Moskwie i jego zdanie należało przyjmować jako stanowisko prezydenta USA. Przypomnijmy, że skutkiem tych uzgodnień i decyzji była zgoda Moskwy, by w TRJN zasiedli „londyńczycy”: Stanisław Mikołajczyk jako drugi wicepremier i minister rolnictwa i reform rolnych oraz Władysław Kiernik jako minister administracji publicznej. Obaj zasiadali w rządzie do 6 lutego 1947 r., kiedy to po wyborach do Sejmu Ustawodawczego rząd podał się do dymisji.

Warto wspomnieć, że początki misji w Moskwie Harriman poświęcił na skuteczne działania na rzecz militarnego wsparcia armii radzieckiej, wyraźnie przegrywającej wówczas z Niemcami. Pomoc objęła m.in. wyposażenie Rosjan w 2,5 tys. czołgów i 3,6 tys. samolotów.

Z planów budowy elektrowni w Polsce nic nie wyszło, sanacja nie ufała powiązanemu z niemieckim kapitałem Amerykaninowi.

Po zakończeniu misji w Moskwie Harriman przez dwa lata piastował stanowisko sekretarza handlu w gabinecie prezydenta Harry'ego Trumana. W latach 1955-1958 sprawował urząd gubernatora stanu Nowy Jork. Jednocześnie w roku 1952 i 1956 bezskutecznie starał się o nominację demokratów w wyborach prezydenckich. Gdy urząd prezydenta USA objął John F. Kennedy (1961-1963), Harriman został powołany na stanowisko ambasadora do specjalnych poruczeń, a już w listopadzie 1961 r. został podsekretarzem stanu ds. wschodnich. W kwietniu 1963 r. Kennedy powołał go na podsekretarza stanu ds. politycznych. Pełniąc tę funkcję, Harriman odegrał istotną rolę w zorganizowanym przez CIA puczu, który w listopadzie 1963 r. obalił prezydenta Wietnamu Południowego Ngo Dinh Diema.

Pod rządami Lyndona Johnsona (1963-1969) ponownie został ambasadorem. Tym razem pełnił misję w Wielkiej Brytanii. Tam zapewne poznał Pamelę Digby (byłą już synową Churchilla), która została jego kochanką, a w 1971 r. żoną. Trzecią i ostatnią.

Amerykański biznesmen

Opisane wyżej związki Harrimana ze sprawami Polski nie są jedyne. W roli przedsiębiorcy i przemysłowca pojawił się on w Polsce międzywojennej. Reprezentował kapitał amerykański zainteresowany polskim przemysłem górniczym.

W wyniku zwycięskiego III powstania śląskiego przyłączono do Polski około jednej trzeciej terenu Górnego Śląska. W tej części regionu mieszkała połowa ludności i znajdowały się największe pokłady węgla kamiennego oraz cztery piąte zakładów przemysłowych. Polsce przypadło 50% górnośląskiego hutnictwa i 75% górnictwa węgla kamiennego. Zdecydowana większość przedsiębiorstw zrzeszających kopalnie czy inne zakłady przemysłowe należała do kapitału

zagranicznego. Przeważała własność niemiecka, a w dalszej kolejności polska i polsko-francuska. Niewielki procent stanowiły kopalnie i huty amerykańsko-niemieckie (Giesche) oraz firmy francuskie i belgijskie.

Nowa granica polsko-niemiecka nie uwzględniała istniejących układów gospodarczych i przemysłowych. Wiele przedsiębiorstw, majątków ziemskich, a także miast i wsi zostało przedzielonych. Często szyby kopalniane były odcięte od złóż, a wielkie piece od miejsc przeróbki stali. Jednym z koncernów, których elementy składowe znalazły się po obu stronach granicy, były przedsiębiorstwa spadkobierców Georga von Gieschego. Władze słynnego koncernu Giesche przekazały majątek znajdujący się po polskiej stronie specjalnie w tym celu utworzonej w 1922 r. spółce Giesche SA w Katowicach.

W 1926 r. spadkobiercy Gieschego postanowili zbyć akcje tej spółki. Ich nabyciem zainteresowany był amerykańsko-niemiecki holding Silesian-American Corporation (SACO), należący do amerykańskiej firmy Silesian Holding Company. 35% udziałów tego holdingu kontrolował 35-letni ▶

► amerykański biznesmen William Averell Harriman. Tak, ten sam Harriman, który niecałe 20 lat później jako ambasador USA w Moskwie odegra znaczącą, choć nie pierwszoplanową rolę w sprawie losów powojennej Polski.

W 1926 r., by zrealizować zamierzenia amerykańskiego kapitału, Harriman pojawia się w Polsce. Ma wsparcie Wojciecha Korfanteo i kierowanej przez niego chrześcijańskiej demokracji. Lecz rok 1926 to czas politycznej burzy i głębokich zmian. W maju Józef Piłsudski po dokonanych przewrocie wraca do władzy. Korfanti traci pozycję i wpływ. Nowy premier Kazimierz Bartel jest wyraźnie nieufny wobec misji Harrimana i obecności amerykańskiego kapitału na Śląsku. Daje temu wyraz 26 czerwca 1926 r., oświadczając publicznie, że wejście Amerykanów do śląskiego przemysłu uważa za szkodliwe dla Polski. Mimo to kilka dni później Harriman kończy swoją misję sukcesem. 3 lipca 1926 r. polscy ministrowie: spraw zagranicznych, gospodarki i finansów, parafują umowę o przeniesieniu majątku Giesche SA do koncernu SACO.

Harriman często dogląda interesów na Śląsku. Jest członkiem rady nadzorczej spółki Giesche, zapewne tak jak inni amerykańscy menedżerowie ma mieszkanie na osiedlu Giszowiec, nawet jeśli służy mu ono tylko na czas przyjazdów do Polski. A ma do pobytu tutaj więcej powodów niż sama spółka Giesche – jest również udziałowcem i członkiem rady nadzorczej Banku Handlowego. Ma i dalsze plany, zainteresowany jest budową w Polsce elektrowni. Jednak z tych projektów nic nie wychodzi, sanacja nie ufa powiązanemu z niemieckim kapitałem Amerykaninowi.

Jego zaangażowanie w przemysł w Polsce spotyka się także z mocną krytyką na łamach „Głosu Porannego”, organu Narodowej Partii Robotniczej. W artykule opublikowanym 5 listopada 1928 r. padają sformułowania o braku korzyści z „najazdu kapitału amerykańskiego”. Autor zarzuca Harrimanowi, że „traktuje Polskę jak kolonię, do której po wyczerpaniu rabunkową gospodarką bogactw nigdy się nie powróci”.

W owym czasie (konkretnie od roku 1912 do 1937) ojciec mojej Matki, Witold Sągajło, był dyrektorem generalnym Warszawskiego Towarzystwa Kopalń Węgla i Zakładów Hutniczych z siedzibą w Zagłębiu Dąbrowskim. Pełnił wiele funkcji w organizacjach branżowych – w latach 1919-1928 był prezesem Stowarzyszenia Polskich Inżynierów Górniczych i Hutniczych z siedzibą w Katowicach, był także wiceprezesem Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów Lewiatan oraz gubernatorem Polskiego Rotary Club. Czy mógł znać Harrimana? Wysoce prawdopodobne.

Pozostaje jednak ważniejsze pytanie – jak te biznesowe doświadczenia Harrimana nabyte w przedwojennej Polsce nastawiły go do naszego kraju i w jakim stopniu mogły wywrzeć wpływ na jego rolę w latach 1944-1945 w tworzeniu powojennego kształtu naszego państwa i Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej.

Rafał Skąpski



Filharmonia
Narodowa

MISSA PRO PACE

INAUGURACJA SEZONU ARTYSTYCZNEGO
2024/2025

4/5.10

Orkiestra i Chór Filharmonii Narodowej

Antoni Wit – dyrygent, Izabela Matuła – sopran, Ewa Wolak – kontralt,

Rafał Bartmiński – tenor, Jerzy Butryn – bas, Bartosz Michałowski – dyrektor chóru

Kilar

Na koncerty zaprasza
Strategiczny Mecenat Roku
Filharmonii Narodowej



Bank Polski

Organizator

filharmonia.pl

MKiDN

Strategiczny
Mecenat



Bank Polski

Mecenas



Polska Grupa Energetyczna

Sponsor



TAVEX

Nawiasem mówiąc



Stanisław Filipowicz

Kto komu ukradł kota?

Do rzeczy, które jednocześnie złością i niepokoją, zaliczyłbym intelektualną jałowość polskiej polityki. Trwa gra na rozstrojonych instrumentach – słyszymy wciąż te same frazesy. Jedynym czynnikiem ożywienia stały się awantury przypominające spory o miedzę. Śledząc ich przebieg, możemy się zastanawiać co najwyżej, gdzie jest Kargul, a gdzie Pawlak i kto komu ukradł kota. Popatrzmy na nasze komisje sejmowe. Czy ich szarże nie przypominały czasami filmu „Sami swoi”, w którym momenty kulminacji wyznaczało zawołanie: „A podejdź no do płota”?

No tak, jest jeszcze mizdrzenie się do publiczności, obracające się wokół kwestii, co kto „dowiezie”. In dobie marketingu język staje się powoli narzędziem tortur. Tak na mnie działają, nie ukrywam, wszystkie dęte proklamacje, w których na pierwszym miejscu pojawić się musi jakiś kliwy frazes, ozdobiony koniecznie zwrotem: „Polki i Polacy”. Reszta się nie liczy – substancji myślowej w tym żadnej nie ma – w demokracji sondażowej chodzi przecież o głosy, a nie o sprawę.

A spraw nie brakuje. Czy mamy jakąś politykę wschodnią? O czym tu gadać, ktoś powie, jesteśmy przecież częścią Zachodu, wszystko zatem jasne. Czyżby? Wschód to przecież także Ukraina. Jak sobie ułożymy stosunki z Ukrainą? Sięgając wzrokiem poza polityczną fasadę, zauważymy, że wszystko zaczyna się gmatwać. W wielu punktach nasze interesy są sprzeczne. Ostatnio po raz kolejny mogliśmy się przekonać, że ukraińska polityka historyczna przeczy naszym wyobrażeniom o rzetelnym dochodzeniu do prawdy. Skandaliczna wypowiedź eksministra Kułeby, który skierowanie uwagi na problem wołyńskich ekshumacji nazwał „grzebaniem w historii”, nie była przecież przejęzyczeniem. Nawet najwięksi optymiści powinni już chyba zejść z obłoków.

Wybitny historyk Józef Szulski pisał kiedyś o „młodszości naszego cywilizacyjnego rozwoju”. Przekonywał, że momentem krytycznym w polskich dziejach stała się Unia Litewska. Ze Wschodu powiały silne wiatry. Nasza tradycja zachwiała się i polski typ „zwschodniał”. Wielkie fortuny magnackie i rozpasane ambicje „drobnych Cezarów” wywarły dewastujący wpływ na nasze obyczaje i politykę, nakładając na wzorce szlacheckiego republikanizmu ciężar bezmiernej pychy i samowoli, co ostatecznie – jak wiemy – fatalnie odbiło się na polskich losach. Dzisiaj też wieje wiatr ze Wschodu. Nie odwracajmy oczu od trudnych pytań.

Na burzę zbiera się również na Zachodzie. Miałem w rękach wydaną kilka miesięcy temu w Paryżu książkę

Emmanuela Todda „Kłęska Zachodu”. No cóż, o takich rzeczach można mówić w Paryżu. Nam mają wystarczyć klisze propagandowe.

Popatrzmy na migracje. Gaia Vince, autorka pasjonującej książki „Stulecie nomadów”, ostrzega: „czterej jeźdźcy antropocenu” – pożary, upały, susze, powodzie – są już w drodze. Jak przewidują specjaliści, w ciągu 50 lat ok. 3,5 mld ludzi będzie musiało opuścić zamieszkiwane dotychczas obszary. Ruszą w drogę. A my? No tak, mamy już swoją odpowiedź – drut kolczasty. Jak gęste powinny być zasieki, by powstrzymać nawałnicę?

Jest jakieś wyjście? Przestańmy wymachiwać halabardą. Popatrzmy na mapę, zastanówmy się, gdzie mogą powstać punkty geopolitycznej równowagi. Nie eskalujmy napięć. Nie mówmy bez ustanku o wojnie. Spróbujmy spojrzeć na świat innym okiem. Czy potrafimy sobie wyobrazić obszary stabilizacji, swoiste rygle geopolityczne, zastępujące strefy konfliktów? Może warto pomyśleć. Inaczej „czterej jeźdźcy

Czy potrafimy sobie wyobrazić obszary stabilizacji, swoiste rygle geopolityczne, zastępujące strefy konfliktów?

antropocenu” stratuja nas. Tu oczywiście potrzebny jest głęboki oddech – wyobraźnia, a nie propagandowa historia. Polityka prawdziwie dalekowzroczna.

Trzeba też koniecznie zastanawiać się nad własnymi błędami. Zachód popełnił ich mnóstwo – Libia, Syria, Irak, Afganistan nie stały się przedśionkiem raj. Polityką interwencji zostały przekształcone w ognisko chaosu. Ucieczka z Afganistanu powinna nas czegoś nauczyć.

Edmund Burke, jeden z patronów realizmu, nauczał: polityka nie oznacza wyboru między dobrem i złem. Nader często jest to wybór pomiędzy złem jednego i złem drugiego rodzaju. Wiosną 2022 r. magazyn „Foreign Affairs” wywołał temat Bliskiego Wschodu, stawiając pytania dotyczące upadku złudnych nadziei. „Zarówno pod rządami demokratów, jak i republikanów – pisał F. Gregory Gause – Waszyngton udowodnił, że radzi sobie o wiele lepiej z niszczeniem państw niż z ich tworzeniem”. Na Bliskim Wschodzie – dodawał – „nie mamy wyboru pomiędzy demokracją i autorytaryzmem”, wybór dotyczy „ładu i bezładu”. By powstrzymać chaos, wypada niekiedy współpracować „z reżimami, które mają krew na rękach”.

Co powiemy dzisiaj? W jakim punkcie postawiły nas misjonarskie ambicje „wolnego świata”? Średniowieczny filozof perski Abu Hamid al-Ghazali twierdził, że jeden rok anarchii jest straszniejszy niż sto lat tyranii. Pomyślmy. ■

Odszedł pan od seksu

Jako pierwszy zaczął pisać i mówić „o tych sprawach” w przystępny, zrozumiały dla wszystkich sposób

Andrzej Dryszel

Zapytałem kiedyś prof. Zbigniewa Lwa-Starowicza, czy jeszcze coś go dziwi w seksie Polaków. Profesor chwilę się zastanawiał i powiedział: „Gdy chodzi o wszelkie, najróżniejsze choćby pomysły seksualne ludzi, to już nic nie może mnie zaskoczyć. Ale jak słyszę, że ktoś uprawia seks z tirówkami bez zabezpieczenia, płaci za to, a potem jest zdziwiony, że podłapał chorobę weneryczną, no to ja się dziwię, że on jest zdziwiony”.

To prawda, prof. Lew-Starowicz tak wiele wiedział o życiu seksualnym rodaków, że mogła go zdziwić już tylko ludzka głupota. I to on właśnie cierpliwie wnosił kaganiec oświaty seksualnej do powszedniego życia kilku pokoleń Polek i Polaków. W istocie, był polskim „panem od seksu”, jak z pewnym dystansem napisał w autobiografii. Cytowano go, proszono o wywiady, powoływano się na jego opinie. Pierwsze publikacje Zbigniewa Lwa-Starowicza przypadły zaś na czas, gdy w naszym kraju wiedzę o seksie rzeczywiście krępował kaganiec. Nakładany przez oficjalną socjalistyczną pruderię, przez cenzurę, zwracającą uwagę na treści nie tylko polityczne, ale i obyczajowe (czy raczej nieobyczajne), przez nauki Kościoła katolickiego.

I właśnie w owym czasie wyszło rozporządzenie szefostwa tygodnika studenckiego „ITD”, by zamieszczać na łamach porady seksuologiczne. Pierwszy taki tekst ukazał się wówczas, gdy wielkorządcą Polski był Władysław Gomułka, a redaktorem naczelnym „ITD” Jerzy Wójcik. Tak oto 16 listopada 1969 r. zainaugurowano „Odpowiedzi seksuologa”



ZBIGNIEW LEW-STAROWICZ 1943-2024

autorstwa Zbigniewa Lwa-Starowicza. To znamienna data – i debiut prasowy późniejszego autorytetu. A z kronikarskiego obowiązku warto dodać, że nieco wcześniej, w sierpniu 1969 r., w „ITD” po raz pierwszy pojawiło się zdjęcie nagiej (nie do końca) dziewczyny.

Choć wydaje się to niewiarygodne, nie istniał wówczas internet, a wszelkie zagraniczne pisemka ze zdjęciami gołych kobiet były zakazane i tępione. Nie ukazywał się jeszcze tygodnik „Razem”, słynny ze ściąganych z Zachodu

fotek rozneglizowanych piękności na ostatniej stronie. Raczkowały „Perspektywy”, które później w podobny sposób poprawiały sobie sprzedaż, bazując jednak na rodzimych zdjęciach. Dopiero w maju 1970 r. miała się odbyć wystawa artystycznego aktu kobiecego „Venus”, będąca gigantyczną sensacją. I tylko czarno-biały tygodnik literacki „Współczesność”, ponoć ważny i znaczący, ale nieczytany przez nikogo z wyjątkiem garstki zainteresowanych, już od 1967 r. stosował dźwięgnię sprzedażową w postaci

rozebranej, niezbyt wyraźnej panienki na łamach.

Można słusznie spytać: a co mają gołe zdjęcia kobiet do edukacji seksualnej? Otóż nie da się ukryć, że szczególnie młodsza część czytelników (a Polacy czytali wtedy więcej niż dziś) interesowała się artykułami dotyczącymi erotyki i seksu na takiej samej zasadzie jak damskimi aktami: żeby zetknąć się z czymś nowym, na owe czasy pikantnym i bulwersującym, stanowiącym coś w rodzaju zakazanego owocu. Było jednak wielu takich, którzy z tych tekstów dowiadawali się rzeczy ważnych, o których nie mieli pojęcia, wyzwalali się ze stereotypów, zaczęli rozumieć, że można zadbać o jakość życia seksualnego i o zadowolenie nie tylko własne, ale i partnerki czy partnera. Niezależnie od powodów lektury to właśnie publikowane przez wiele lat „Odpowiedzi seksuologa” legły u podstaw późniejszej popularności i rozpoznawalności prof. Lwa-Starowicza – choć oczywiście nie były jedynymi źródłami jego sukcesu.

Nie ma głupich pytań

W dziedzinie krzewienia edukacji seksualnej Polska pod koniec lat 60. nie była bynajmniej intelektualną pustynią, a takie książki jak „Życie płciowe człowieka”, „Seksuologia” czy „Życie seksualne. Psychologia” ukazywały się w niemałych nakładach. Autorem tej ostatniej był prof. Kazimierz Imieliński, pierwszy w naszym kraju oficjalnie uznany specjalista seksuolog oraz współtwórca seksuologii na świecie.

Nie tylko dysponował głęboką wiedzą. Potrafił ją też w komunikatywny sposób przekazywać.

Doceniając jego dokonania, uczelnie aż z 24 państw przyznały mu tytuły doktora honoris causa.

Zbigniew Lew-Starowicz miał więc skąd czerpać dobre wzory. Swoje „Odpowiedzi seksuologa”, odnoszące się do listów od czytelników „ITD”, zaczął pisać jako młody,

26-letni lekarz, który niedawno ukończył Wojskową Akademię Medyczną w Łodzi. Ciekawe, że była to wtedy jedyna polska uczelnia z katedrą seksuologii, co pokazuje, iż ówczesne władze wojskowe rozumiały, jakie napięcia mogą przeżywać młodzi mężczyźni poddani rygorom koszarowej służby.

Otwarte i wyczerpujące odpowiedzi seksuologa na zadawane listownie intymne pytania stanowiły 55 lat temu nowość w polskiej prasie. Żeby kupić książkę mówiącą „o tych

Ogrom zaufania, którego Zbigniew Lew-Starowicz nigdy nie zawiódł, towarzyszył mu przez całą 55-letnią karierę, czyniąc go najpopularniejszym seksuologiem w Polsce.

sprawach”, trzeba było upolować ją w księgarni, nierzadko przetłumacząc barierę wstydu. Kupno tygodnika, w którym kącik seksuologa stanowił tylko jedną z bardzo wielu rubryk, nie powodowało żadnego stresu – a dzięki pisarskiemu talentowi Zbigniewa Lew-Starowicza otrzymywało się zrozumiałe, wyczerpujące odpowiedzi na konkretne pytania nurtujące wielu czytelników. Było to coś innego niż książka, często napisana hermetycznym, medycznym albo ezopowym językiem.

Ludzie listy piszą

Tradycją niejednej gazety jest opowiadanie ze swadą na listy do redakcji, pisane w rzeczywistości nie przez czytelników, ale przez dziennikarzy tejże gazety. W przypadku

„Odpowiedzi seksuologa” były to jednak tysiące autentycznych listów od ludzi naprawdę proszących o radę. Dr Lew-Starowicz je posegregował – i podsumował, że najmłodszy autor listu miał 13 lat, a najstarszy 77 (to nie rekord, bo najstarszy w ogóle jego pacjent miał lat 88

i z żoną współżył cztery razy w tygodniu, lecz gdy zachorowała i trzeba było ograniczyć częstotliwość zbliżeń, poprosił o leki zmniejszające popęd; nie chciał zdradzać żony). Wśród autorów nieznacznie przeważali mężczyźni, 47% listów przychodziło z wielkich miast (nawet z Irkucka), tylko 6% ze wsi, reszta z miast małych i średnich.

Jak mówił kiedyś dr Lew-Starowicz, niektórzy autorzy listów uważali, że jest on przedstawicielem starszego pokolenia i w związku

z tym nie entuzjazmuje się pornografią, seksem grupowym czy komunami małżeńskimi. Inni zaś ganili go za młodzieżowe poglądy i chęć schlebienia prymitywnym gustom młodych ludzi. Ale cokolwiek mieli na myśli, ogrom ich zaufania był dla niego niesłychanie zobowiązujący.

I właśnie ten ogrom zaufania, którego Zbigniew Lew-Starowicz nigdy nie zawiódł, towarzyszył mu przez całą 55-letnią karierę, czyniąc go najpopularniejszym seksuologiem w Polsce. Dlaczego zainteresował się akurat tą dziedziną? Może z powodu doświadczeń osobistych – bo jak mówił, inicjację seksualną przeżył w wieku 16 lat, z prawdziwej miłości. Jednocześnie do 30. roku życia był ministrem, więc niewykluczone, że nauczanie Kościoła początkowo mogło mieć jakiś wpływ na jego poglądy naukowe.

Wspomniane wcześniej pierwsze „Odpowiedzi seksuologa” z 16 listopada 1969 r. nosiły tytuł „Czy samogwałt jest szkodliwy?”. „Samogwałt jest wyrazem ukierunkowania popędu seksualnego na samego siebie. Nie można go tłumaczyć potrzebą wyładowania nadmiaru energii seksualnej, gdyż organizm jest na tyle doskonałą strukturą, że sam sobie daje radę, wyładowując ten nadmiar (...). W dalszej konsekwencji samogwałt prowadzi do utrwalania stanu erotyzacji psychiki, ▶

► wykształcenia się postawy egocentrycznej w życiu seksualnym”, wyjaśniał dr Lew-Starowicz.

Dość krytycznie oceniał nudyzm i motywacje osób plażujących bez odzienia. „Gdyby jeszcze z tych dobrodziejstw korzystali osobnicy posągowej, klasycznej piękności jak Wenus i Apollo, byłby z tego przynajmniej pożytek estetyczny”, ironizował.

Odpowiadając na listy na temat homoseksualizmu, pisał m.in.: „Ponieważ każdy homoseksualista pragnie być normalny, nie rezygnując przy tym z pewnych przyjemności, niektórzy usiłują znaleźć potwierdzenie w różnego rodzaju spekulacjach myślowych. Mówią

w Rosji do 1993 r., w Niemczech aż do 1994 r.

A to, że zmieniają się poglądy, obyczaje oraz towarzyszące im prawa, można było zauważyć w tymże 1969 r. również w „ITD”. W jednym z numerów tygodnika na ostatniej stronie ukazał się następujący tekst: „Prosiłbym pięknie, żeby w każdym »ITD« zamieścić zdjęcie nagiej kobiety. Dziwię się, że takich zdjęć nie ma. A jeżeli jest, to plecami odwrócona. Albo jak przodem, to dlaczego pierś zasłonięta rękami lub biustonoszem”. Od redakcji: „Ponieważ inny Czytelnik groził, że jeśli nie zamieścimy aktu, popełni samobójstwo – nie chcąc powiększać krajowej średniej zgonów, prezentujemy akt, gdzie modelka

Nie tylko dysponował głęboką wiedzą. Potrafił ją też w komunikatywny sposób przekazywać. Doskonale dogadywał się z młodymi ludźmi. Owacyjnie przyjęto go np. na Przystanku Woodstock w Kostrzynie, gdzie w sposób ściśle naukowy i zarazem jasny dowodził m.in., dlaczego długość członka nie ma aż takiego znaczenia, jakie przypisuje jej większość panów. Miał świadomość, że dożyliśmy czasów kryzysu męskości na niemal każdym polu. „Nie spotkałem się z przypadkiem, by kobieta nigdy nie współżyła z powodu niedostatków urody. Mężczyźni, którzy nie są atrakcyjni i w dodatku nie mają wykształcenia, pracy, inteligencji, pozycji, pieniędzy, są w znacznie gorszej sytuacji”, twierdził słusznie.

Wypowiadał się mądrze, ale zrozumiale i płynnie. Nie peszyła go kamera, był elegancki, uptyw lat niemal go nie zmieniał. Pojawiał się więc w różnych telewizjach, gdzie mówił nie tylko o seksie, bo zainteresowała się nim także kultura popularna. Grywał w takich serialach jak „Kasia i Tomek”, „39 i pół”, „Niania”, wystąpił w teledysku grupy Kombi. Z kolei w jego postać wcielali się kabareciarze różnego sortu, przedstawiający się jako dr Tygrys Młodzieniaszek czy Lew Stary Owicz.

Niewiedza seksualna jest częstą przyczyną dramatów w relacjach, zaburzeń seksualnych, przedwczesnej inicjacji i przedwczesnego rodzicielstwa, chorób wenerycznych – powtarzał profesor. Ale oprócz wiedzy doceniał olbrzymią wagę miłości. Podkreślał, że bez miłości życie nie miałoby sensu – i dlatego, jeśli traktuje się ją jako stan dany, oczywiście, jeżeli się o nią nie zabiega i nie podtrzymuje ognia namiętności, prędzej czy później stanie się oko w oko z perspektywą rozpadu związku. Trzeba więc czasem mówić drugiej osobie, jak bardzo się ją kocha.

Już nigdy nie usłyszymy od profesora podobnych słów. Czy kiedykolwiek ktoś będzie w stanie go zastąpić?

Andrzej Dryszel

Prof. Zbigniew Lew-Starowicz oprócz wiedzy doceniał olbrzymią wagę miłości. Podkreślał, że bez miłości życie nie miałoby sensu.

np. o wyższości estetycznej homoseksualizmu, o wzniosłych przeżyciach w obcowaniu z mężczyzną, o posiadaniu duszy artystycznej, o głębi miłości i panoramie piękna homoseksualnego”.

Kiedy indziej, na pytania dotyczące miłości francuskiej, po wnikliwej analizie zagadnienia konkludował na łamach „ITD”: „Jak więc widać, bliższa analiza zjawiska miłości francuskiej nie może prowadzić do specjalnie pozytywnej oceny, (...) a na naszym terenie nie może zyskać aprobaty ze względu na zbyt jeszcze niski stan higieny i kultury zwykłego współżycia. Każdy przypadek minetki kwalifikuje się raczej do badania i ewentualnego leczenia”.

Trzeba tu podkreślić, że niektórzy określenia, dziś raczej omijane w publicznym dyskursie, 55 lat temu miały neutralny wydźwięk, nikogo nie gorszyły i stosowano je zarówno w mowie, jak i w piśmie. Ponieważ nauka się rozwija, homoseksualizm także oceniany jest inaczej niż w latach 60., gdy stanowił dewiację, a w wielu krajach również przestępstwo. Na przykład w Bułgarii był karany do 1968 r., w Austrii do 1971 r., w Hiszpanii do 1979 r.,

plecami nie odwrócona, a pierś nie zasłonięta...” (pisownia oryginalna). Tym słowem towarzyszyła fotografia nagiej, kilkuletniej dziewczynki. Wtedy nikomu to nie przeszkadzało. Dziś publikacja takiego zdjęcia wywołałaby oburzenie i spowodowała proces przeciw redakcji.

Życie pełne zajęć

Prof. Lew-Starowicz miał to szczęście, że robił to, co lubił, i jeszcze mu za to płacono. Zajęć więc nie unikał. Po studiach pracował w tej samej przychodni, co Michalina Wistocka. Był biegłym sądowym, autorem lub współautorem kilkuset prac naukowych i ponad 50 książek, wykładał na różnych uczelniach, kierował towarzystwami seksuologicznymi, od 1994 r. niemal do końca życia sprawował funkcję krajowego specjalisty z zakresu seksuologii. Ponieważ miał czas na wszystko, to jako Leo Oldwitch pisywał książki niezwiązane z seksuologią, np. poświęcone znaczeniu snów. Przede wszystkim jednak pracował z pacjentami, których przyjmował nieraz do późnej nocy, niosąc im skuteczną pomoc.



Mężczyźni nie nadążają

Późniejsza inicjacja, antykoncepcja jak przed ćwierćwieczem, co piąta Polka ma stałego kochanka

Rozmawia
Beata Znamirska-Soczawa

PROF. ZBIGNIEW LEW-STAROWICZ

– ekspert z zakresu seksuologii

Aż 65% badanych w raporcie „Seksualność Polaków 2017” uważa się za osoby atrakcyjne seksualnie. Zaskoczyło mnie to, bo mnóstwo ludzi narzeka na swój wygląd, rozleniwienie i brak celu w życiu.

– Żyjemy w epoce powszechnego narcyzmu i ekshibicjonizmu. Spotykam się z tym na co dzień, niektórzy uważają bardzo niewielkie rzeczy za olbrzymie osiągnięcia. Często otrzymuję CV, w których kandydaci zamiast opisywać swoje cele zawodowe i umiejętności, wymieniają jako osiągnięcie wyjazd na nurkowanie albo wejście na szczyt wcale nie najwyższej góry. Jednak na pewno lepsze jest pozytywne myślenie o sobie niż nadmierne kompleksy wpędzające w depresję. Proszę zauważyć pełną autoafirmację kobiet w ciąży. Pokazują brzuchy, chodzą w krótkich spodenkach albo spódniczkach, nie wstydzą się tak jak kiedyś.

Wyzwolone pięćdziesiątki

Mimo tej wysokiej samooceny kobiety między 35. a 50. rokiem życia mają obniżone potrzeby seksualne. Zbliżając się do pięćdziesiątki, napisałam w formie terapii książkę dla kobiet „Teraz mogę wszystko”. Czy pana dojrzałe pacjentki, tak jak bohaterki mojej książki, uważają, że mogą spróbować wszystkiego? Bo z badań wynika, że dojrzałe kobiety mają świetne orgazmy.

– I co w tym dziwnego? Kobiety w wieku okołomenopauzalnym mają więcej czasu, aby zająć się sobą. Nie mają już obaw związanych z zająciem w ciąży. Menopauza przebiega obecnie u większości kobiet łagodnie, bo można ją wspomagać farmakologicznie. Jeśli kobieta jest zafascynowana swoją seksualnością, menopauza jej nie przeszkadza. Oczywiście bywa różnie, ale mam refleksję na temat kobiet dojrzałych. Profil kobiety

niewątpliwie się zmienił. Kobiety doznały trzech rewolucji obyczajowych: emancypacji, tabletki antykoncepcyjnej i teraz odkrycia swojego potencjału seksualnego i wpływu własnej seksualności na swoje życie i zachowanie. Żyją coraz dłużej, dla wielu z nich przy obecnych środkach farmakologicznych i terapii menopauza to tylko epizod. Nie są już, tak jak dawniejsze pokolenia, zniszczone licznymi ciążami, są sprawne, zaradne, często niezależne materialnie, mają udane życie zawodowe i kariery, ogarniają wszystko.

A mężczyźni?

– Niestety, mężczyźni za nimi nie nadążają. Kapcanieją. Szkoda. Gdy studiowałem, na uczelni kobiety były zjawiskiem, dziś wśród studentów trudniej mi znaleźć mężczyzn. Gdzie oni się podziewają? Dlaczego nie interesują się tak wieloma rzeczami jak panie? Kobiety mają wiele możliwości ▶

► dbania o siebie, od wyglądu po rozwój intelektualny. Korzystają z niesamowitego mnóstwa warsztatów, wykładów, spotykają się we własnym gronie nie po to, aby plotkować, ale żeby się rozwijać. Pomagają im w tym liczne czasopisma, programy telewizyjne, nowe kierunki studiowania. Uważam, że media odmieniły życie kobiet, natomiast zupełnie zapomniały o mężczyznach. Dla nich oferta jest zdecydowanie uboższa i to niedobrze. Poza tym zdystansujemy się od pojęcia orgazmu. Kobiety rozumieją pod tym pojęciem różne rzeczy. Dla niektórych to musi być trzęsienie ziemi, wiele kobiet nie docenia orgazmu fechtackowego. Uważam, że ważniejsze jest, czy mają ochotę na seks, czy nie i jakie są tego przyczyny. Tych jest oczywiście cała masa – od takich, które seksuolog może szybko rozpoznać i zastosować krótką terapię, po poważniejsze, fizjologiczne, wymagające dłuższego leczenia, ale tych nie ma znów tak wiele. Jeśli przyczyną jest np. niechęć do partnera, no to trudno taką przyczynę „wyleczyć”. Chociaż można zalecić odniesienie

się do przeszłych, dobrych wspomnień, podjąć próbę romantycznego wyjazdu.

Tylko kilka procent kobiet i mężczyzn decyduje się na wizyty u seksuologa.

– To właśnie jest smutne. Ponad 40% mężczyzn ma kłopot z przedwczesnym wytryskiem, co bardzo łatwo wyleczyć, w niespełna kilka tygodni. To jeden z przyjemniejszych procesów leczenia ze względu na efekt. A tak mało panów się zgłasza. Ponad 30% ludzi z zaburzeniami seksualnymi w ogóle nie szuka pomocy medycznej i się męczy.

Modny sex coaching

Pojawia się coraz więcej gabinetów sex coachingu. Czy wypełniają one lukę między poradniami K a seksuologami?

– Mam trochę cyniczne podejście do sex coachów, chociaż niektórzy robią wiele dobrego. Ludzie mają obecnie wielką potrzebę szukania prawdy o swojej seksualności. Zamiast czytać dobre poradniki, a jest

ich dużo na rynku, wolą iść pogadać na ten temat, wziąć udział w warsztacie, wykładzie, terapii seksualnej. Trenerzy seksualni mogą pomóc, potrafią otworzyć zakryte obszary, o ile robią to z głową. Media bardzo kreują sex coaching, trzeba jednak pamiętać, że jest to forma pośrednia, nie medyczna. I trzeba uważać, bo w niektórych tego typu gabinetach można się spotkać z nadużyciami. Na przykład są miejsca, gdzie uczy się całowania, dotyku miejsc intymnych. Może to i dobre, o ile nie przekracza się pewnych granic. Myślę, że dla osób ze skłonnościami terapeutycznymi jest to droga do znalezienia niekonwencjonalnej pracy. Fajnie jest porozmawiać z kimś o seksualności, ważne jednak, aby ten, kto uważa się za sex coacha, naprawdę wiedział, co robi, i nie namieszał komuś w głowie. **Trochę zaskakuje, że w badaniach sprzed 25 lat i obecnych prawie nie zmieniły się metody antykoncepcji. Nadal najwięcej osób – ponad 40% – stosuje prezerwatywy, 24% stosunek przerywany, a tylko 17% kurację hormonalną.**



COHEN
i kobiety

DAMIĘCKA • KOMOSZYŃSKA • LIPNICKA
ŁOBASZEWSKA • PIETRUCHA • SIENKIEWICZ
WROŃSKA • ZAWIAŁOW

ZESPÓŁ POD KIEROWNICTWEM
LESZKA BLOLIKA

15 GRUDNIA 2024 • COS TORWAR

– Winię za to media. Nawet Kościół nie jest w tym temacie tak wpływowy jak reklamy. Jeśli w momencie największej oglądalności bombarduje się widzów, a zwłaszcza kobiety, reklamami suplementów, które niwelują złe skutki kuracji hormonalnej, to w podświadomości budzi się od razu ostrzeżenie: kuracja hormonalna jest szkodliwa, bo muszę potem brać suplement diety, aby dobrze się czuć. Ciągłe też nie myśli się o tym, że stosunek bez prezerwatywy i przy większej liczbie partnerów seksualnych niż

niezależnie od płci. Więcej osób, co mnie cieszy, stosuje samomiłość i odczuwa z tego powodu satysfakcję. Na szczęście coraz mniej ankietowanych uważa masturbację za grzech i wstyd. **Czy w związku ze zwiększeniem liczby partnerów seksualnych ważne jest, z kim kobieta traci dziewictwo?**

– Trudno odpowiedzieć na takie pytanie. Podam dwa przykłady: kobieta z małej miejscowości pierwszy stosunek seksualny odbyła ze swoim świeżo poślubionym mężem. Było to

już nigdy nie będzie mogła się zachoć i czerpać radości z seksu? Może tak być, jej kolejne związki mogą być powierzchowne, seks może być nałogiem jak palenie papierosów. Ale może ona też znaleźć ważnego dla siebie partnera i być szczęśliwą. Ile ludzi, tyle dróg do spełnienia seksualnego. Pierwszy raz dla każdej kobiety jest ważny i zazwyczaj pamiętany do końca życia. Ale niekoniecznie musi mieć wpływ na jej kolejne wybory partnerów, na jej zadowolenie i poczucie spełnienia. Na to wpływa wiele czynników, nie tylko okoliczności utraty dziewictwa.

Nawet Kościół nie jest w temacie antykoncepcji tak wpływowy jak reklamy.

dawniej prowadzi do zarażania wirusem HPV, odpowiedzialnym za raka szyjki macicy. Nadal więc trzeba upowszechniać dużą wartość i wygodę tabletek oraz innych hormonalnych metod antykoncepcji.

Mówi pan o zwiększonej liczbie partnerów seksualnych. Co się zmieniło w minionym ćwierćwieczu?

– Wtedy aż 40% kobiet w anonimowej ankiecie w ogóle nie odpowiedziało na to pytanie. Obecnie ani kobiety, ani mężczyźni nie poprzestają na jednym partnerze. To rzadkość. Ale są też inne tego konsekwencje. Miałem parę pacjentów, młodych studentów, którym związek się załamał, bo dziewczyna przyznała się chłopakowi, że jest on jej 11. partnerem, a ona była jego pierwszą, nie licząc jednego przypadkowego kontaktu seksualnego na imprezie. On nie umiał sobie z tym poradzić, nie docenił doświadczenia dziewczyny, górę wzięła niekontrolowana negatywna samoocena i złość na ukochaną.

Obecnie łatwiej nawiązuje się kontakty seksualne, takie krótkotrwałe. Każdy jednak szuka partnera na stałe. Często ma ich dwóch. Więcej kobiet (ok. 20%) przyznaje, że żyje w długotrwałym związku pozamążelkim. Niektóre kobiety – ale coraz mniej – czekają na tego jedyne, bo uważają, że związek intymny można nawiązać tylko z osobą, którą się kocha. Jednak, co może być zaskakujące, podniósł się wiek inicjacji seksualnej. Zaczynamy tak około dwudziestki, i to

dla niej traumatyczne przeżycie, bolesne, upokarzające. I tak już pozostało. Została żoną, matką, ale nigdy nie poznała radości seksu. Nie odważyła się na jakikolwiek inny związek. Czy więc ta wierność pierwszemu partnerowi opłaciła się jej w sensie życiowym, w dążeniu do szczęścia, zadowolenia z życia? Nie, bo całe życie cierpiała i nie była z niczego zadowolona. Inna kobieta, z dużego miasta, straciła dziewictwo na imprezie, pod wpływem alkoholu, i nie wiedziała z kim. Czy to oznacza, że

Prof. dr hab. n. med. Zbigniew Lew-Starowicz – konsultant krajowy z zakresu seksuologii, psychoterapeuta, biegły sądowy. Medycynę ukończył na Wydziale Lekarskim WAM w Łodzi, absolwent filozofii KUL. Tytuł doktora z zakresu seksuologii otrzymał w 1981 r. i od tego momentu stał się dla Polaków wyrocznią w sprawach seksu. Wykładał w Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie oraz w Centrum Medycznym Kształcenia Podyplomowego jako kierownik Zakładu Seksuologii Medycznej i Psychoterapii. Wielokrotnie powoływany na prezesa Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego. Autor licznych prac z dziedziny psychiatrii i seksuologii, a także pozycji popularnonaukowych. Swoją karierę i poglądy opisał w wywiadzie biograficznym „Pan od seksu”.

Poliamoria jest możliwa

W naszym codziennym słowniku zaczęły funkcjonować określenia, które dotyczą nowych trendów w życiu intymnym. Jednym z nich jest poliamoria, czyli związek miłosny z więcej niż jedną osobą w tym samym czasie.

– To możliwe i zdarza się nie od dziś. Jak najbardziej jesteśmy w stanie czuć miłość i pożądanie do więcej niż jednej osoby w tym samym momencie. Są to jednak związki oparte na namietności, dużym pożądaniu, a uczucia mogą być płytkie, naskórkowe. Miłość, taka prawdziwa, to chęć uszczęśliwiania drugiej osoby. W tym znaczeniu poliamoria nie wyczerpuje reguły miłości, bo nawet jeśli, jak w krajach skandynawskich, jest przyzwolenie wszystkich zainteresowanych na związek wieloosobowy, i tak ktoś może czuć się zdradzany, nie mieć komfortu i poczucia szczęścia w takim układzie. Poliamoria to również dobre wytłumaczenie, pretekst dla tych, którzy chcą żyć z więcej niż jedną osobą. Ludzie są zróżnicowani. W niektórych kulturach występują związki poligamiczne, zazwyczaj to mężczyźni mają kilka żon, ale np. w Tybecie kobieta może mieć więcej mężów. Takie związki się sprawdzają pod różnymi względami. Monogamia wiąże się z budowaniem gniazda i chęcią chronienia go, utrzymania. Trafiają do mnie pacjenci, którzy są w związku z dwiema osobami. Poliamoria istnieje, funkcjonuje, tylko wielu ludziom trudno zaakceptować i zrozumieć ten fakt. ▶

► **Mniej więcej 20% osób używa gadżetów erotycznych. 25 lat temu nie było tego pytania?**

– Było, ale przecież wybór był znikomym. Pojawiły się jakieś pierwsze sex-shopy, jednak dostępne wibratory przypominały narzędzia tortur. Teraz są jak małe dzieła sztuki. Jeśli ktoś chce, niech używa. Jeżeli ludzie uważają, że to wzbogaca ich życie erotyczne, niech używają. Trzeba jednak pamiętać, że to tylko namiastka np. genitaliów drugiej osoby. Jestem generalnie przeciwnikiem narzucania sztucznej mody na zabawki seksualne. W każdej telewizji śniadaniowej czy prasie kobiecej zachęca się, prezentuje różne utensylia intymne. Są ładne, kolorowe i często w odbiorcach budzi się frustracja: jejku, inni używają,

– Okazało się, że codziennie lub kilka razy dziennie współżyje 2,7% kobiet i 6,1% mężczyzn, a kilka razy w tygodniu odpowiednio 33,9% i 37%. Na zbyt rzadkie współżycie skarży się 26,3% kobiet i 39,7% mężczyzn. W sztuce miłosnej Polacy są raczej tradycyjni – 38% preferuje pozycję klasyczną, 30% od tyłu. Co Polakom sprawia przyjemność w seksie? Okazuje się, że aktywność masturbacyjna – 24% kobiet i 30% mężczyzn, wibratory i inne gadżety – 9% kobiet i 22% mężczyzn, seks oralny – 31% kobiet i 48% mężczyzn, a analny odpowiednio – 5% i 15%. Co do pozycji mam taką refleksję gabinetową: kobiety kochające swojego partnera najlepiej czują się w pozycjach, w których mogą

różne emocje. Osoby postrzegające seksualność jako dobro i wartość znajdą wiele danych potwierdzających ten punkt widzenia. Z kolei ludzie traktujący ją jako źródło wielu możliwych niebezpieczeństw mogą wykorzystać inne dane z raportu.

Pierwsze badania dotyczące seksualności Polaków przeprowadziłem w 1992 r., a następne w 2005 r. Nie ukrywam, że byłem bardzo zainteresowany tym, co zmieniło się w 2016 r. Dzięki uprzejmości firmy Polpharma udało się przeprowadzić kolejne badanie, którego wyniki przedstawiono w najnowszym raporcie.

W zeszłym roku pojawiła się na rynku pana nowa książka, „Rozmówki małżeńskie”. O czym one są?

– To w zasadzie słownik wzajemnego zrozumienia. Z mojej wieloletniej praktyki wynika, że partnerzy płci przeciwnej w ogóle nie rozumieją, co się do nich mówi i co druga strona ma na myśli. Czasami terapia u mnie polega po prostu na tłumaczeniu, co jedno chce powiedzieć drugiemu. Na przykład ona mówi: ty mnie nie rozumiesz. Mężczyzna analizuje i zastanawia się, czego nie rozumie, co powinien powiedzieć, co zrozumieć. A kobiecie nie chodzi o logiczne zrozumienie, tylko o to, aby on czuł to, co ona, aby myślał tak jak ona i ją wspierał. To dwa różne komunikaty. Podjąłem więc trud wyjaśnienia kilkudziesięciu najpopularniejszych sformułowań, które zazwyczaj prowadzą do głębokich konfliktów, frustracji i niezrozumienia między płciami. Wyjaśniam też różnice w mowie ciała kobiet i mężczyzn, bo komunikacja szwankuje nie tylko w sferze werbalnej, ale także w sferze gestów i zachowań. A badania, takie, jakie stały się podstawą raportu o ewolucji seksualności Polaków, bardzo pomagają w pisaniu popularyzatorskich książek.

*Beata
Znamirowska-Soczawa*

Nie cierpię tych haseł: kup suplement, a będziesz miał potencjał buhaja, kup gadżet, a twoje życie seksualne będzie fantastyczne.

a ja nie. Jestem do tyłu, jestem staromodny, nie nadążam za modą, więc jestem beznadziejny i do niczego. A jak już ktoś kupi taką zabawkę i nie wie, jak jej użyć, albo użyje i okazuje się, że nic, zero podniecenia, emocji, spełnienia, to dopiero jest frustracja! Inni coś czują, a ja nie. Co ze mną nie tak? To właśnie efekt sztucznie wywoływanych trendów. Nie cierpię tych haseł: kup suplement, a będziesz miał potencjał buhaja, kup gadżet, a twoje życie seksualne będzie fantastyczne. Gadżety erotyczne mają być tylko dodatkiem, przyjemnością, zabawką, a nie narzędziem do rewelacyjnego spełnienia. To się nie uda. Co innego, jeśli chodzi o singli. Do tej pory problem rozładowania napięcia seksualnego załatwiała masturbacja. Zabawki erotyczne mogą ją wspomagać i singlom akurat może to się przydać. Podobnie jak osobom po operacjach, które muszą rehabilitować narządy intymne. Wtedy niektóre rodzaje wibratorów są bardzo przydatne. Natomiast jak najbardziej jestem za używaniem przez kobiety kulek do ćwiczeń mięśni Kegla.

Czy Polacy często współżyją seksualnie? I co sprawia im najwięcej przyjemności w łóżku?

mieć kontakt wzrokowy, te zaś, które uprawiają seks z „musu” i przyzwyczajenia, wolą się odwrócić lub przyjąć wygodną pozycję klasyczną, w której nie muszą być zbyt aktywni, a ich myśli błądzą wokół innych spraw, np. zakupów, seriali.

Jak wzajemnie się rozumieć

Po co w ogóle powstają takie raporty jak „Seksualność Polaków” prof. Zbigniewa Izdebskiego?

– Badania dotyczące seksualności są ważne z kilku przyczyn. Poza niewątpliwym walorem poznawczym umożliwiają ocenę stanu zdrowia seksualnego populacji, jakości relacji partnerskich i zakresu ryzykownych zachowań seksualnych, dają również podstawę do tworzenia programów promocji zdrowia seksualnego oraz wychowania seksualnego. Seksualność z natury ma intymny charakter, wiąże się z osobowością, światopoglądem, doświadczeniami osobistymi. Nic zatem dziwnego, że prezentacja wyników badań wywołuje



Wywiad ukazał się w nr. 7/2017; przypominamy obszernie fragmenty rozmowy

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Lis o wilczych oczach

„Oni jedzą psy, należące do ludzi, którzy tam mieszkają. Jedzą koty”, postraszył podczas debaty prezydenckiej Donald Trump, oskarżając w ten sposób imigrantów z Haiti, że zjadą Amerykanom zwierzęta domowe. Bardzo cenne słowa, kolejny dowód, że to osioł i paranoik. Ale przecież to zupełnie w stylu banialuk prezesa, że imigranci roznoszą zarazki i gwałcą kobiety. Kamala Harris dobrze wypadła w tej debacie, rośnie nadzieja, że zostanie prezydentem – jakoś mi jednak trudno napisać: prezydentką.

Tego samego dnia kolejna dobra wiadomość: Ryszard Czarnecki zatrzymany na lotnisku przez CBA. Naczelny lizus Rzeczypospolitej, pieczeniarsz, pączek w pisowskim maśle. A wracając do prezesa, martwię się o niego, taki ważny człowiek, a bierze udział w chuligańskich przepychankach pod pomnikiem smoleńskim; siłowanie się, duszenie, przypominało to starożytną rzeźbę Grupa Laokona. Ów „spisek smoleński” jest czymś niestychanym, przynajmniej w Europie, w Wenezueli by to uszło.

W miesięcznicę już zwyczajowo Zbigniew Komosa przyniósł pod pomnik swój wieniec, z tabliczką z napisem: „Pamięci 95 ofiar Lecha Kaczyńskiego, który, ignorując wszelkie procedury, nakazał pilotom lądować w Smoleńsku w skrajnie trudnych warunkach. Spoczywajcie w pokoju. Naród Polski. Stop kreowaniu fałszywych bohaterów!”. Ten wieniec jest jak płachta na byka dla Kaczyńskiego i innych polityków PiS, którzy co miesiąc niszczą tabliczkę lub zabierają cały wieniec, co powoduje dramatyczną szarpaninę. Ostatnio obie grupy wyzywały się, przepychały, policjanci też się siłowali, doszło nawet do rękoczynów. Zbigniew Komosa został uderzony pięścią, bo przecież nie pięścią, przez prezesa. Proszę, prezes jak Chrystus przeganiający przekupniów ze świątyni. I te oczy Macierewicza, gdy się szamotał! Nigdy w życiu nie widziałem tak demonicznego spojrzenia, policjant, w którego było wymierzone, jakimś cudem ocalał.

W ramach wojny już na wiecu prezes PiS mówił, że ks. Olszewski, ten od czarnej magii i salcesonu, oskarżany o malwersacje finansowe, „stał się, jako człowiek, jako postać, symbolem tego wszystkiego, co jest tym wielkim złem, które dzieje się dzisiaj w naszym kraju. (...) Łamanie konstytucji, łamanie ustaw, łamanie praw człowieka, łamanie wszelkich zasad cywilizowanego państwa”. I wołał z mównicy, że ks. Olszewski jest poddawany torturom: „To są niebywale zbrodnicze wydarzenia!”. To paradoks, że z punktu widzenia zdrowego rozsądku w Polsce im więcej obłędu prezesa, tym lepiej. Kaczyński, chcąc

doprowadzić swój elektorat do stanu wrzenia, ujadania i wycia, sam zmienia się w obłąkanego. Ma być wojna, w której nie bierze się jeńców. Przeciwnicy zasługują tylko na unicestwienie.

Wielki dylemat, kto ma być kandydatem prezesa na prezydenta. Kaczyński wie, że powinien to być ktoś nieumoczony w PiS, bo ruszają rozliczenia i procesy, ale wziąć kogoś spoza partii to ryzyko, że się usamodzielnia. Podobno więc nadal szanse ma mój ulubieniec Błaszczak, sztywny, jakby połknął kij od miotły, z nim klęska murywana. Jako że utrata prezydenta byłaby końcem PiS, sprawa jest gardłowa.

Portrety Kaczyńskiego i Tuska są już wyrzeźbione w zbiorowej wyobraźni. Wrogowie Tuska widzą go jako rudego; rudy jak lis, jak lis podły i przebiegły (przy okazji – proszę, jak stygmatyzuje się rudy). Tusk nie jest rudy, ale nie szkodzi. I ma wilcze oczy – więc lis o wilczym spojrzeniu. I już nie mówią inaczej jak „reżim Tuska”. Za to prezes w naszych oczach: karłowaty, nienawistny, nie ma rodziny, fajtlapa, nie ma konta bankowego, nie zna

To paradoks, że z punktu widzenia zdrowego rozsądku w Polsce im więcej obłędu prezesa, tym lepiej.

języków, na dodatek nie ma życia seksualnego, można podejrzewać, że jest ukrytym gejem. I doświadcza ataków nienawiści, które zagrażają jego życiu. To niezwykle, że ktoś taki uwiódł miliony Polaków i ma dla nich seksapil. Trump to przynajmniej kawał chłopa i ogier.

Powódzie nie tylko w Polsce; wiele tragedii, ale to i tak skromna zapowiedź konsekwencji zmian klimatycznych. A wydawało się, że media histeryzują, bo to dobry temat. W sierpniu, będąc kilka dni w Kotlinie Kłodzkiej, spacerowaliśmy ulicami teraz zalanych miast i miasteczek, najpiękniejsze z nich to Kłodzko. Mój kuzyn z córką pojechali na weekend do Pragi, w drodze powrotnej pociąg zatrzymano na granicy, powrót okazał się gehenną, pomoc polskiego konsula, cztery pociągi, taksówki.

Czarnecki odetchnął z ulgą, media na razie przestały się nim zajmować, sprawę przykryła – ale nie zmyła – wielka woda. PiS oczywiście oskarża Tuska, że nie panuje nad sytuacją, nieudacznik, jakby PiS rządziło, nie byłoby żadnej powodzi, to pewne.

Wojciech Kuczek

Snu z powiek włodarzom UEFA nie przestaje spędzać widmo secesji najbogatszych klubów, ów demon pod nazwą Superliga, którym zawsze straszą Goliaci, kiedy powinie im się noga w sportowej rywalizacji z Dawidami. Dlatego nowa formuła Ligi Mistrzów ma tego demona imitować, tak by na jakiś czas uspokoić apetyty rekinów. Nie bardzo wiadomo, o co chodzi w nowym regulaminie, wiadomo zatem, o co chodzi, jak zawsze. Bogaci mają wycisnąć jeszcze więcej hajsu, wysilając się mniej, ale kibicom trzeba wmówić,

Legia podczas swojego epizodu w Champions League straciła w dwumeczu z Borussią... 14 bramek.

że jest wręcz przeciwnie – jeszcze więcej hitów przez trzy, a nie dwa dni tygodniowo. Czyli 30-zespołowa liga, w której tabelę zamyka się po ośmiu kolejkach? „Parszywa dwunastka” odpada z rozgrywek, średniacy będą się bili w repasażach, a pierwszych osiem drużyn wchodzi do fazy pucharowej automatycznie. Champions League do niedawna była ligą tylko

metaforycznie, w nowej formule to słowo Champions ma wymiar po-niekąd bałamutny – zwycięzców krajowych rozgrywek jest bowiem mniej niż połowa, a taka Atalanta Bergamo, RB Lipsk, Brest czy Girona tytułu mistrzowskiego nie zaznały nigdy. Bo też od kilku dekad nie chodzi o mistrzów wszystkich państw zrzeszonych w UEFA, lecz o mistrzostwo

zdefiniowane bardziej ogólnie – to de facto klubowe mistrzostwa Europy, zmagania największych, najlepszych i z nielicznymi wyjątkami najbogatszych.

Nowa formuła ma wyeliminować martwe mecze pod koniec fazy grupowej, kiedy najlepsi, już pewni awansu, wystawiali rezerwy przeciw słabeuszom, a starcia gigantów, którzy sprawę promocji załatwili wcześniej, miały charakter towarzyski. Tyle że najmocniejsi i tak załapią się do ósemki już w pierwszych miesiącach, zimowe hity wciąż zatem będą gramy o uśmiech prezesa. Faworyci zapewne i tak wygrają wszystkich najpóźniej na etapie ćwierćfinałów. Ale również to ścisłe grono tytanów jest tak szerokie, że kilku potentatów po odpadnięciu będzie zgrzytało zębami, że nawet tak rozbudowaną i doładowaną finansowo LM oni czniają; znów zaczną się marudzenia, że trzeba stworzyć Superligę, w której bogaci nigdy nie odpadają, tylko grają z innymi krezusami ku pomnożeniu dochodów.

Na razie jeszcze lęk przed tym, że kibice zmuszeni oglądać takie Gran Derbi dziesięć razy w roku mogą się znudzić i chcieć dla odmiany także jakichś chłopców do bicia, powstrzymuje najmoźniejszych przed secesją. W końcu to kibic napędza ten biznes,

trzeba mu dać złudzenie, że ma do czynienia z rywalizacją sportową, a nie z teatrem w rodzaju jankeskiego wrestlingu. Listkiem figowym będą w tym roku piłkarze klubu Slovan Bratysława, których wartość jest szacowana mniej więcej na poziomie obecnej Legii – oto dowód, że drzwi Champions League stoją otworem i dla bidoków.

Radość fanów Bayernu, który na inaugurację władował mistrzom Chorwacji dziewięć goli, ma posmak upojenia publiczną egzekucją – tak perwersyjnej rozrywki nie zapewnią mecze na szczycie. Lud oprócz równorzędnej walki musi sobie czasem obejrzeć rozstrzelanie, spokojnie sącząc niskoprocentowy trunek – tego żadna Superliga nie zapewni.

Jak co roku najwyżej obstawiane są oczywiście szanse nałogowych kolekcjonerów Pucharu Mistrzów, czyli madryckiego Realu, wzmocnionego przed sezonem Kylianem Mbappé, oraz podopiecznych Pepa Guardioli, „Obywateli” z Manchesteru, mających na szpicy supersnajpera Erlinga Haalanda. W drugim szeregu czają się odświeżona Barcelona pod wodzą Hansiego Flicka, czyli mieszanka rutyny naszego Roberta Lewandowskiego z młodością (trzech 17-latków w podstawowym składzie!), niemający sobie równych w silnej Serie A Inter oraz zawsze kąśliwe i ambitne kluby niemieckie.

Od kiedy w 1996 r. Franz Beckenbauer uznał, że Liga Mistrzów nie jest po to, żeby mistrz Niemiec musiał jeździć do Polski (Borussia Dortmund rywalizowała wtedy z Widzewem), i powinno się stworzyć osobne rozgrywki dla „nieprawdziwych” mistrzów, tylko raz udało się nam przedostać do LM. Świeć Panie nad duszą Kaisera i wybac mu ten występ, bo ja wybaczyć nie mogę – nie dość, że rzucił kłutwę na polski futbol klubowy, to jeszcze zatruł ziarno, z którego wykiełkowały potem kolejne





systemy eliminacji i preeliminacji, dla nas zabójcze. Skądinąd dla naszego dobra zaiste los powinien nas strzec przed klubami niemieckimi – Legia podczas swojego epizodu w Champions League straciła w dwumeczu z Borussią... 14 bramek.

Możemy pomstować, że polskie kluby rozbijają się rokrocznie w drodze do fazy grupowej na pomniejszych przeszkodach, ale demonizowanie roli mamony i wyszukiwanie forteli regulaminowych, które mają zamknąć drzwi przed nosem maluczkim, „nieoglądalnym” klubom, jest ledwie próbą racjonalizacji odwiecznej słabości polskiej Ekstraklasy. Jeśli przyjrzymy się tej historii nieszczęść i wypiszemy listę klubów, które nam stawały na drodze do piłkarskiego raję, znajdziemy tam mistrzów Estonii, Białorusi, Słowacji, Azerbejdżanu, Kazachstanu czy Cypru – nasi prześladowcy nie reprezentowali kontynentalnych potęg, a i tak wybijali nam Champions League z głowy.

Ekstraklasa z dykty i października hoduje syte i leniwe miernoty, nigdzie w Europie nie zarabia się tak dużo za tak niewiele wysiłku, dlatego ściągają do nas przeciętniacy zza południowej granicy i robią furorę, ale to Czesi i Słowacy mają

To nie jest dobry czas dla polskich piłkarzy w Europie, oprócz Lewandowskiego pewniakiem jest tylko Łukasz Skorupski w bramce Bolonii.

swoje drużyny w elicie, a my, nie licząc epizodu legijnego, nie mamy od prawie 30 lat. Skądinąd przewrotność losu sprawiła, że ten jeden raz, kiedy w XXI w. udało się przebrnąć przez eliminacje, Legia zawdzięczała niebywale szczęśliwej drabince, a nie sportowej jakości – w 2016 r. stawali jej na drodze rywale z Bośni, Słowacji i Irlandii. Tylko w takiej koincydencji wynikającej z rozstawienia możemy upatrywać w przyszłości szans na przemknięcie się do tych rozgrywek.

To nie jest dobry czas dla polskich piłkarzy w Europie, wciąż niewygasta gwiazda Lewandowskiego w Barcelonie musi świecić w pustce, oprócz Lewego pewniakiem jest tylko Łukasz Skorupski w bramce Bolonii. Ulubionemu klubowi Piera Paola Pasoliniego możemy kibicować także z powodu Kacpra Urbańskiego, na którego niestety trener Vincenzo Italiano nie stawia tak odważnie jak selekcjoner Michał Probiez. Być może Piotr Zieliński

W świadomości obiektywnych obserwatorów jesteśmy krajem ciekawym rynkowo, jeśli chodzi o bramkarzy. Nż. Łukasz Skorupski z kolegami z Bolonii w trakcie meczu z Udinese 18 sierpnia 2024 r.

załapie się na jakieś mecze Interu, ale o miejsce w podstawowym składzie musi niespodziewanie rywalizować z przeżywającym drugą młodość Henrikhem Mkhitaryanem. Matty Cash leczy udo i wróci do składu Aston Villi najwcześniej za miesiąc, podobnie jak Radosław Majecki do bramki Monaco, o kolanach Arkadiusza Milika żal wspominać, bo połowa jego kariery to rekonwalescencje, od czerwca znowu błąka się po gabinetach lekarskich i pewnie jesień w Juventusie mu przypadnie. Mamy jeszcze kilku „grzejników”, którzy ocieplają siedzenia na ławkach swoich klubów (Skóraś w FC Brügge,

Piątkowski w Salzburgu, Nawrocki w Celticu, Łakomy w Young Boys), ale nawet jeśli złapią jakieś minuty, nie zmienią przeznaczenia swoich drużyn, którym dostać się do baraży będzie ekstremalnie trudno.

Umacniamy się zatem w komplekse piłkarskich pariasów: nasza obecność w piłkarskiej elicie jest śladowa i bez mikroskopu niewidoczna, w powszechnej świadomości obiektywnych obserwatorów jesteśmy krajem ciekawym rynkowo, jeśli chodzi o bramkarzy, ale w polu Robert Lewandowski to samorodek na ziemi jałowej. Jeśli zatem polski kibic wysupła dodatkowe pieniądze, aby wykupić nowo utworzony pakiet sportowy w Canal+ (wobec stałych abonentów ta chciwa zagrywka budzi szczególne oburzenie), będzie sobie mógł pooglądać produkty pochodzenia zagranicznego, jak to drzewiej się czyniło przez szybę peweksów. Za swojski ekstraklasowy ocet i musztardę dopłacać nie trzeba. ■

To musi być festiwal otwarty

Gdynia może zbliżać różne pokolenia filmowców

Rozmawia Wojciech Tutaj

Do 28 września trwa 49. edycja Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Na czym polega jego wyjątkowość?

– To najważniejsza impreza poświęcona kinu polskiemu, która prezentuje nie tylko nowe filmy, ale też klasykę, sięgając do bogatych tradycji naszej kinematografii. Warto podkreślić, że festiwal co roku odwiedza wielu widzów z całej Polski. Wydarzenie przyciąga także szerokie grono ludzi związanych z kinem. Dzięki temu mamy w Gdyni idealną przestrzeń do rozmów o najważniejszych kwestiach dla branży filmowej. Stąd bogaty i różnorodny program Gdynia Industry, który budujemy w taki sposób, aby wychodził od aktualnej sytuacji, rozmawiać o przyszłości branży, koniecznych w niej zmianach, dobrych praktykach i wyzwaniach.

Jakie największe wyzwania stanęły przed tobą, gdy zostałeś dyrektorką artystyczną festiwalu?

– Przede wszystkim zależało mi na tym, by przekonać pozostałych członków i członkinie komitetu organizacyjnego do zmian w strukturze festiwalowych konkursów. Co ważne, objęłam



**JOANNA
ŁAPIŃSKA**

– dyrektorka artystyczna
Festiwalu Polskich Filmów
Fabularnych w Gdyni

zmianą było powołanie nowego konkursu dla filmów pełnometrażowych w miejsce źle zaplanowanego konkursu filmów mikrobudżetowych. Od razu mogliśmy zauważyć, jak potrzebna była ta decyzja.

Po pierwsze, dzięki Konkursowi Perspektywy prezentujemy w Gdyni szersze spektrum polskiego kina. Przy prawie 50 filmach zgłoszonych na festiwal rozmowa o nowym

Celem było też zainteresowanie widzów klasyką polskiego kina?

– Tym tematem zajęłam się już w zeszłym roku. Wcześniej sprawdziłam frekwencję na seansach klasycznych filmów z poprzednich edycji i nie zawsze była ona wysoka. Szukałam więc sposobu na pokazanie, że klasyka może nas ciągle zachwycać, jest żywą materią i warto do niej wracać. Stąd pomysł na sekcję Mistrzowska Piątka, która rok temu została wspaniale przyjęta i przez zaproszonych filmowców, i przez widzów festiwalu. Wyjaśnię pokrótce, czym się charakteryzowała. Pięcioro twórców wybrało ważne dla nich polskie filmy, które zaprezentowali w Gdyni. Po seansach odbywały się spotkania z osobami, które wskazały dany tytuł. Najczęściej rozmowę z nimi prowadził inny filmowiec, co nadawało całości jeszcze ciekawszą, mniej oczywistą perspektywę. Muszę się pochwalić, że na wszystkich pokazach była pełna sala, wieńczyliśmy je też fascynującymi dyskusjami.

Klasyka jest żywą materią, ciągle może nas zachwycać i warto do niej wracać.

stanowisko dyrektorki artystycznej w dobrym momencie dla gdyńskiej imprezy. Niemniej jednak było dla mnie oczywiste, że musimy wykonać pewne ruchy i wprowadzić zmiany, aby Gdynia jeszcze bardziej mogła wspierać polskie kino. Tak właśnie widzę rolę festiwalu. Wychodzimy od tego, jak obecnie wygląda polskie kino, i dopasowujemy do niego festiwal. Właśnie dlatego najistotniejszą

polskim kinie wyłącznie przez pryzmat 16 tytułów z Konkursu Głównego byłaby niepełna. Po drugie, już teraz pokazujemy dwa filmy mikrobudżetowe w Konkursie Głównym. W rozdaniu obowiązującym do zeszłego roku trafiłyby one do osobnej, zamkniętej sekcji, bez możliwości rywalizowania z innymi tytułami. To bardzo niesprawiedliwa sytuacja, chciałam zapewnić im równe szanse.

Pierwsze, co rzuca się w oczy w tegorocznym Konkursie Głównym, to obecność „Zielonej granicy” Agnieszki Holland oraz „Kobiety z...” Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta. Oba filmów zabrakło rok temu, a ich pojawienie się w nowych realiach politycznych urasta do rangi symbolu. Też tak do tego podchodzisz? I co sprawiło, że wreszcie mamy te dwa głośne tytuły w Gdyni?

– Dla mnie to bardzo ważne, że znalazły się w tegorocznym Konkursie Głównym. Jestem przekonana, że gdyby zostały zgłoszone rok wcześniej, również

więc trochę szerzej o nowym polskim kinie. Obie sekcje, Konkurs Główny i Konkurs Perspektywy, pokazują razem najciekawsze trendy i nazwiska ostatniego sezonu. Dzięki nim wyraźniej widać w Gdyni tematy, które teraz fascynują filmowców, i nurty, które wyróżniają się w naszej kinematografii. Możemy przyjrzeć się zarówno młodemu kinu, jak i filmom uznanych twórców.

Konkurs Perspektywy nie ma określonego klucza selekcyjnego?

– Nie jest dedykowany żadnemu nurtowi, gatunkowi ani konkretnej części rodzimego kina, ponieważ

Nie mamy teraz w polskim kinie wystarczająco rozbudowanego nurtu, któremu warto by poświęcić całą sekcję konkursową w Gdyni.

zaprezentowalibyśmy je na festiwalu. Oba filmy nie podeszły jednak wtedy do festiwalowej selekcji. Kiedy dowiedzieliśmy się, że „Zielona granica” i „Kobieta z...” będą pokazywane w Wenecji, odezwałam się do ich producentów z pytaniem o gdyńskie plany. Ustyszałam, że zamierzają zgłosić swoje filmy na FPFF w przyszłym roku. Nasz festiwal bazuje na ścisłym regulaminie i gdybyśmy np. zorganizowali pokazy specjalne obu dzieł w 2023 r., teraz nie moglibyśmy ich włączyć do rywalizacji o Złote Lwy. Ale pytanie o nieobecność „Zielonej granicy” i „Kobiety z...” było chyba najczęściej słyszany przeze mnie pytaniem podczas ubiegłej edycji. W tym roku je pokazujemy, co mnie bardzo cieszy, bo Gdynia musi być festiwalem otwartym.

Jak powinniśmy traktować Konkurs Główny – to zbiór najlepszych polskich filmów z danego roku czy sze-roka panorama osiągnięć naszego kina autorskiego? I na ile ważny jest twój gust przy selekcji?

– Na pewno mój gust ma znaczenie, ale nie zawsze będzie rozstrzygający, bo, jak wspominałam wcześniej, wychodzimy od tego, jakie w danym momencie jest najnowsze polskie kino. Twoje pytanie chciałabym jednak skierować na inne tory. W tym roku mamy na festiwalu dwa konkursy filmów pełnometrażowych, pomówmy

zadaniem gdyńskiego festiwalu jest jak najszerze wspieranie polskiej kinematografii. Z problemem zamknięcia się na zbyt wąski fragment naszego kina mierzyło się kiedyś Inne Spojrzenie, czyli sekcja konkursowa o sprecyzowanym profilu powołana w Gdyni za czasów Michała Oleszczyka. Bardzo szybko okazało się, że brakuje filmów, które by do niej pasowały. Zaczęto dochodzić do kuriozalnych sytuacji – np. film familijny „Tarapaty” też został zaproszony do Innego Spojrzenia, choć kompletnie nie wpisywał się w jego formułę.

Joanna Łapińska – od ponad 20 lat zawodowo zajmuje się kinem, organizując festiwale i konsultując projekty filmowe. W latach 2002-2016 była członkinią zarządu Stowarzyszenia Nowe Horyzonty i pełniła funkcję dyrektorki artystycznej Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Nowe Horyzonty. We wrześniu 2016 r. została dyrektorką programową festiwalu Transatlantyk. Od 2021 r. jest związana z FPFF w Gdyni. Pracowała jako ekspertka Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, Mazowieckiego i Warszawskiego Funduszu Filmowego oraz Łódź Film Commission. Jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

Z jednej strony, trzeba odnotować, że nie mamy teraz w polskim kinie wystarczająco rozbudowanego nurtu, któremu warto by poświęcić całą sekcję konkursową w Gdyni. Z drugiej zaś, nawet gdyby taki nurt istniał, nie uważałabym, że dobrze jest się zamykać na inne wrażliwości i zjawiska. W zeszłym roku zgłoszono do Gdyni prawie 60 filmów pełnometrażowych, w tym roku prawie 50 tytułów, a Konkurs Główny ma tylko 16 miejsc. To najlepiej pokazuje, jak niepełna byłaby rozmowa o nowych polskich filmach, gdybyśmy ograniczali ją do tej jednej sekcji konkursowej. Jeśli chcemy, żeby festiwal naprawdę pokazywał istotne momenty współczesnego polskiego kina, musimy przygotować dla niego szerszą przestrzeń. To zadanie mają wspólnie spełniać Konkurs Główny i Konkurs Perspektywy.

Na co warto zwrócić uwagę w obu konkursach? Można wskazać jakieś wspólne tematy filmów lub wątki?

– W Konkursie Głównym zwracają uwagę aż trzy filmy, które poruszają temat wojny w Ukrainie. To „Dwie siostry” Łukasza Karwowskiego, „Ludzie” Macieja Ślesickiego i Filipa Hilleslanda oraz „Pod wulkanem” Damiana Kocura. Film Mary Tamkovich „Pod szarym niebem” opowiada z kolei o sytuacji na Białorusi. No i jest „Zielona granica” Agnieszki Holland. Z drugiej strony mamy w selekcji kilka filmów biograficznych, takich jak „Simona Kossak” Adriana Panka i „Kulej. Dwie strony medalu” Xawerego Żuławskiego. Zupełnie inne rejestry kina przywołuje „Minghun” Jana P. Matużyńskiego. Zwracam także uwagę na mocne młode głosy, a więc na „Utratę równowagi” Korka Bojanowskiego czy nasycone młodzieńczą energią „Wrooklyn Zoo” Krzysztofa Skoniecznego. Przywołam jeszcze „Dziewczynę z igłą” Magnusa von Horna, która miała premierę w canneńskim konkursie głównym. Słowem kluczem nadal jest różnorodność. Tak powinno być.

Różne sposoby opowiadania widzimy też w Konkursie Perspektywy. Z jednej strony, mamy tu intymne, delikatne, a przy tym bardzo mocne historie, takie jak „Innego końca nie będzie” Moniki Majorek. Z drugiej – bardziej rozedrgane opowieści, np. ▶

► „Moją stroną Wisły” Marka Kossakowskiego. Wiem, że wiele osób czeka na „Rzeczy niezbędne”, czyli pełnometrażowy debiut Kamili Tarabury. Oprócz debiutów są filmy reżyserów, których nie trzeba naszym widzom przedstawiać. Łukasz Barczyk pokazuje „Próbę łuku”, a Bartosz M. Kowalski „Ciszę nocną”.

Kolejna nowość to sekcja Dokument w Gdyni, na którą składają się „Las”, „Drzewa milczą”, „Jestem

niepełna bez wspomnianej sekcji. Warto pamiętać, że dokumenty już nieraz pokazywano na gdyńskim festiwalu, choć często miałam poczucie, że szukano do tego jakiegoś pretekstu. Tymczasem film dokumentalny stanowi niezmiernie ważną część polskiego kina. Powinniśmy więc tworzyć dla niego przestrzeń w programie. Stąd tegoroczna sekcja Dokument w Gdyni, do której wybrałam pięć mocnych, wyrazistych

do dyskusji zarówno o produkcji filmów dla młodych widzów, jak i o pracy z młodą publicznością jest ważny dla nas jubileusz, czyli 20-lecie sekcji Gdynia Dzieciom. Inny panel dotyczy sytuacji kin. Ta dyskusja toczy się w Polsce od pewnego czasu, a my wpisujemy ją w trochę szerszy, europejski kontekst. Właśnie dlatego zaprosiliśmy do debaty przedstawicieli najważniejszych międzynarodowych stowarzyszeń kin studyjnych: CICAIE i Europa Cinemas. I oczywiście Stowarzyszenie Kin Studyjnych. Kolejny panel poświęcony jest roli mediów publicznych – nie jako potencjalnych koproducentów filmowych, ale podmiotów wspierających kulturę i wypełniających program misyjny. Łączymy także siły z Europejską Akademią Filmową, która jest naszą partnerką przy panelu o inkluzywności i różnorodności w branży filmowej. To niezwykle ważne dla mnie wydarzenie, bo tak też chcę widzieć Gdynię – jako festiwal uważny, nieobojętny.

A czy jest przestrzeń do rozmowy z młodymi ludźmi, którzy widzą swoją przyszłość w świecie kina?

– Tegoroczna nowość to program Gdynia Campus, który adresujemy do studentów szkół i wydziałów filmowych. Chcemy im pokazać, że już teraz są częścią branży filmowej, powinni być aktywni, otrzymają nasze wsparcie, a wszystkie te działania są dla nich niezwykle ważne. Takiego programu w Gdyni brakowało. Co więcej, Gdynia Campus to przestrzeń współtworzona przez młodych. Studenci sami przygotowali tematy poruszane w ramach wydarzenia. My pomogliśmy w ułożeniu całości i zaproszeniu ekspertów. Dla młodych organizujemy również cykl indywidualnych spotkań z osobami z branży filmowej, pod nazwą „1 na 1”. Wiemy, jak ważny jest networking, czyli gdyńskie spotkania i rozmowy, najlepiej międzypokoleniowe. Pracujemy więc tak, aby ułatwiać młodym kontakty i wymianę doświadczeń ze starszymi kolegami. To nie zawsze jest łatwe, ale Gdynia może zbliżać różne pokolenia filmowców.

Chcemy pokazać studentom szkół filmowych, że już teraz są częścią branży, że powinni być aktywni i otrzymają nasze wsparcie.

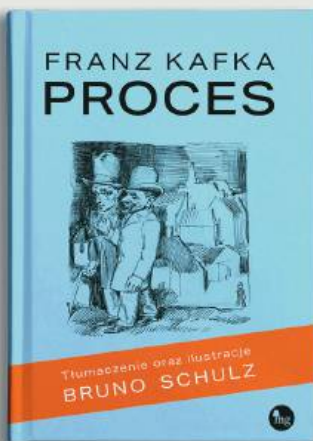
postacią fikcyjną”, „8. dzień chamsinu” i „Posłuchaj, co chcę ci powiedzieć”. Nie masz wrażenia, że polskie filmy dokumentalne tkwią w cieniu fabuł, choć bywają odważniejsze i bliższe rzeczywistości? Nie znalazłoby się dla nich miejsce w Konkursie Głównym?

– Na razie nie myślimy o włączeniu filmów dokumentalnych do Konkursu Głównego. Mamy też w Polsce świetne festiwale poświęcone dokumentom, często gromadzące ogromną publiczność. Nie demonizowałabym więc obecnej sytuacji tego kina. Według mnie Gdynia byłaby jednak

tytułów sięgających po najtrudniejsze tematy i stawiających najistotniejsze dziś pytania. Dodam, że FPFF nie działa sam i nie działa w próżni, dlatego zależało mi, aby podkreślić naszą współpracę z festiwalami zajmującymi się na co dzień kinem dokumentalnym. Niektóre pokazy zorganizowaliśmy w partnerstwie z Krakowskim Festiwałem Filmowym i Millennium Docs Against Gravity.

A tematy dyskusji? Co spędza sen z powiek polskiej branży filmowej?

– Jedno z zagadnień tegorocznej edycji Gdynia Industry to kino dla młodych widzów. Punktem wyjścia



www.wydawnictwomg.pl

Wojciech Tutaj

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Późne lato okazało się czasem triumfów Grzegorza Bogdała, co mi sprawia olbrzymią radość z kilku przyczyn, nade wszystko zaś z tej, że prestiżowe nagrody dla jego książki „Idzie tu wielki chłopak” przyznane zostały na pohybel rynkowym trendom i wydawniczym fetyszom. Gdyńię i Gombrowicza w odstępie kilkunastu dni skasował autor od początku swojej kariery literackiej wierny krótkim formom, szlifujący swój talent w opowiadaniach, przygodnie zaś oddający się scenariopisarstwu krótkometrażowych fabuł. Bogdał na wielką narrację nawet nie próbuje się zamachnąć, nie boi się, że powieść może się nie powieść, nie stroni od urywania swoich historii właśnie wtedy, gdy czytelnik mógłby oczekiwać jakiejś puenty, pomocnej w odczłowieczeniu tej niesamowitej prozy. Bawi się Bogdał chronologią wydarzeń, myli tropy, wprowadza postacie na pozór dziwaczne lub niemal wprost obłąkane, by rychło wyjawiać, że to zwykli ludzie uwikłani w niezwykle rodzinne psychomachie. Jeśli kto nałogowo poszukuje „czutej narracji”, i tu ją znajdzie, zwłaszcza w opisie relacji

Skądinąd nowy Witkowski całkiem stary, bo swoje dzieciństwo opowiada w nie tak znowu dobrej „Wierze” starymi i ogranyymi chwytami. Już w debiutanckim tomie przed wielu laty stosował nostalgiczne rekwizyty rodem z PRL, z gumą donaldową na czele – i jego autobiografia na syndrom donaldowy cierpi, efektowna, z obrazkami, ale wyżuwa się błyskawicznie i traci smak. Michaśka się zgrywa, to się podoba, to jest kampowe i błyskotliwe, ale w gruncie rzeczy błahe, co widać szczególnie wyraźnie, gdy się zestawia tę książkę z esejem wspomnieniowym Andrzeja Sosnowskiego. Znalazły się bowiem w finale tegorocznej Nike dwie autofikcje – obok Witkowskiego szansę na 100 tys. brutto mają również „Elementaże”, nadzwyczaj wyrafinowana opowieść o zapłodnieniu i narodzinach poetyckiego języka. Wybitny tłumacz i kultowy poeta hermetysta uchyla wrota do wielu swoich wierszy, naświetla kwestię metaforycznych komplikacji, sięgając po momenty zapalne swojego dzieciństwa i młodości – te rozżarzenia, które potem znalazły wyraz, a nawet wyraziły w jego lirykach.

Naświetlania

ojciec-syn. Fantastyczny zbiór, wart wszelkich laurów i długich namysłów – ta proza, choć niewielka objętościowo, rozrasta się w lekturze.

Tymczasem oficyny wydawnicze wciąż wołają o powieść, próbują powieści na autorach wprost wymuszać, kuszą zaliczkami i pilnymi terminami publikacji, a kiedy otrzymują dzieło gatunkowo nieoczywiste, jak choćby w przypadku książki „Łakome” Małgorzaty Lebdy, faworytki tegorocznego finału Nike, walą na okładce słowo powieść pod tytułem, no bo przecież, gdyby tych wątpliwości nie rozwiano, ktoś mógłby pomyśleć, że to proza poetycka albo, co gorsza, poemat prozą i wtedy na nic promocyjne starania. Wilczy głód wielkiej narracji wciąż zieleje z gardeł prezesów i dyrektorów oficyn, książki mają być bezczelnie opaste, jeśli już trzeba wydawać tę nieszczęsną prozę, niechże będzie linearna, epicka, a gdyby jeszcze dało się ją ująć fotografiami na wkładce kredowej, to już w ogóle będzie cacy. Grube grzbiety prędzej wypełniają półki, ludzie nie lubią ciemnych szczelin między woluminami, kiedy zapraszają kogoś w gości, chcą mieć równiutko od brzegu do brzegu regał zapchany, wołają tomy od tomików, chude książki są jak chude tydki, nie ma czym się puszyć ani prężyć, dawajcie „Księgi Jakubowe”, „Łaskawe”, „Moją walkę” i takiego np. nowego Witkowskiego, a już się półkowe *horror vacui* uśmierzy.

Widać, że Sosnowski „robi w języku”, frazy jego opowieści wiją się tyleż karkołomnie, co kunsztownie, a zmysłowość cielejących zachwyty (dziewczynka z okna naprzeciw), młodzieńczych szaleństw i muzycznych wspomnień (jakaż analiza „Monkberry moon delight” McCartneyów!) ma moc wehikułu czasu, tańczą razem z autorem do ballady Procol Harum z licealistką – „jak uważnie i serio, a zarazem jak czule i, bądź co bądź, zmysłowo” się z nimi kołyszę; Witkowski tej mocy nie posiadał, moją prywatną Nike w tym roku wręczyłbym Sosnowskiemu (kłaniając się w pas także nominowanym poetkom i reportażyście).

Tego poszukiwania utraconego czasu najwyraźniej pozazdrościł Sosnowskiemu dawny kolega redakcyjny z „Literatury na Świecie” i wciąż przecież aktualny kolega z poetycko-translacyjnego podwórka, Piotr Sommer. Ogłosił bowiem niedawno prozę przepyszną, mistrzowską w językowej swawoli, zarazem skupioną i konkretną – „Środki do pielęgnacji chmur” to schulzowska z ducha i ciała opowieść o dawnym Otwocku, w którym Sommer się wychował. Co tam świdermajery, autor z byle zachwaszczonych opłotków wydobywa sążniste ładunki literackiej magii, aż się człowiek zapomina, czy to Otwock, czy Drohobycz, willa to Gurewicz czy może Bianki. Czyni to w książce szczupłej, hojnie rozdającej światło między tekstami, czyli tak jak lubię – jesień idzie, słońca ubywa, trzeba wszakże czymś się naświetlić. ■

Książek nie liczy się w sztukach

Księgarnie upadają, czytelnictwo kuleje, a nasze życie staje się duchowo uboższe

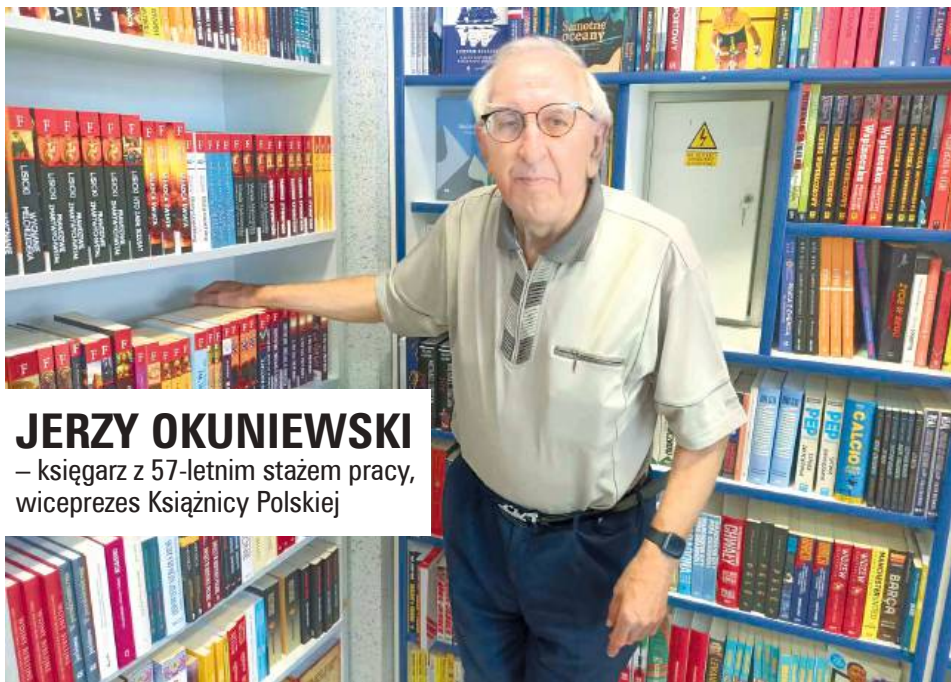
Rozmawia Marek Książek

Kilka miesięcy temu wysłał pan list otwarty do polityków i samorządowców, a także pismo do ówczesnego ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza. Alarmował pan w sprawie księgarń w Polsce, których był jest zagrożony, co ma przełożenie na coraz niższy poziom czytelnictwa. Jest aż tak źle?

– Wprawdzie spotykam się z informacjami, że w Polsce istnieje od 1,6 tys. do 2,2 tys. księgarń, ale są to dane niewiarygodne, wręcz zafałszowane. Zależy bowiem, co się uważa za księgarnię – jeśli pomieszczenie, w którym są trzy regały na książki, a reszta to mydło i powidło, to mylimy pewne pojęcia. Jestem tradycjonalistą i dla mnie księgarnia to takie miejsce, w którym dwie trzecie średnich obrotów stanowi sprzedaż książek. A nasza firma ma w sumie 57 takich księgarń na terenie niemal całej Polski, w tym cztery w Warszawie, choć najwięcej na Warmii i Mazurach.

Wasze przedsiębiorstwo dominuje w regionie, ale są też inne placówki, gdzie sprzedaż książek jest tylko dodatkiem do innej działalności.

– Będąc w terenie, z zawodowej ciekawości odwiedzam takie punkty i np. w Lubawie, miasteczku z 11 tys. mieszkańców, zaszedłem do takiej niby-księgarni, a tam większość powierzchni zajmują zabawki i inne artykuły. Pytam sprzedawczynię, dlaczego tak mało książek. A ona, że ludzie nie kupują. Tymczasem w podobnym miasteczku, w Biskupcu, nasza księgarnia ma 35 regałów i obroty sięgające 1 mln zł rocznie. W ciągu ponad 25 lat nie było u nas spadku sprzedaży rok do roku, spadku dochodów, nastąpił jedynie niewielki spadek transakcji handlowych,



JERZY OKUNIEWSKI

– księgarz z 57-letnim stażem pracy, wiceprezes Książnicy Polskiej

czyli wystawiano mniej paragonów, co może być rezultatem zmian cywilizacyjnych. Ale to nie znaczy, że ludzie nie są zainteresowani zakupem książek. Przecież nasz udział w rynku sieciowych księgarń wynosi zaledwie 10%, a takie sieci jak Empik trzymają się mocno.

Jednak znana firma Matras została zlikwidowana.

– Ale oni mieli ponad 100 mln zł długu wobec dostawców i wydawców. Jak ktoś napisał, jechali lokomotywą napędzaną cudzym węglem. Dziś nie ma litości, nie płacisz, bankrutujesz.

Może to właśnie jest potwierdzenie tezy, że w Polsce czytelnictwo zanika? W Olsztynie też upadła prywatna księgarnia, a z Galerii Warmińskiej wycofał się Świat Książki.

– Prawda jest taka, że poziom czytelnictwa w Polsce ledwie przekracza 40%, a i tak ostatnio podniósł się o 9 pkt proc. (według raportu

Biblioteki Narodowej w latach 2021 i 2022 czytelnictwo książek w Polsce utrzymywało się na poziomie 34% – przyp. red.). W zeszłym roku co najmniej jedną książkę przeczytało 43% Polaków. Z tego względu popadamy nawet w euforię, ale przy Czechach, gdzie czytelnictwo wynosi ponad 80%, jesteśmy w ogonie. Choć inne kraje europejskie również nie mają powodu do dumy, Polska powinna ogłosić alarm! Jeśli w Czechach statystycznie jedna księgarnia przypada na 16,5 tys. mieszkańców, to u nas na 28 tys. Różnica wyraźna. **Jakie więc muszą być warunki, by ten potencjał wykorzystać w większej części?**

– Prowadzenie księgarni ma sens, jeśli jest to działalność rentowna, chociaż o to coraz trudniej. Zrobiłem nawet symulację, w której wyliczam, że jeśli w lokalu 100-metrowym stworzy się dobre warunki ekspozycyjne i handlowe, a ma się

w miarę szeroką ofertę sprzedaży, to przy dwóch etatach można uzyskać ok. 1 mln zł obrotu rocznie.

Takie warunki może stworzyć przedsiębiorstwo specjalistyczne i tak mocne jak wasze, firma skomputeryzowana, z profesjonalną obsługą, ale jak to zrobić w miastach powiatowych, nie licząc wsi gminnych?

– To prawda, że w większości miast w województwie prowadziemy księgarnie w lokalach własnych, które wykupiliśmy wcześniej, po sprywatyzowaniu państwowego Domu Książki. Taki klimat do wykupu lokali był w latach 90., kiedy Ministerstwo Kultury chciało się pozbyć obciążenia i napraszało się, by przejąć księgarnie. W całym kraju było 17 oddziałów Domu Książki i po latach praktycznie na rynku pozostał tylko nasz, choć pod zmienioną nazwą. I już jako spółka o kapitale całkowicie polskim. Niestety, rok po transformacji gospodarczej nie przetrwały sprywatyzowane księgarnie gminne. W kilku miastach regionu działają też księgarnie nienależące do naszej sieci, ale ostatnio byłem w 18-tysięcznym Piszcu, gdzie jedyna tamtejsza księgarnia zwiija żagle. Takie placówki jesteśmy gotowi przejąć albo proponujemy program „Partnersstwo dla księgarń”, w którym księgarnia pozostaje niezależna, działa na własny rachunek, a tylko korzysta z naszego know-how i wchodzi do naszej sieci dostawców na takich samych warunkach jak my. Nie wszyscy właściciele upadających placówek chcą jednak z tej szansy skorzystać, czasami z irracjonalnych względów, na zasadzie psa ogrodnika: ja stracę, ale wy nie skorzystacie. Polski rynek książki to obecnie najwyżej połowa jego potencjału, bo w kraju powinno funkcjonować co najmniej 3 tys. księgarń z prawdziwego zdarzenia, a wartość rocznej produkcji wydawniczej powinna wynosić nie 2,5 mld zł, ale drugie tyle. Posłużę się statystyką: udział ludności Polski w Europie wynosi prawie 5%, a wielkość naszego rynku książki to zaledwie 2,5% rynku europejskiego. Czyli rezerwy mamy ogromne!

Jak w takim razie mają pomóc politycy? Czy w ogóle coś od nich zależy?

– W piśmie do ministra Sienkiewicza zwróciłem uwagę na kilka kwestii, bez rozwiązania których polskie czytelnictwo nie tylko zatrzyma się w rozwoju, ale wręcz będzie się pograżać. Co prawda, sprzedaż internetowa nie jest dla nas dużym zagrożeniem, niemniej traktowanie książki jako towaru, a nie istotnego dobra kultury powoduje pewną formę brutalizacji książki. Jej życie gwałtownie się skraca, dziś ukazuje się na rynku, a po kilku tygodniach spada na dalszy plan, wreszcie idzie na przemiał. Od lat trwają wojny cenowo-rabatowe, które także są przyczyną takiego stanu rzeczy. Na przykład tzw. księgarnia niezależna kupuje u dostawcy książki drożej, niż Empik przyjmuje cenę sprzedaży. Dlaczego? Bo na książce nie ma wydrukowanej ceny. Na każdym egzemplarzu powinna być cena drukowana,

Na każdym egzemplarzu powinna być cena drukowana, żeby ta książka w określonym czasie wszędzie kosztowała tyle samo i wszyscy mieli równe szanse.

żeby ta książka w określonym czasie wszędzie kosztowała tyle samo i wszyscy mieli równe szanse. A jeśli Biedronka czy inna sieć sklepów spożywczych wrzuca do skrzyni książki z rabatem 60%, to o jakiej my tu mówimy konkurencji? W rezultacie takiej polityki księgarnie upadają, czytelnictwo kuleje, a nasze życie staje się duchowo uboższe.

I co na to minister, bo choć się zmieniło personalnie, to nadal rządzi resortem kultury?

– Zaraz po wysłaniu listu zadzwoniłem do ministerstwa, żeby się zorientować, czy wywołał on jakiś efekt. I usłyszałem, że owszem, jest to pole do dyskusji, ale na jedno ministerstwo się nie zgodzi – na zerowy podatek VAT! Tymczasem podatek VAT od książki wprowadzono u nas w 2011 r. i od tej pory w powszechnej świadomości jest kojarzony z podwyżką cen książek. Z badań przeprowadzonych w krajach UE wynika, że podniesienie stawki VAT o 1% powoduje zmniejszenie o tyle samo zakupu książek. Zerowy VAT jest m.in. w Wielkiej Brytanii, Irlandii, Estonii, na Litwie i Węgrzech, a gospodarka

tych krajów jakoś tego nie odczuwa, bo VAT od książki ma naprawdę marginalny udział w budżecie państwa. Generalnie chodzi nam o rozwiązania legislacyjne, które uporządkowałyby rynek książki w Polsce.

Może pochodząca z Olsztyna nowa minister Hanna Wróblewska, zajmująca się kulturą „od zawsze”, łaskawym okiem spojrzysz także na książki i księgarzy.

– Też mam taką nadzieję. Jest kilka spraw, które można i trzeba załatwić niemal od ręki. Niezmiernie ważne i pilne jest wprowadzenie mechanizmów ekonomicznych zwiększających pokupność książek i tworzenie bibliotek domowych. Ten mechanizm polegałby na wprowadzeniu ulg finansowych w formie corocznych odliczeń od podatku dochodowego np. kwoty 400-500 zł, co stanowiłoby

równowartość wydatków na ten cel i zachętę do nabywania przez rodziny przeciętnie jednej książki w miesiącu. Tak jest we Włoszech.

Mówi to znawca tematu, bo jest pan z wykształcenia księgarzem, od niemal sześciu dekad pracuje w zawodzie, w tym 38 lat kierując firmami księgarskimi, aktualnie jako wiceprezes spółki. Jak dalece zmieniło się zainteresowanie książkami? Do głównej siedziby Książnicy Polskiej w centrum Olsztyna zachodzi więcej seniorów niż młodzieży?

– Niby bardziej tradycyjnym czytelnikiem są osoby starsze, ale obserwujemy coraz większe zainteresowanie młodych, którzy lubią przyjść do księgarni, poczuć zapach farby drukarskiej, przejrzeć egzemplarze na półkach, zastanowić się nad zakupem. To pocieszające zjawisko. Wspominałem o egzemplarzach, bo dla mnie jako tradycjonalisty to bardzo ważne. Gdy kiedyś jakiś dostawca przychodził do mnie jeszcze jako prezesa i pytał, ile sztuk ma dostarczyć, od razu dziękowałem za propozycję. Książki liczy się bowiem nie w sztukach, tylko w egzemplarzach. ■

KURTYNA W GÓRĘ



Dziennik nadziei

„Dziennik Anne Frank” zdobył niebywałą pozycję wśród diariuszy czasów Zagłady, choć nietrudno byłoby wskazać zapiski bardziej dramatyczne. Jednak te prowadzone przez nastolatkę, która dwa lata spędziła z rodziną w amsterdamskiej kryjówce, są połączeniem notatek dokumentujących tamten okres z typowymi tęsknotami dziewczyny rwącej się do życia, miłości i normalności. Stąd nuta nadziei na przekór ponurej rzeczywistości, brzmiąca w pamiętniku i jego wersjach scenicznych czy filmowych – ocalony dokument wielokrotnie bowiem był przedmiotem adaptacji.

Teatr Lalka proponuje – wbrew swojej nazwie – spektakl typowo aktorski, choć z dużą porcją materiału wideo. To ilustracja tamtego czasu, ale też zapis lirycznych fascynacji miłosnych młodziutkiej autorki, w którą wcieliła się przekonująco Hanna Turnau. Reżyser nie próbował eksperymentować i pozostał wierny przekazowi pisanemu, a dokonany wybór świadczy o dążeniu do zachowania równowagi między obrazem okupacyjnego zniewolenia i prześladowań Żydów a potrzebami dorastającej dziewczyny.

W epilogu pojawiają się krótkie opisy późniejszych losów bohaterów czekających na wyzwolenie w kryjówce. Ocalał tylko ojciec Anne, inni zostali zamordowani w niemieckich obozach zagłady albo zmarli z wycieńczenia. Ta poruszająca puenta nie pozwala aktorom wychodzić do okłasków.

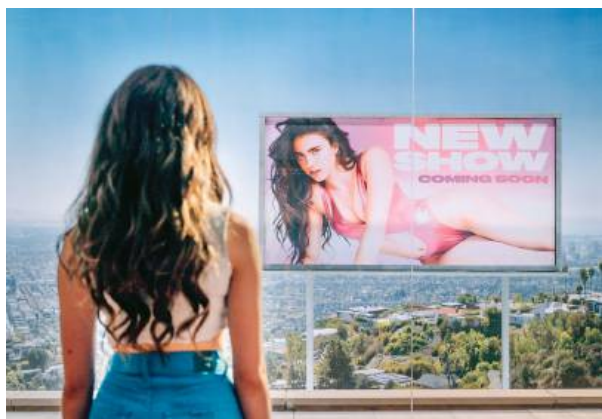
Tomasz Miłkowski

„Dziennik Anne Frank”, tłumaczenie Alicja Oczko, adaptacja i reżyseria Zbigniew Brzoza, Teatr Lalka w Warszawie, premiera 31 sierpnia 2024

NA EKRANACH

Szczerbata Demi Moore

Coralie Fargeat zblendowała Dorianą Graya i Frankensteina, uzyskując w ten sposób jeden z najbardziej pojęchanych filmów roku. Powracająca po latach do głównej roli Demi Moore wciela się w Elisabeth Sparkle, przebrzmiałą gwiazdę telewizji, którą producenci chcą zastąpić młódką o jędrniejszej skórze i krągłej pupie. Gdy załamana bohaterka odkrywa tajemniczą substancję sprawiającą, że na jakiś czas staje się młodsza wersją siebie, jej życie znów nabiera barw. Tylko że z dozowaniem nie wolno przesadzić, bo przebywanie zbyt długo w młodym ciele skutkuje drastycznym postarzeniem się oryginału. Nietrudno się domyślić, w którą to wszystko pójdzie stronę, ale gwarantuję, że nie domyśliliby się Państwo, jak Demi Moore pozwoliła się oszpecić w starszej wersji siebie.



Biedaczka ledwo się snuje po ekranie, bo reumatyzm powykręcał jej nogi, jest szczerbata, a na głowie zostało jej pięć włosów na krzyż. To trzeba zobaczyć! Oczywiście, o ile starczy Państwu odwagi. Ja wciąż mam gęsią skórę, a w uszach odgłosy wypadających zębów i łamiących się paznokci Elisabeth.

Artur Zaborski

„Substancja”, reż. Coralie Fargeat, prod. Francja/Wielka Brytania/USA, już w kinach

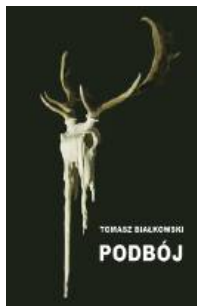
MIĘDZY OKŁADKAMI

Tomasz Białkowski

Podbój

Wydawnictwo Stowarzyszenie Pisarzy Polskich
Oddział Olsztyn, 2024

Dramat ekologiczny. I bardzo człowieczy. Warmia, wyspa Herta, Jezioro Wulpińskie. 100 lat temu tętniło tam życie, a restaurator Robert Rogalla spełniał swoje marzenia. Były smaki świetnej kuchni, własnego piwa, win porzeczkowych, były miłosne afery, mroczne sekrety. I wojna. Promem, łódkami dopływali tu z całych Prus Wschodnich, z Allenstein,



Berlina, Królewca zaciekawieni wyspą, podporządkowaną, zdałoby się, człowiekowi. Aż kiedyś jezioro stanęło dęba. Dziś kołtun drzew pokrywa zdziczały teren z dwoma grobami, Roberta i Brunona. Przyroda przejęła rządę. „Podbój” nawiązuje do prawdziwych wydarzeń. „Ta wyspa zawałdnęła moją wyobraźnią”, przyznaje Białkowski, a Ishbel Szatrawska pisze, że autor „podjął decyzję ryzykowną i odważną. Od samego początku wprowadza nas w świat, który nie tyle dzieje się na scenie, co jest opowiadany w czasie przeszłym”. Postacie mimo to nie tracą krwistości, a dialogi „zmuszają czytelników do zadania sobie kardynalnych pytań”.

Beata Dżon-Ozimek

Kolumnę przygotowały
Agata Gogółkiewicz i Aleksandra Pańko



Bieliki nad Wigrami

Dzięki czynnej ochronie gatunku staliśmy się bielikowym potentatem w Europie

Wojciech Misiukiewicz

Bieliki w Polsce mają się coraz lepiej. A jeszcze na przełomie lat 70. i 80. w naszym kraju żyło tylko 80 par. Choć zgubne skutki cywilizacji o mało ich nie wyniszczyły, ptaki te odradzają się w XXI w. Dziś w Polsce gniazduje mniej więcej 1,5 tys. par lęgowych i jest to trzecia co do wielkości populacja w Europie. Dzięki czynnej ochronie gatunku staliśmy się bielikowym potentatem na Starym Kontynencie. Drapieżniki te zdają się coraz lepiej radzić sobie również w Puszczy Augustowskiej. Bieliki kolonizowały puszcę od początku lat 90., a w ostatnich latach jej obszar zasiedla 14-16 par lęgowych.

Obszar Wigierskiego Parku Narodowego to mnogość zbiorników wodnych, chętnie więc osiedla się tu wszelkie ptactwo wodno-błotne. Nie

tylko jeziora, rzeki i bagna, lecz także pola i lasy wabią ptaki bogactwem przyrodniczym. Dotychczas stwierdzono tu obecność 207 gatunków. Są to ptaki zarówno lęgowe, jak i migrujące, które nad Wigrami goszczą jedynie na krótko. I choć bogactwo świata awifauny trudno porównywać do sąsiedniego Biebrzańskiego Parku Narodowego, to rzeczywiście na Wigrach ptaki znajdują doskonałe warunki do bytowania. Na stałe zamowity się tu bieliki – ich krążące na niebie sylwetki można często dostrzec nad wodami Wigier, ale też w całej Puszczy Augustowskiej. Ptaki te potrafią nawet zajrzeć do Suwałk.

Bieliki nie są wybredne. Ich głównym pokarmem są ryby i ptaki wodne, a zimą niemałe uzupełnienie diety stanowi padlina. Drapieżniki te stosują różne techniki łowieckie: polowanie z zasiadki, z dolotu, w tandemie, w powietrzu, brodenie

w płytkiej wodzie, okradanie innych osobników własnego i obcego gatunku. Ofiary są chwytane głównie za pomocą szponów, dziób służy zaś do rozrywania zdobyczy. Noga bielika jest uzbrojona w cztery mocne, łukowato zakrzywione i ostro zakończone pazury. Atakujący w locie ptak wysuwa do przodu obydwie nogi, starając się wbić szpony w ciało ofiary. Skóra na wewnętrznej części palców bielika jest szorstka, co ułatwia transport śliskich ofiar, do których należą ryby. A tych nad Wigrami nie brakuje. Gdy jednak ryba jest zbyt wielka, ptak może nie mieć dość siły, by unieść ją ponad powierzchnię wody. A jako że chwyt jest silny i pewny, ptak nie wypuści ofiary. Dlatego w świecie bielików czasem zdarza się, że pod ciężarem ryby ptak tonie w wodzie. (...)

Bielik jest największym gniazdującym w Polsce ptakiem drapieżnym. ►

► Rozpiętość jego skrzydeł sięga 200-250 cm. (...) U ptaków szponiastych to jednak samice są większe od samców. Ta wielkość ptaków może sugerować, że bieliki są nad wyraz agresywnymi stworzeniami. Prawda jest jednak, o dziwo, inna.

Na obszarze jednego nadwigerskiego leśnictwa gnieźdzą się trzy pary bielików i wydaje się, że żyją one zgodnie. Nie obserwowano tu ani utarczek, ani tym bardziej zaciętych walk pomiędzy sąsiadującymi parami. Być może niezwykle okazałe i przestronne gniazdo, za duże jak na lęgowe potrzeby tego ptaka, oraz częsta obecność dorosłego osobnika w jego pobliżu stanowią wystarczające sygnały ostrzegawcze dla innych bielików. Niewykluczone, że podobne zadanie pełni jaskrawo ubarwiony i niezwykle okazały dziób dorosłych osobników. Istnieją dowody wskazujące, że ptaki te potrafią rozpoznawać współplemieńca z odległości kilku kilometrów, a nawet ocenić, czy jest to ptak dorosły, czy młody. Dojrzałe osobniki tolerują w swoich rewirach łowieckich zwłaszcza młode bieliki, prawdopodobnie własne potomstwo z poprzednich lęgów.

Choć bieliki nie są wobec siebie agresywne, to czasem nad Wigrami można zaobserwować coś, co przypomina prowadzone przez nie powietrzne walki. Są to jednak miłosne zaloty tych wielkich drapieżników. Niewprawni obserwatorzy

i dotykając nadlatującego ptaka łapą. Takie podniebne flirty są powtarzane po wielokroć. W końcu kochankowie chwytają się w powietrzu szponami i koziotkując, spadają z dużej wysokości, by rozdzielić się tuż nad ziemią. Tańcom towarzyszą głośne okrzyki wydawane przez obydwu ptaki. A wszystko to dzieje się, gdy

jako obiad dla piskląt. Te, pewnikiem nie będąc głodne, zignorowały ten żywy prowiant. Widocznie instynkt opiekuńczy dorosłych osobników był po tym zdarzeniu tak silny, że zaczęły go karmić i wychowały malucha jak swoje dziecko. Myszołów wyrósł i odleciał, lecz jego dalsze losy nie są znane. (...)

Bieliki najchętniej polują na kaczki, łyski i inne ptaki, chwytając je bezpośrednio z wody.

wigerskie jeziora są wciąż pokryte lodem, a puszcze przykrywa biały kobierzec. W marcu w gnieździe pojawiają się jaja.

Nie wszystkie młode bieliki mają szansę opuścić gniazdo. Ponieważ samica zaczyna wysiadywać po zniesieniu pierwszego jaja, z kolejnych jaj piskląta wykluwają się z opóźnieniem. Jeśli drugie jajo zostanie złożone trzy dni po pierwszym, wówczas młode z tego jaja będzie o trzy dni młodsze od pierwszego pisklęcia. W świecie bielików zdarza się, że silniejsze piskle zabija młodsze. Zachowanie takie nazywamy kainizmem, choć według biblijnego podania z Księgi Rodzaju brat zabił brata z zazdrości, a bieliki czynią to w czasie niedoborów pożywienia. Z ludzkiego punktu widzenia takie zachowanie jest trudne do zaakceptowania, ale w świecie przyrody w okresie głodu może sprawić,

Nad Wigrami żyją trzy pary bielików, lecz jeszcze do 2004 r. była tu tylko jedna para. Zauważono ją w 1991 r. To, że dziś obserwuje się trzy pary, nie oznacza wcale, że ze wszystkich gniazd co roku wylatują młode. W 2022 r. tylko jedna para wyprowadziła lęg, a uchowało się tylko jedno piskle. Sukces lęgowy tych ptaków jest bowiem uzależniony zarówno od pogody, dostępu do pokarmu, jak i od aktywności innych drapieżców.

Zdarzało się też, że gniazda spadały na ziemię. Jedna z takich sytuacji miała miejsce w 2013 roku w Stupiu. Przykry był widok rozgniecionych jaj, z których nie zdążyło się rozwinąć życie. Początkowo jako przyczynę zniszczenia gniazda wskazywano brak doświadczenia rodziców w konstruowaniu takich siedzib bądź też wicher, która strąciła je z drzewa. Niewykluczone jednak, że powodem nieszczęścia był brak dostatecznie starych drzew, na których ptaki mogłyby zbudować solidne gniazdo. W Puszczy Augustowskiej drapieżniki te gnieźdzą się wyłącznie na sosnach, które dopiero jako wiekowe drzewa wykształcają grube konary w górnej części korony. To na takich gałęziach bieliki mogą bezpiecznie wybudować swoje ciężkie gniazda. A tak potężnych sosen jest dziś niewiele. Najstarsza puszczańska sosna dźwigająca na swych konarach gniazdo bielika ma ponad 200 lat. Nad Wigrami najstarsze sosny gniazdowe mają 160 lat, a gniazda spoczywają na nich przez wiele sezonów. Para, która straciła gniazdo, zbudowała je na sośnie mającej niewiele ponad 100

Choć dorosłe bieliki są dużymi ptakami, to rzadko bywają wobec siebie agresywne. Ich napowietrzne walki w rzeczywistości są zalotami.

przyrody mogą pomylić gody bielików z awanturami o rewiry gniazdowe lub łowieckie. Zaloty połączone ze spektakularnymi akrobacjami zaczynają się już zimą. Te powietrzne weseliska mają widowiskowy charakter – można wręcz powiedzieć, że ptaki tańczą w locie. Para rozpoczynająca amory wzbija się w powietrze i szybuje wspólnie lub w odwrotnych kierunkach. W pewnym momencie jeden z małżonków obniża lot i zbliża się do partnera, który odpowiada na te zaloty, odwracając się

że przynajmniej jedno młode zyska szansę na opuszczenie gniazda. Takie sytuacje obserwuje się nie tylko u bielików, lecz także u orlików czy pustulek, a nawet u czapli. (...)

Przyroda potrafi zaskakiwać na różne sposoby. Znany jest przypadek, gdy w gnieździe bielików wychował się... myszołów. Z całą pewnością nie został kukułczym sposobem podrzucony do gniazda bielików przez matkę. Najpewniej porwano go z rodzinnego gniazda

lat. Korony takich drzew nie są jeszcze odpowiednio wykształcone i nie mają wystarczająco grubych i rozłożystych konarów, mogących utrzymać potężne gniazdo bielika.

Wigry to wyjątkowy poligon do obserwowania bielików. Ptaki te są szczególnie przychylne względem łodzi rybackich, traktują je bowiem niczym mobilne restauracje. Bieliki, obserwując ruch na wodzie z czatowni na wysokich drzewach, czekają na rybaków, zwłaszcza na moment wyciągania połowu z wody. Ruszają wówczas, by się pożywić, a rybacy mimochodem serwują ptakom darmowy poczęstunek.

Menu bielików jest zależne od tego, co akurat złowi się w sieci. Martwe ryby wypadają z niewodów bądź przestaw i dryfują na wodzie, a gdy ptaki je dostrzegą, posiłek szybkoitko trafia w ich ostre szpony. Zdarza się też, że ptaki są karmione łaskawą ręką rybaka. (...)

Co ciekawe, do tej osobliwej stołówki przylatują głównie dorosłe bieliki, które przez lata nauczyły się czerpać korzyści z obecności rybaków na jeziorze. Gdy tylko ryba wypadnie z sieci, czatujący na drzewie ptak rusza po darmową zdobycz, nie zdradzając bojaźni przed człowiekiem. Wykonując powietrzne akrobacje, nadlatuje nad lustro wody z wysuniętymi do przodu szponami i chwytą dryfujące na jeziorze śniadanie. Bywa nawet, że uderza w wodę w odległości kilku metrów od łodzi. Młode, niedoświadczone jeszcze w takich łowach ptaki krążą w tym czasie bezradne nad Wigrami, a gdy dostrzegą rodzica z pochwyconą rybą, ruszają za nim, żebrać o posiłek. Znamienne jest też, że ptaki te przylatują niemal wyłącznie do łodzi rybackich. Nauczyły się je odróżniać od innych łódek przebywających na jeziorze. Do wędkarzy bieliki zbliżają się niechętnie. (...)

Bielikom nie brakuje ofiar, a mimo to wykorzystują one każdą nadarzącą się okazję do zdobycia łatwego pożywienia. Zwyczajnie pokarmowe tych drapieżników nie zawsze są elegancje. Okazuje się, że bielik potrafi wlecieć do kolonii lęgowej kormoranów i czapli siwych, aby porwać z gniazda ich młode. Na terenie Puszczy

Augustowskiej żyją trzy kolonie lęgowe kormoranów o łącznej liczbie 350 par. Przez wiele lat funkcjonowała też kolonia mieszana z czapłą siwą na jeziorze Serwy. W 2006 r. czaple siwe przeniosły się z tej kolonii do ośrodka wypoczynkowego w Serwach i gnieźdzą się teraz na ogrodzonym terenie obok pola biwakowego.

W 2021 r. część kormoranów z wyspy na jeziorze Serwy również przeniosła się do ośrodka wypoczynkowego. Dlaczego? Otóż kilka lat temu na wyspie tej zagnieździł się bielik – od tej pory udział kormoranów w diecie bielika znacznie wzrósł. Kormoranom oczywiście to towarzystwo się nie spodobało i obrażone przeniosły się na suchy ląd, na obszar ogrodzonego ośrodka

Gdy na wyspie na jeziorze Serwy zagnieździł się bielik, kormorany przeniosły się na teren ośrodka wypoczynkowego.

wypoczynkowego. Wszystkim czarnopiórym ptakom nie starczyło jednak miejsca, by założyć gniazda na nowym terytorium. Bielik nadal ma więc dobrze zaopatrzoną stołówkę w pobliżu swojego gniazda.

Innym gatunkiem, który zareagował na obecność bielika, jest bocian czarny. Mapy z historycznymi danymi dotyczącymi występowania i rozprzestrzeniania się bielików i bocianów czarnych w Puszczy Augustowskiej pokazały, że wraz ze zwiększaniem się liczby rewirów lęgowych bielika zmniejszała się liczebność gniazd bocianów. W 1989 r. w puszczy znajdowało się ponad 40 zajętych rewirów lęgowych bocianów i były one rozmieszczone stosunkowo symetrycznie. W 1991 r. pojawiły się pierwsze bieliki, które w kolejnych latach zaczęły kolonizować puszcę i zwiększać swoją liczebność. Bociany zareagowały na tę nową sytuację, sukcesywnie wycofując się z obszaru puszczy. Gdy tylko pojawiła się nowa para bielików, bociany, które gniazdowały w promieniu 5 km od rewiru lęgowego osiedlających się drapieżników, opuszczały

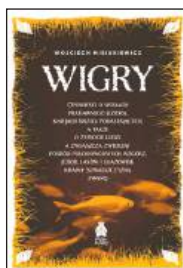
swoje terytorium i przenosiły się gdzie indziej.

W 2019 r. bielik skolonizował większą część Puszczy Augustowskiej, bociany przesunęły się na południe, do tego ich liczebność spadła. (...)

Bieliki najchętniej polują na kaczki, łyski i inne ptaki, chwytając je bezpośrednio z wody. Nad Wigrami spektakularne ataki na łyski można zaobserwować z wieży widokowej w Bryzglu. Jesienią podczas migracji zbierają się tam duże grupy tych ptaków. Przebieg polowania zazwyczaj jest podobny. Gdy stado oddali się od trzcin, spada na nie bielik, co wzbudza wielkie zamieszanie pośród przerażonej gromady. Łyski, z krzykiem biegnąc w biblijny sposób po jeziorze,

w rozbryzgach wody całą gromadą zmierzają ku zbawiennym trzcinom rosnącym na brzegu. Gdy jednak jakiś ptak oddali się od stada, bielik stara się odciąć mu drogę ucieczki. Łyska próbuje się ratować, nurkując, ale bielik niestrudzenie ponawia ataki. Gdy zmęczona i podtopiona ofiara wynurza się na powierzchnię, bielik chwytą ją w szpony.

Te potężne drapieżniki mogą też polować, patrolując pas trzcin, w którym ukrywa się ptactwo wodne. Niskie przeloty tuż na granicy otwartej wody mają zaskoczyć ofiary wypływające akurat z szuwarów i wypłoszyć je na otwartą przestrzeń, poza bezpieczne schronienie. Tam mogą stać się łatwą zdobyczą bielików. W ostatnich latach stwierdza się jednak znaczący spadek liczebności łysiek. Ma to swoje przełożenie na udział tego gatunku w składzie pokarmu bielików – na początku XXI w. nad Wigrami łyski stanowiły 40% ofiar bielików, a po ok. 20 latach jest to poniżej 10%. (...)



Fragmenty książki Wojciecha Misiukiewicza *Wigry*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Kielce 2024

Zdrowie to inwestycja!

Przyszłość ginekologii onkologicznej:
wyspecjalizowane szpitale, badania molekularne,
nowoczesne leki

Wrzesień jest Miesiącem Świadomości Nowotworów Ginekologicznych. O czym w związku z tym warto przypomnieć?

– O tym, że schorzenia te dotyczą ogromną liczbę kobiet na całym świecie. Wiele z nich umiera, gdyż choroba została wykryta za późno. Edukacja i świadomość społeczna są kluczowe, ponieważ badania profilaktyczne mogą uratować życie. Zbyt wiele kobiet zgłasza się do lekarza dopiero wtedy, gdy objawy są już wyraźne, co często oznacza zaawansowane stadium choroby.

W Polsce co roku na raka umiera prawie 14 tys. kobiet, z czego niemal połowa na nowotwory ginekologiczne. Dlaczego tak się dzieje?

– Główną przyczyną jest zbyt późne wykrycie choroby. W przypadku nowotworów ginekologicznych, takich jak rak szyjki macicy czy rak jajnika, wczesne stadia często nie dają charakterystycznych objawów, co utrudnia rozpoznanie. Dlatego tak ważne są badania profilaktyczne. Zdrowie to inwestycja!

Jakie badania i jak często należy wykonywać?

– Ogólnie rzecz biorąc, zaleca się badanie cytologiczne co trzy lata, bezpłatnie dla kobiet od 25. do 64. roku życia, a mammografię co dwa lata, bezpłatnie dla pań od 45. do 74. roku życia. Niezbędne są też wizyty u ginekologa, nawet jeśli kobieta nie odczuwa żadnych dolegliwości.

Dlaczego wiele kobiet nie zauważa porę niepokojących objawów?

– Ponieważ mogą być subtelne i łatwe do przeoczenia. Tymczasem nieprawidłowe krwawienia, plamienia, zwłaszcza po menopauzie, są sygnałami ostrzegawczymi i wymagają konsultacji z lekarzem. Pierwszym symptomem raka szyjki macicy mogą być plamienia przy współżyciu czy po wysiłku fizycznym. Rak

**Prof. dr hab. n. med.
MARIUSZ
BIDZIŃSKI**

– konsultant krajowy w dziedzinie ginekologii onkologicznej, kierownik Kliniki Ginekologii Onkologicznej w Narodowym Instytucie Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie – Państwowym Instytucie Badawczym w Warszawie.



trzonu macicy również objawia się krwawieniami. Rak jajnika jest bardziej podstępny – symptomy takie jak wzdęcia, uczucie pełności w brzuchu czy powiększenie obwodu brzucha są niespecyficzne i często mylone z problemami gastrycznymi. Dlatego wszelkie niepokojące objawy powinny być konsultowane z ginekologiem.

Czy wywiad rodzinny jest ważny w rozpoznawaniu nowotworów ginekologicznych?

– Jest istotnym elementem diagnostyki. Jeśli w rodzinie były przypadki raka piersi czy jajnika, ryzyko zachorowania jest wyższe. Taka informacja może skłonić lekarza do bardziej intensywnego monitorowania pacjentki i wdrożenia odpowiednich działań profilaktycznych. Warto więc znać historię zdrowotną swojej rodziny, szczególnie jeśli chodzi

o najbliższych krewnych, takich jak rodzice, rodzeństwo czy dziadkowie.

W ostatnich latach rośnie liczba zachorowań na raka endometrium. Dlaczego?

– Na ten nowotwór zapada co roku ponad 6 tys. Polek. Jednym z głównych powodów jest otyłość. Dodatkowymi czynnikami ryzyka są: nadciśnienie, cukrzyca i brak aktywności fizycznej. Rak trzonu macicy najczęściej rozwija się u kobiet po menopauzie. Ważne jest więc, by w tym okresie regularnie odwiedzać ginekologa.

Jakie nowe technologie i metody leczenia są dostępne dla pacjentek z tym nowotworem?

– Ostatnie lata przyniosły ogromny postęp. Przede wszystkim dostępna jest diagnostyka molekularna, która pozwala na wykrycie specyficznych mutacji genetycznych i pomaga

ustalić, komu możemy zaproponować bardzo indywidualne i efektywne leczenie. Badanie wyodrębnia też rodziny wysokiego ryzyka, co jest ważne z punktu widzenia profilaktyki. Poza tym wielkim osiągnięciem są nowoczesne technologie lekowe: mamy dzisiaj immunoterapię, która weszła do leczenia raka endometrium, zarówno nowo rozpoznanego, jak i nawrotowego. Techniki małoinwazyjne, takie jak laparoscopia czy robotyzacja, pozwalają na przeprowadzenie operacji w sposób mniej obciążający dla pacjentki, co skraca czas hospitalizacji.

Od września 2023 r. jest refundowana immunoterapia dla chorych z zaawansowanym nawrotowym rakiem endometrium. Jaka jest rzeczywista dostępność tego leczenia?

– We wszystkich województwach są ośrodki, które dysponują programami lekowymi. Problem polega jednak na tym, że część szpitali, które leczą raka trzonu macicy, nie wykonuje pełnego spektrum badań molekularnych. A żeby włączyć pacjentkę do programu lekowego leczenia immunoterapią, dostarłimabem, te badania bezwzględnie muszą być wykonane! To jest nadal problem organizacyjny. Stąd mój apel do lekarzy, kierowników zespołów, dyrektorów szpitali i prezesów spółek: badania molekularne trzeba zakontraktować! Fundusz przecież zwraca pieniądze za te procedury, a są one tak istotne dla dalszego leczenia pacjentek!

Testy określające mutacje genetyczne noszą nazwę dMMR – co to oznacza?

– Test sprawdza, czy pacjentka ma tzw. deficyt naprawy niesparowanych nukleotydów – czy zaburzone są mechanizmy naprawy DNA. Jeśli deficyty występują, immunoterapia będzie skuteczna. 30% pacjentek z rakiem endometrium przejawia zaburzenia w tym systemie. Jeśli więc dla 30% chorych mamy efektywne, nowoczesne leczenie, to powinniśmy z tej metody korzystać! Niestety, nie wszystkie pacjentki mają wykonywane niezbędne testy.

Immunoterapia w raku endometrium jest skuteczna przy nawrocie choroby. Czy byłoby również korzystne wdrożenie jej w początkowej fazie leczenia?

– Tak, mamy już na to twarde dowody. Procedowany jest program terapeutyczny, który będzie obejmował pacjentki z nowo rozpoznanym rakiem endometrium.

Szansą dla polskich pacjentów z nowotworami jest też Krajowa Sieć Onkologiczna. Kiedy planowane jest jej wdrożenie?

– W kwietniu 2025 r. Sieć obejmie 243 szpitale, czyli ok. 25% wszystkich placówek w kraju. To są szpitale, które wykonują wysoką liczbę procedur onkologicznych na odpowiednim poziomie, np. w przypadku raka endometrium leczą rocznie minimum 60 pacjentek, a z rakiem jajnika – 30. Inaczej wygląda formuła leczenia chorej w szpitalu, który dysponuje doświadczoną kadrą i nowoczesną infrastrukturą, a inaczej, gdy pacjentki trafiają do ośrodków rzadko podejmujących takie trudne terapie. System oczywiście będzie korzystał ze wsparcia mniejszych szpitali, które będą wykonywały np. część diagnostyki, ale nie będą planowo leczyć chorych onkologicznych.

Czy ośrodków leczących choroby onkologiczne nie będzie zbyt mało?

– Nie. Mamy w tej chwili 160-170 tys. nowych zachorowań na nowotwory rocznie. Przy 243 szpitalach, z dużą liczbą łóżek, żaden chory nie powinien czekać dłużej niż dwa-trzy tygodnie na hospitalizację.

Nadzieję pokładamy też w tzw. koordynatorach, którzy będą wspierać pacjentów na każdym etapie leczenia: od diagnozy, poprzez terapię, aż po rehabilitację. Koordynatorami mogą być np. absolwenci wydziałów zdrowia publicznego, ponieważ znają system i poprowadzą chorego odpowiednią ścieżką.

Od czego zależy przyszłość leczenia nowotworów ginekologicznych w Polsce?

– Od rozwoju Krajowej Sieci Onkologicznej i wdrożenia nowoczesnych terapii, w tym immunoterapii oraz badań genetycznych. Konieczna jest również dalsza edukacja społeczeństwa w zakresie profilaktyki i wczesnego wykrywania nowotworów. Dodatkowo musimy kontynuować rozwój infrastruktury diagnostycznej i terapeutycznej, aby każda pacjentka, niezależnie od

wieku, miejsca zamieszkania czy statusu społeczno-ekonomicznego, miała dostęp do najnowszych technologii i metod leczenia. Istotna jest też dalsza cyfryzacja i powszechność dokumentacji elektronicznej. Wierzę, że działania te przyniosą poprawę sytuacji zdrowotnej kobiet w Polsce. **Mówiąc o profilaktyce nowotworowej, nie sposób pominąć szczepień przeciwko HPV.**

– Jak najbardziej. Wirus brodawczaka ludzkiego (*Human Papilloma Virus*) może właśnie wywoływać m.in. nowotwory ginekologiczne. Dlatego warto skorzystać z efektywnego i bezpiecznego narzędzia, jakim są szczepienia. Zalecane są nie tylko dziewczynom i kobietom, ale także chłopcom i mężczyznom. W Polsce od 1 września br. w każdej przychodni POZ można bezpłatnie zaszczepić przeciwko HPV dziecko w wieku 9-14 lat. Dla młodzieży do 18. roku życia mamy również skuteczną i bezpłatną szczepionkę. Osoby dorosłe, które chciałyby się zaszczepić, mogą skorzystać z 50-procentowej refundacji.

Co jeszcze chciałby pan profesor przekazać Polkom i Polakom?

– Zdrowie jest w naszych rękach. Regularne badania profilaktyczne, takie jak cytologia, mammografia czy wizyty u ginekologa, są najlepszą inwestycją w przyszłość. Nie ignorujmy niepokojących objawów i dbajmy o siebie, ponieważ wczesne wykrycie nowotworu daje największe szanse na jego całkowite wyleczenie. Medycyna oferuje nam dziś ogromne możliwości, ale klucz do sukcesu jest w naszej świadomości i odpowiedzialności za własne zdrowie.



STOWARZYSZENIE
DZIENNIKARZE
DLA ZDROWIA



Quo Vadis
Salus Feminae?

Wywiad przygotowany przez Stowarzyszenie Dziennikarzy dla Zdrowia w związku z debatą „Nowotwory ginekologiczne – CZAS DZIAŁAĆ! Nowoczesne leczenie nowotworów ginekologicznych a polski system ochrony zdrowia”, zorganizowaną w ramach cyklu „Quo Vadis Salus Feminae? Wrzesień 2024 – Miesiąc Świadomości Nowotworów Ginekologicznych”.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- | | | | | |
|--|--|--|--|--|
| <ul style="list-style-type: none"> • kraina historyczna nad zatoką Patras i Korynką • choroba z napadami duszności • despota, samowładca • szef z angielskiej, też mafijny • odgłos drapania, gryzienia | <ul style="list-style-type: none"> • i suche gałęzie, i faworki • wirowy układ wiatrów wokół ośrodka niżowego • tytuł księżycy we Francji • wynalazca żarówki • australijski nietop • zbiór wartości grupy ludzi (z greki) | <ul style="list-style-type: none"> • ostatnio budzą ją paragony • tancerka Rubinstein, aktorka Kamińska • stan po przepiciu • salonowy taniec figurowy z XIX w. • wygodny, wyścielany mebel salonowy • porywacz dziecka • zespół, np. partyjny, artystyczny • z nosa lub wewnętrzny • 100 kg płodów rolnych • napój cytrynowy • oprocentowanie ponad miarę • żegluga powietrzna, siły powietrzne • flagowy lub radiowy • w aparacie szpiega i w archiwum | <ul style="list-style-type: none"> • premier Indii Narendra... • wyłączne prawo do handlu, produkcji • gaz szlachetny i świetlny napis • dziedzina działalności jak ziemia pod uprawę • na młode wilki w piosence Kaczmarek • w upał każdy jej szuka • ostre zapalenie kopyta końskiego • lustracja, obdukcja • prawy dopływ Wołgi • jedno u cyklopa • żąda go porywacz • ...dębowy – grzyb nadzwyczajny • pod dolną framugą okna • skaczący pasożyt • flecik o przenikliwym dźwięku • farbą, lakierem lub sprawy milczeniem • uprawne albo golfowe | <ul style="list-style-type: none"> • nasz kraj • zawodowa, małżeńska lub psychologiczno-pedagogiczna • jej święto 1 maja • malarze Courbet, Millet i Daumier • popisy zręczności kowbojów • żołnierz rozminowywacz • uproszczony rysunek techniczny • rzeźbi w drewnie • Tatiana ...Sarno • jego świętowanie od piątkowego wieczoru • o chudzielcu • skład zecerki określonej szerokości • anteny lub do zupy • nieduży pies, pierwotnie myśliwski • małe w inkubatorze • ...wonna to antypka • młody, nieduży las • Holdys lub Religa |
|--|--|--|--|--|

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1188”. Do rozlosowania książki „Revolusi. Indonezja i narodziny nowoczesnego świata” ufundowane przez Grupę Wydawniczą Foksal. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 29 września 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1185” z nr. 36: Fortele to oręż niewolnika.

Nagrody otrzymują: Wiktoria Jarosz z Cieszczy, Janina Krunis-Traczyk z Warszawy, Jolanta Nowak z Belchatowa.

Trochę stukania, trochę barykad

Minister Sikorski już nie organizuje corocznych narad ambasadorów, on organizuje narady szefów polskich przedstawicielstw. Prawda, że znacząca to zmiana?

W ten sposób realizuje się scenariusz, którego się spodziewaliśmy – prezydent Duda niczego nie podpisuje, ani odwołani dotychczasowych ambasadorów, ani nominacji nowych. Wygląda to wszystko tak, że ambasadorowie są odwoływani do kraju, a na ich miejsce jadą szefowie placówek, czyli *chargé d'affaires*.

Może więc Andrzej Duda czuć się ważny i napawać przekonaniem, że rozporządza ambasadorami, ale tak naprawdę nie rozporządza niczym.

Wszyscy to widzą, ambasadorowie zatem stosują różne strategie przetrwania. Na przykład dużo się opowiada o ambasadorze w ChRL Jakubie Kumochu. To człowiek z kancelarii prezydenta Dudy, jeden z jego najważniejszych ludzi w polskiej dyplomacji, więc Sikorski zdecydował, że go wycofuje do kraju. I wtedy Kumoch, antytalent dyplomatyczny przecież, całkowicie się przeistoczył. Zaczął walczyć o swoją posadę – i stukać w różne miejsca. Do prezydenta Dudy raczej nie musiał, bo ten i tak w swoim zacięciu nic by mu nie pomógł. Wobec tego pielgrzymował do innych. I udało się! Kto mu to przedłużenie załatwił, jakie to gołębie serce, aż strach pisać...

Z kolei Bogna Janke, którą Andrzej Duda wysłał ze swojej kancelarii na ambasadora do Brazylii, wybrała inną metodę. Odmówiła powrotu. Ona zostaje, ma nominację prezydenta, prezydent musi ją odwołać! Sprawa zrobiła się głośna, mówił o tym minister Bartoszewski.

Na jej miejsce został już zaakceptowany Andrzej Cieszkowski. To człowiek spokojny, unikający wielkich oracji

i trochę pechowy. Jego pech polega na tym, że studiował w MGIMO, nawet nie za PRL, lecz w latach 1990-1995. Był stypendystą polskiego rządu. Ale prawica i tak wyła, że oto człowiek, którego Moskwa obserwowała, robi karierę w MSZ. Cieszkowski tłumaczy się, że to rząd III RP i jego agendy decydowały, czy ma tam studiować, czy nie. Bo za te studia płacili. Wyjaśnia, że dzięki temu mógł przyglądać się Rosji w najważniejszych momentach przełomu, poznać rosyjskie zwyczaje i mentalność... Dla naszych prawicowców jednak to są żadne argumenty. Oni uważają, że wiedza o Rosji jest niepotrzebna, wystarczy taka, jaką mają oni, ten zbiór banalnych stereotypów, nic więcej. I że każdy, kto w Moskwie przebywa, natychmiast pada ofiarą KGB. Na taką chorobę zapadli. Zdaje się, że nieuleczalnie.

A wracając do Cieszkowskiego, MGIMO skończył jako specjalista od strefy portugalskojęzycznej, pracował już w ambasadzie w Lizbonie, tu się rozwijał, ale potem rzucono go na Wschód. Był pełnomocnikiem ministra Sikorskiego ds. Partnerstwa Wschodniego, miał dobre oceny pracy, więc w roku 2013 został ambasadorem w Gruzji. Ale nie na długo, bo PiS, gdy w 2015 r. zdobyło władzę, szybko go odwołało. Uznano, że jako MGIMO-wiec nie może pełnić takich funkcji, poza tym Gruzja była dla pisowców krainą pełną śladów Lecha Kaczyńskiego, ambasadorem musiał tam być ktoś PiS przesiąknięty...

Pożytku z tych rozsad Rzeczpospolita nie miała. A teraz Cieszkowski jedzie do Brazylii i może wreszcie jakiś zawodowiec sprawny naszych kontaktów z dziewiątą gospodarką świata ogarnie.

Attaché

Rumuńska wioska Słobozia Conachi w okręgu Gałac, 14 września 2024 r. Służby ratunkowe ogłosiły, że w tym najbardziej dotkniętym powodzią regionie zginęły cztery osoby. Zniszczonych zostało ok. 5 tys. domów.





PENETRACJE

Press ANDRZEJ SKWORZ, REDAKTOR NACZELNY

Jeszcze 10 lat temu firmy technologiczne stały tylko na czele rankingów pokazujących znajomość marki, a większe od nich były te od realnej gospodarki: paliwowe, lotnicze, zbrojeniowe czy handlowe. Dziś Apple, Microsoft, Nvidia, Google, Amazon i Facebook są już najdroższymi firmami na świecie. Gdy do tej listy dodać paliwowe Saudi Aramco – dopiero na szóstym miejscu – to otrzymamy ranking podmiotów o największej kapitalizacji rynkowej w kosmosie. Ci giganci są bogatsi niż niejedno państwo, wiedzą o nas więcej niż najlepsze wywiady świata, i w dodatku dysponują mocą decydowania o wyborach nawet w dużych krajach demokratycznych.

DUŻY FORMAT PROF. ANNA GIZA-POLESZCZUK, DZIEKAN WYDZIAŁU SOCJOLOGII UW

Niedawno rozmawiałam z dziewczyną, która właśnie zrezygnowała z polonistyki. Wyobrażała sobie, że tam się będzie dużo chodziło po teatrach, czytało dużo powieści i o tym dyskutowało – tymczasem liczba zajęć językoznawczych, w których musiała wziąć udział na pierwszym roku, to było zupełnie nie to, co ją interesuje. Takich przykładów wokół jest wiele. I powiedzmy szczerze, jest to ogromne marnotrawstwo: zarówno czasu młodego człowieka, jak i państwowych pieniędzy, miejsc na uczelniach i pracy wykładowców. Odpływ z pierwszego roku licencjatu bywa ogromny, sięga 60% przyjętych. Te nieutracone wybory wynikają przede wszystkim z niewiedzy.

PANI JERZY ANTKOWIAK, PROJEKTANT ZWIĄZANY Z MODĄ POLSKĄ

Syndycy wezwali mnie na rozmowę: „Czy chciałby pan zostać magazynierem?”. Pomyślałem: „Boże kochany, z głównego projektanta na magazyniera! Piękny finał mojej zabawy z Modą Polską”. Ale odmówiłem. Uderzające było ich lekceważenie, wręcz pogarda, z jaką zastanawiali się, co zrobić z naszymi – jak je nazywali – łachami. Były dwie wersje. Albo będzie chciał to kupić. Zgłosiłem się. Byli zaskoczeni: „Pan nie ma tyle pieniędzy”. Ja nie mam, ale mam przyjaciół. Cena za „łachy” chyba nie będzie wygórowana. Jeden do drugiego: „Mówiłem ci, że to świrusy”. Za równowartość trzech pensji kupiłem wszystko, co było w magazynie.

VIVA! ARTUR ŻMIJEWSKI, AKTOR

W dzisiejszych czasach, gdy świat stanął na głowie, zwariował, jest tyle wyzwania przed każdym z nas, zła energia czyha na każdym kroku i nie mówię tu wyłącznie o internecie, ale i tym, co się dzieje w realu. Bardzo pogubiliśmy się jako ludzie. Wymagania stawiane przed nami są często nie do spełnienia. I mówię tu głównie o młodych! Ja jestem z innego pokolenia. Nam udało się nie stracić z oczu wytyczonego celu.

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z sześciu liter

1

I	D	A
---	---	---

+

Z	E	N
---	---	---

=

--	--	--	--	--	--

2

G	A	R
---	---	---

+

S	E	T
---	---	---

=

--	--	--	--	--	--

Wyrazy z siedmiu liter

3

M	I	L	A
---	---	---	---

+

T	A	N
---	---	---

=

--	--	--	--	--	--	--

4

P	I	Z	A
---	---	---	---

+

R	E	K
---	---	---

=

--	--	--	--	--	--	--

Wyrazy z ośmiu liter

5

N	I	K	E
---	---	---	---

+

Z	I	M	A
---	---	---	---

=

--	--	--	--	--	--	--	--

6

J	U	L	A
---	---	---	---

+

O	W	C	E
---	---	---	---

=

--	--	--	--	--	--	--	--

ROZWIĄZANIA: ZDANIE, AGREST, LAMINAT, PIEKARZ, ZIEMNIAK, EWOLUCJA



Aby język giętki...

PROF. BOLESŁAW SAMOLIŃSKI O OCHRONIE ZDROWIA

Nie mówmy ciągle o tym, co jest złe, ale powiedzmy, jakie mamy programy, czy w szufladach mamy kompleksowe pomyśły reformatorskie.

ANDRZEJ SEWERYN O ROLACH

Odmówiłem zagrania kilku dużych ról. A biłem się o wiele małych. Dla mnie propozycja jest po prostu dobra lub zła.

ANDRZEJ STANKIEWICZ O MAŁGORZACIE MANOWSKIEJ

Jest karierowiczką. I to dzięki politycznym koneksjom zrobiła za rządów PiS błyskotliwą karierę.

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI O MATEUSZU MORAWIECKIM

Trzy razy zgłaszał mi jakieś osoby, które miały być wiceministrami, a ja odmawiałem. Weszły do resortu, gdy odszedłem.

ALEKSANDRA KWAŚNIEWSKA W WERSZU DO MĘŻA KUBY BADACHA

Byłam w Rzymie, byłam w Spale, się starzejesz doskonale.

CVETA DIMITROVA O PRZYJEMNOŚCI

Im mniej przyjemności, tym bardziej jesteśmy z siebie niezadowoleni, mamy do siebie pretensje i doszukujemy się w sobie wszelkich ułomności.

AGNIESZKA GROCHOWSKA O CIEKAWOŚCI

Dużo rzeczy mnie ostatnio ciekawi. Na przykład – co by było, gdyby nie trzeba było nic robić.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji:

Agata Gogolkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Piłkuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Władcki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoredaktorzy: Magdalena Gluska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Namaszczone



Madonna ze szczygłem

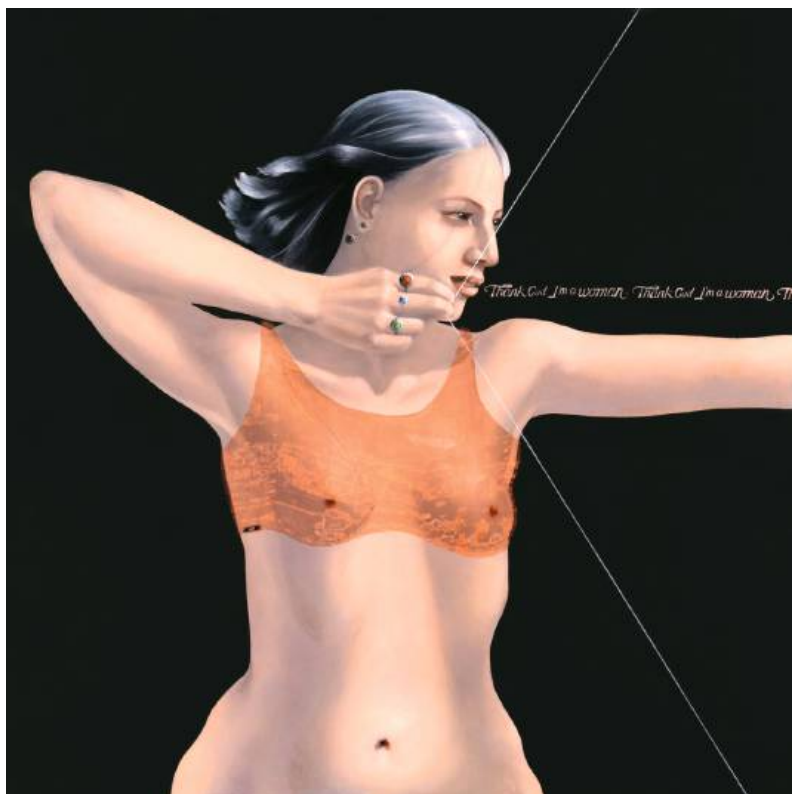
Beata Ewa Białecka

Obraz w ubraniu

Ważnym elementem twórczości Beaty Ewy Białeckiej jest „ubieranie” obrazów, czyli nakładanie na postacie koszulek inspirowanych tradycją wschodnią, sukienkami maryjnymi lub szatami liturgicznymi. Artystka łączy malowanie z haftowaniem, np. obhaftowuje rany przedstawianej świętej. Gra jednocześnie z językiem reklamy i specyfiką wycinanek dla dziewczynek,

umożliwiających dzięki zaginającym paskom nakładanie ubranek na płaskie, wycięte z kartonu lalki.

Małopolskie Centrum Kultury Sokół
Nowy Sącz, ul. Długosza 3
do 24 listopada



Diana



Hodegetria Srebrna

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

♦ TEATR CAPITOL ♦



Sviatoslav Balynskiy
Monika Daukso
Bartłomiej Dąbrowski
Andrzej Deskur
Kuba Dmochowski
Darek Dyla
Tomasz Gęsikowski
Krystian Kostow
Michał Kucharski
Monika Łopuszyńska
Karol Miękina
Kacper Mucha
Kacper Pilch
Dominik Rybialek
Lena Schimscheiner
Tomasz Schimscheiner
Maksymilian Wicher
Lesław Żurek

**DLA
DZIECI**

I MŁODZIEŻY

Akademia pana Kleksa

autor
JAN BRZECZWA
reżyseria
TOMASZ SCHIMSCHNER

SPEKTAKL MULTIMEDIALNY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

muzyka
Andrzej Korzyński,
Jerzy Mączyński

multimedia
Przemysław Partyka,
Paweł Penarski

choreografia
Karol Miękina

kostiumy
Łukasz Błażejowski

♦ KUP

BILET

♦ www.teatrcapitol.pl ♦

Partneri Medialni

PMF
MAXX

onet

WYDZIAŁ KULTURY

Robiety

ams

Familie.pl

P

czasochron

GO

SW

Partnerzy Teatru

Obag

kicket

AKTYWNA
WARSZAWA

STREFA
MUSIC

muzyka

1990



MARCELLO MIO

REŻYSERIA
CHRISTOPHE HONORÉ
Z WOLIAŁEM STEFANII SANDRELLI

W KINACH OD 27 WRZEŚNIA

